

Wszystkie postaci z *Piaskowej Góry* stanowią wytwór mojej wyobraźni. Ich ewentualne podobieństwo do osób realnie żyjących jest przypadkowe.

Początek

Jadzia toczy się i kula. Dominika jest lekka i krucha. Gdyby Jadzia ją przysiadła, kostki córki chrupnęłyby jak wafelek do lodów. Jednak Dominika nadrabia szybkością, robi uniki. Podskakuje i wygina się jak zajęc z radzieckiej kreskówki. Każde zbliżenie Dominiki i Jadzi grozi kolizją, niebezpieczeństwo wzrasta proporcjonalnie do odległości, z jakiej na siebie wpadają. Jadzia jest zawsze w tym samym miejscu, to Dominika odlatuje lub nadlatuje lotem koszącym. Ląduje awaryjnie na Piaskowej Górze, aż iskry się sypią, zanim wyhamuje, i już po chwili wzbija się do lotu w obłoku kurzu.

Jadzia wołałaby, żeby za bardzo nie oddalały się od siebie i żeby Dominika tak nie latała. Matki marzeniem jest, by córka osiadła, zaczepiła się gdzieś. Nie ciekaj, latawcu, powtarza, chociaż wie, że córka nie lubi, gdy mówi z wiejska. Miastowa taka. Wziąć, mamó, a nie wzięść, poprawia ją mądrała, włączać, a nie włanczać, sobie, a nie se. Jakby była jakaś różnica. Jadzia żadnej nie widzi, Jadzia woli widzieć to samo.

No siadźże chwilę na dupie, latawcu, podfruwajko, woła i klepie obok siebie w kanapę, siadźże, bo

włanczam telewizor. Mości się Jadzia w wygniecionym gnieździe, które kiedyś należało do jej męża, Stefana. Siadał tam po pracy i zasypiał przy dźwiękach dziennika albo niedzielnego programu przyrodniczego o życiu egzotycznych zwierząt i owadów. Zobacz, jaki ma łeb gadzina! wołał albo dłużał w nosie i wpstrykiwał do donicy z palmą. W głębi gniazda chował srebrne jajo butelki, z którego nic się nie wykluło. Jadzia dopiero parę lat po śmierci męża przejęła gniazdo w posiadanie. Teraz ogląda telenowełe z miejsca po Stefanie i chciałaby, żeby Dominika z nią. Żeby jak matka z córką. Ona na miejscu matki-wdowy, Dominika na matki dawnym miejscu dla niej zaklepanym. W tym odcinku wyjdzie, że Maria Celesta jest w ciąży z tym czarnym z wąsikiem jak u Leoncia z *Isaury*, co Jadzia zapomniała imienia. Chyba Luis Alfredo.

Jadzia często przekręca fakty i daty, ale ciągle ma marzenia. Stare i używane nieodpowiednio, ale są. Jadzia niczego nie lubi wyrzucać. Lepiej schować, bo nie wiadomo, co i kiedy może się przydać. Stare często jest lepszej jakości niż nowe i masz jak znalazł. Szukajcie, a znajdziecie, mówi Jadzia i wwierca się w pokłady rzeczy zgromadzone w bieliźniarce jak górnik w ścianę wałbrzyskiego węgla. Wszystko ma już zaplanowane: kreację córki i ślub kościelny. W sukni, jakiej ona nie miała. Ona szła w uszytej z poniemieckiej firany, stopy spuchnięte w za małych czółenkach, co to była za męka. Dominika będzie szła jak z gazety kolorowej wycięta, jak córka jakichś pieczarkarzy, doktorów ze Szczawna Zdroju. Suknię będzie miała z salonu Sabrina w rynku albo nawet do Wrocławia się pojedzie. Żeby i gorset, i tren.

Się wszystko na wideo nakręci. Welon matka sama haftuje córce w tajemnicy. Jakoś te dzikie buszmeńskie włosy się nim przykryje, poupina spineczkami, perełkami. Co się napruła, zanim zaczęło wychodzić. A potem dorożką w konie zaprzęzoną na bal do zamku Książ, w sukni, w welonie na wietrze powiewającym. Aż gały wyjdą tym, co nie wierzyli, oniemiają pięknem olśnieni i szczęściem, jakie ich nie czeka. Jeszcze nie jest za późno, a blizny na twarzy córki prawie wcale nie widać, może tylko, jak się złości.

Ale przede wszystkim Dominika nie może do ślubu być taka chuda i lekka, że byle wiatr ją porywa i miota to tu, to tam. Trzeba ją obciążyć, uziemić czymś treściwym. Dominika hoduje na oknie bazylię, a gdy wyjeżdża, w lodówce zostają po niej rzeczy, które Jadzia obwąchuje niepewnie, bada końcem języka. Zjadłabyś bigosiku z ziemniaczkami, schabiku, Tadku niejadku! Jadzia nie ma nic przeciwko zagranicznym mężom, ale uważa, że nasze polskie jedzenie jest najlepsze i nie musi próbować innego, żeby sobie wyrobić zdanie. Ma je od dawna gotowe, jej zdanie nie potrzebuje poprawek, dziękuję bardzo.

Robi córce miejsce obok siebie na wersalce, podsuwa delicje promocyjne. Dwanaście delicji plus dwie gratis to prawdziwa okazja z Reala. Taki duży sklep pod domem to rozrywka i oszczędność, którą Jadzia ceni, bo kupowanie niepotrzebnych rzeczy za pół ceny drogo ją kosztuje. Rozkłada ciastka ładnie na talerzyku, podsuwa córce, cmoka, że pyszności. Już ja cię podtuczę, Tadku niejadku! Córka wie nie od dziś, że Tadka niejadka porwał wiatr. Poleciał uczepiony czerwonego balonika, jak on pięknie

poleciał, ziemia została daleko, niebo na wyciągnięcie ręki, gładkie jak niebieskie szkło. Mała Dominika pluła więc buraczkami, wyrzygiwała paróweczki cielece wystane na matczynych nogach i czekała, że ją też porwie do Enerefu i jeszcze dalej, na wyspy Bula-Bula, a Piaskowa Góra będzie tylko plamką na horyzoncie, nie większą od muszej kupki. Ale bajka kończyła się inaczej. Bombardowali Tadka kotletami, celowali w niego oszczepami żeberek, aż się nażarł, nabrał masy i spadł. Znormalniał, mówi Jadzia, i zaczął jeść. Pewnie gdzieś osiadł do tego czasu.

Matka chce więc, by córka osiadała, a córka próbuje podważyć z miejsca zasiedziałą matkę i namawia ją na wyjazd za granicę. Na ogół siły są wyrównane, a wtedy tkwią zaparte, jedna nie ruszy bez drugiej. Matka się zapiera, nie i nie, córka kusi, lata wokół, trzepocząc skrzydłami, znienacka bodzie miękkie ciało matki, ruszaj się, Bruno, wyciągnę cię stąd. Dominika przysyła widokówki, które eksplodują kolorami jak małe petardy, i pisze, jak przyjedziesz, to zobaczysz, mamo, to piękne miasto na pocztówce, ale oczywiście większe, bardziej prawdziwe. Są tu ciepłe wieczory i restauracje, w których gra na żywo muzyka, są arbuzy tak wielkie, że w połówce jak w kołysce mieści się dziecko. Schody zbiegają wprost do morza, kawę pijemy z widokiem, a wiosną góry kwitną białą, żółtą, liliową. To wszystko wcale dużo nie kosztuje, jeśli nie będziesz przeliczać na złotówki. Wszyscy będziemy się cieszyć z twojego przyjazdu, cała rodzina, i nie narazi nas to na żadne poważne koszty, a wręcz przeciwnie, bardzo nam się tu przydasz, sama zobaczysz. Jadzia myśli, że ci wszyscy Dominiki,

co niby czekają tam na nią, to przecież istna Sodoma i Godomora. Jeden czarniawy jakiś i mimo wykształcenia w szmatach chodzi, obdarciuch w naszyjnikach, paciorkach, druga babochłop, homoniewiadomo, a wszyscy na kupie, że nie zgadniesz, kto z kim i czyje to dziecko tam się pęta. Dziwactwo i fiksum-dyrdum, a nie normalna rodzina, co to składa się z ojca, matki i dzieci połączonych sakramentem i uczuciem plus babcia do opieki, póki ich śmierć nie rozłączy. Ta rodzina Dominiki, pożał się Boże, żeby chociaż jakoś ukradkiem, w tajemnicy, nie na oczach innych. Ale nie, afiszują się, wystawiają na pośmiewisko, jakby dumni byli z tego fiksum-dyrdum. Co więc, jak ktoś jej, Jadzi, wytknie, ale pani córkę wychowała, co za wstyd, gdy tam pojedzie. Wstyd, nawet jeśli Jadzia i tak nie zrozumie w obcym języku. Stefan, ten to miał łeb do języków i gdyby nie zaprzepaścił, to szprechałby i parlefransił. A ona nawet z rosyjskiego mało co dziś pamięta, tyle co skolka, tawariszcz Stalin i do swidanija. A poza tym, co ona tam będzie jadła, bo na pewno nie oliwki. To jakby zgniłe jeść!

Jadzia Dominice ciemne włosy poprawia, jakby swoje poprawiała. Jeszcze wszystko przed tobą! mówi. Przekreśla Jadzia Dominiki trzydzieści trzy lata. Zdmuchuje jak okruchy ze stołu. Za Dominiką więc nic. Jak zrobi krok w tył, to wpadnie w dziurę. Jadzia mówi jednak, że przecież jakby co, to zawsze może się zaczepić na Piaskowej Górze.

I Pod spodem Wałbrzycha jest węgiel, na wierzchu piasek i ludzie nawiani tu ze świata na miejsce wypędzonych. W domach ponemieckich książki w gotyku idą na rozpałkę, Schneider, który wcale nie przypomina krawca na odstrzał, Wasser po przegotowaniu zamienia się w wodę. Przez Adolf Hitler Strasse, która jest już ulicą Włodzimierza Lenina, pcha się wózki, taszczy walizki, ciągnie dzieci, psy i staruszki w kwiecistych chustkach. Pierwsza tura przybywa tuż po wojnie i jeszcze śmierdzi prochem. Hitler kaput! krzyczą niedorostki do ostatnich Niemców albo tych, którzy na Niemców wyglądają. Inni obcy nie budzą jeszcze grozy, bo na razie nikt nie jest swój. Dopiero zaczyna się dzielenie, kto ma złoto, kto nie, kto z Bogiem, a kto przeciw Bogu, który jeden jest i taki powinien pozostać. Przyjezdni rzucają bagaże i raz, dwa, trzy wbijają paliki w ziemię. Tu coś skleca z desek, tektury i derki, tam wytną kawałek na ziemniaki, na marchewkę, ogrodzą sznurkiem, zaklepią, że ich i niech się nikt nie waży. Uzbrajają się w kije i złe słowa; jakby co, to nogi z dupy normalnie!

Wałbrzyska ziemia odzyskana budzi nadzieje zwłaszcza w tych, którzy swojej nigdy nie mieli. Są znikąd, ale chcą wyjść na swoje, by być skądś. Najpierw zajmują stare domy po Niemcach, ale już wkrótce jest ich za mało – dwadzieścia lat po wojnie wokół starych dzielnic Wałbrzycha, niepozbowionych pewnej urody, a na pewno ordnungu, zaciśnie się betonowy pierścień nowych, budowanych w pośpiechu dla przyjezdnych. Na

Piaskowej Górze zmieści się ich aż trzydzieści tysięcy, bo będą dobrze upchani w podzielonych na jednako-
we przegródki pudłach domów. Wśród przyjezdnych jest młoda Jadzia Maślak. Ma agrestowe oczy zmęczone długą podróżą, tekturową walizkę, kosz wiejskich jaj i płaszcz o dwóch różnych rękawach. Trudno ją zauważyć w tłumie, bo wiele kobiet wygląda podobnie.

Wałbrzych to duże miasto, jeśli patrzy się na nie z miejsca Jadzi Maślak. Na przykład dworzec, na który przyjechała, nazywa się Dworzec Miasto, a są jeszcze Główny, Fabryczny i Szczawienko. Ani matka Jadzi, Zofia Maślak, ani jej babka Jadwiga Strąk świata nie widziały, tyle co do Skierniewic na targ czy na pielgrzymkę do Częstochowy, a ta druga już na pewno świata nie zobaczy, bo w żółtym piachu pochowana na wieki wieków amen. O Wałbrzychu nie słyszały, bo Wałbrzycha jeszcze niedawno w ogóle nie było i nie jeździły do niego żadne pociągi, a już na pewno nie z Zalesia. Przez Zalesie pośpieszne przelatywały z wyciem i hukiem, tak że wioska nawet nie zdążyła odbić się w szybach i już znikiała.

Matka Jadzi mówiła, że pociągami diabły wiozą niegrzeczne dzieci do piekła. Tudum-tudum! naśladowała odgłos pociągu; tudum-tudum! pociągi pełne brudnych dzieci, przez tubę zwiniętej dłoni tudum-tudum. Diabły Zofii śmierdziały spaloną mięsem i miały wywinięte wargi, zawsze wilgotne. Wywinięte jak u czarnych Murzynów, tudum-tudum, straszyla Jadzię i odpływała w głąb domu na szerokiej łajbie bioder, robiąc fale, na których jeszcze przez chwilę kołysały się meble i święte obrazy. Nie umiała zacumować na dłużej przy córce, zaraz ją zносиło do spiżarki, do ogrodu, do lasu po szyszki

na rozpałkę. Brudasio, kocmołuchu, załamywała ręce, diabły cię do piekła pociągiem zabiorą. Przez okno cień pośpiesznego nocą przemykał, a Jadzia wyobrażała sobie dzieci upchane w wagonach jak w puszcze po landrynkach, do której zbierała latem stonkę i zamykała wieko. W ciemności owady zdychały i wysączały ciemny sok, po którego powierzchni pływały pasiaste skrzydełka. Jadzia zaglądała do puszki, a jej obrzydzenie podchodziło spienioną śliną.

Podrośnięta Jadzia codziennie świtem czekała na stacyjce Zalesie na osobowy do Skierniewic, gdzie uczyła się na pielęgniarkę. Lubiła robić zastrzyki, wkłuwać się czysto i umiejętnie w błękitne żyły, nosić biały fartuszek i oglądać bakterie pod mikroskopem. W ich wijącym się, bujnym istnieniu znalazła uzasadnienie dla octu, ulubionego środka higienicznego jej matki, którym przesiąkała jak dobrze przyprawiona galaretka ze świńskich nóżek. Trzeba pozabijać bakterie! Bakterie to brud i choroby, są bardzo niebezpieczne, więc woda z octem musi być bardzo gorąca – to miało sens. Bez odpowiedzi pozostawało pytanie, skąd Zofia mogła wiedzieć o bakteriach, skoro skończyła kilka klas wiejskiej szkoły, ale Jadzia nie zadawała wielu pytań. Czekając na pociąg do Skierniewic, zjadała pierwszą z trzech bułek z dżemem truskawkowym, które brała ze sobą na drugie śniadanie do szpitala, i wdychała oleisty zapach torowiska, tak jakby piła. Oblizywała małe, ładnie wykrojone usta i nie była pewna, czy jej się podoba, czy nie. Wątpiła jako dziecko, Jadzia nabierała ciała jak śnieżna kula i w wieku osiemnastu lat przewidziana na jej rozmiar ilość skóry się wypełniła, szczupłe pozostały tylko łydki i przedramiona. Nigdy nie

przyjmowała pozycji doskonale pionowej, jakby niewidoczna siła przechylała ją w prawo albo jakby uchylała się przed ciosem. Zakładała wielkie bawełniane majtki, które szyła dla niej Zofia, i czesała mysie włosy przed lustrem w sieni, wpinając w nie spinki i przeginając się w tę i w tamtą, by uchwycić swoje znikające odbicie. Widać ją było tylko pod pewnym kątem i przy dziennym świetle. Gdy jednak patrzyło się na Jadzię w pełnym słońcu, kontury miała zatarte i drżące jak rozgrzany piasek. Ci, którzy wymienili się z nią pochwalonym na drodze, nie byli nieraz pewni, czy rzeczywiście spotkali Jadzię Maślak idącą na stację, czy im się tylko wydawało. Nocami Jadzię ogarniał żal za czymś nieokreślonym, który myliła ze znanym głodem na słodczyce, wzdychała, wyciągała spod poduszki bryłkę cukru i ssła ją tak długo, aż usnęła. Posłusznie spełniała polecenia matki, której obsesja czystości ograniczała się do podmywek w gorącej wodzie z octem. W ich domu talerze lepiły się do stołu, nietoperze piszczwały nocami na strychu, myszy wiły gniazda w zbutwiałych króliczych skórkach poupychanych w każdej szufladzie, ale Zofia nigdy nie zapomniała o wrzątku i occie. Jadzia co wieczór zaraz po matce przykuciała w metalowej miednicy, do której z trudem mieściły się jej coraz potężniejsze pośladki. Ocet szczypał i czasem było to przyjemne. Po myciu wkładała palce między nogi i wachała, czy przez octową świeżość nie przebija się smród brudu i bakterii.

Już w koszuli nocnej Jadzia czytała romanse, powoli przewracając strony poślinionym palcem. Była głodna opowieści, cieszyły ją niezwykle szczęścia i nieszczęścia, jakie niestety rzadko zdarzały się w Zalesiu, ale na

szczęście nauczycielka Gorgółowa pożyczała jej książki. Jadzia najbardziej lubiła *Trędowatą*, którą jak zaczarowana czytała raz po raz przy lampie naftowej, ku utrapieniu Zofii. Rano agrestowe oczy Jadzi były zmęczone, przypominały rozmoczony druk. Czasem wyobrażała sobie, że leży na jakiejś pięknej łące, a ordynat Michorowski nakrywa ją sobą jak kołdrą, jak wiekiem trumny z atlasową wyściółką. Nic więcej w tych marzeniach nie robiła; po prostu była, a ordynat podjeżdżał samochodem, karocą pod szpital w Skierniewicach i ją zabierał na łąkę, za granicę. Może do pięknego Związku Radzieckiego, o którym uczyła się w szkole. Tam gdzie rządził towarzysz Stalin, co usta słodsze miał od malin, a rzeki o dziwnych nazwach są wielkie, rwące. I wszystkie tylko patrzyły we śnie, że ordynat ją wybrał, Jadzię. Gabrysia, co oczy maluje na niebiesko, Teresa, co nosi buty na obcasie stukającym, że z nią, nie z żadną inną ordynat cudzoziemski odjeżdża, a welon na jej głowie, nie innej powiewa. Och, ordynacie, jestem twoja! Zabierz mnie w siną dal, marzyła Jadzia.

Najbardziej romantycznym wydarzeniem w dziewczęcym życiu Jadzi była wizyta nieznajomego cudzoziemca, który pewnego lata pojawił się w Zalesiu. Młody mężczyzna podjechał samochodem, wzniesając obłok popiołu, którym zasypywano dziury w wiejskiej drodze. Uchylił kapelusza, witam panie, czy można, zawołał zza furtki, czy można poprosić szklankę wody? Bez zapowiedzi, nagle przy furtce, gdy akurat przy stole pod orzechem, ubrane niedbale, drylowały wiśnie na konfitury! Pestki wystrzeliwały do miski, chlapiąc matkę i córkę, ach, gdyby chociaż zdążyły się ogarnąć, przeczesać, gdy on,

cudzoziemiec, tak nagle o szklankę wody prosi. Ubrany był, opowiadała Dominice Jadzia, jak z żurnala, jak z gazety kolorowej wycięty, bo żeby tak w dzień powszedni, do nich, w kapeluszu, o szklankę wody prosić, podczas gdy one miały tylko kubki? Cudzoziemiec mówił, jakby pod językiem utkwiała mu jedna z wiśniowych pestek, i nie mogły zrozumieć niektórych słów, ale zachowywał się z szacunkiem i grzecznie. Napił się wody, zjadł dwie garście wiśni, posypując je cukrem, i wytarł ręce białą chusteczką wyjętą z kieszeni marynarki. Mój Boże, żeby tak w białą chusteczkę mężczyzna ręce w dzień powszedni? Mimo że był bardzo młody, Jadzi od początku wydawał się starszy, a w miarę upływu czasu przybędzie mu lat w jej opowieści. O, na pewno był starszy od niej, bo tak w marynarce, w kapeluszu? Poza tym mężczyzna powinien być starszy. Wypytywał o georginie, jak takie wielkie różowe wyhodować, i zaraz znienacka o dom, i czy strych duży, o jabłonie, czy rodzą, czy szczepione, i o wojnę, a wszystko tak sprytnie, że na koniec za nic nie mogły sobie przypomnieć, jak doszło do takich pytań i jak to możliwe, że ktoś obcy, kto nawet się nie przedstawił, zadawał je w ich ogrodzie, jedząc wiśnie przy ich stole. Zofia patrzyła w twarz cudzoziemca tak, jakby zaglądała do studni, do której wpadło jej coś cennego, ale zamiast złotego migotania widziała gładką powierzchnię wody i własne zniekształcone odbicie. Odwracała oczy rozczarowana i wrzucała wiśnie do dryłownicy. Niech mama przestanie na chwilę z tym drylowaniem! Jeszcze mu koszulę jak śnieg białą, twarz cudzoziemską opryska wiśniowym sokiem. Ale można jej mówić. Prysk, prysk – co komu pisane, temu kamień – czy musiała Zofia

koniecznie przy obcym eleganckim człowieku rzucać jedno z powiedzonek babki Jadwigi, i to zupełnie nie na temat, co on sobie o nich pomyśli, martwiła się Jadzia. Że wsiowe wariatki jakieś, pomyśli, odwróci się, wyjedzie, nie wróci! Mój ojciec to bohater wojenny. Poległ z honorem, kwiatami jabłoni obsypany, odpowiedziała na kolejne pytanie gościa, ubiegając matkę, która nachmurzyła się jeszcze bardziej i nie odezwała już do końca wizyty.

Przy pożegnaniu padły słowa, które dały początek romantycznej historii Jadzinej, gdzie dzwony dzwonią na wesele, a welon kryje twarz panny młodej. Gdzie pan młody jest wart wiele, jak wygrana w Wielkiej Grze, i stoi obok jeszcze nieodpakowany, tak że nie widać, co ma w środku, i można sobie marzyć a marzyć. Wróć tu kiedyś może, powiedział cudzoziemiec, patrząc Jadzi w oczy, kiedyś tu może wróć na wiśnie. Powiedział tak mądrze i znacząco (tylko co to znaczyło?), jak mógłby powiedzieć ordynat z *Trędowatej*, nie ktoś zwykły, codzienny. Taki Wiesiek Dorosz czy Czesiek Kociuba najwyżej umieli spytać, a przyjdiesz, Jadzia, na zabawę do Sosenki potańczyć, patrząc jej przy tym w cycki, nie w oczy. Żadnego romantyzmu! Jadzia oganiała się od rąk i ust Wieśka i Cześka, których do końca nie rozróżniała, i marzyła o cudzoziemcu, o dziedzicu, ordynacie i sinej dali, w którą dałaby się zabrać jak przesyłka bez zwrotnego adresu.

W Zalesiu nie było już jednak dziedziców, a dwór przerobiono na szkołę, ośrodek zdrowia i sklep przemysłowo-spożywczy, wyniósłszy z niego przedtem wszystko, co nie zostało wyniesione przez niemieckich okupantów, którzy odeszli, i radzieckich okupantów, którzy

udawali wyzwolicieli. Pozbawiona porównania Jadzia nuciła, fałszując, że biedna Rebeka w zapomnieniu czeka, aż przyjedziesz po nią ty, ale nie było żadnego ciągu dalszego, żadnych więcej wiśni wyjadanych z delikatnej męskiej dłoni, tylko to i tylko tyle, niespełniona obietnica, tańczące w zachodzącym słońcu muszki, odjeżdżający samochód. Po praktyce w skierniewickim szpitalu Jadzia dostała pracę w nowej przychodni w Zalesiu, a ordynat Michorowski zaczynał przybierać postać pracującego tam doktora Macieja Malczyka. Też na M! Na ten znak zamierało serce Jadzi. Za pierwsze oszczędności dała do uszycia płaszczyk w pepitkę z króliczym kołnierzem z matczynej skrzyni, który wydawał się najmniej nadgryziony przez myszy i mole. Na targu w Skierniewicach kupiła od rudej Cyganki radzieckie perfumy Czerwony Mak, w sklepie państwowym torebkę i kozaczki pod kolor. Była gotowa do spełnienia marzeń przykrojonych na swoją miarę. Przed niedzielną mszą obejrzała się w starym lustrze w sieni, gdzie zobaczyła odbicie topielicy. Kobieta zupełnie niepodobna do niej, o oczach ciemnych, włosach buszmeńskich, twarzy białej jak kość chlusnęła w twarz Jadzi zimną wodą i znikła zbyt szybko, by w nią uwierzyć.

Poszła Jadzia do kościoła oblodzoną drogą przez wieś, ostrożnie stawiając nogi w nowych butach; potknęła się przy chałupie Gorgóli. Zamłynkowała ramionami, krzyknęła ojej, wypuściła torebkę, która poszybowała dwa metry dalej i pękła jak arbuz, ukazując lśniące czerwone wnętrze. Jadzia nie odzyskała równowagi, upadła i złamała prawą rękę w trzech miejscach. Gdy w karetce rozcięli rękaw jej nowego płaszcza, zobaczy-

ła żółtą ostrą kość ze strzępkiem mięsa; jej agrestowe oczy uciekły w głąb czaszki, zemdląła. Najgroźniejsze w skutkach okazało się złamanie w nadgarstku, które uszkodziło nerw i Jadzia nigdy nie odzyskała sprawności w prawej dłoni. Palce wskazujący i środkowy przykurczyły się, a każde polecenie mózgu gubiło się gdzieś w okolicach łokcia. Gest podnoszenia następował po ponagleniu, a machanie przypominało swoją dziecinnością karykaturę. Od tej pory Jadzia nosiła prawe przedramię lekko przygięte i przyciśnięte do boku, podtrzymywane zdrową ręką. Wpychała je pod ciężką pierś, gdzie mieściło się jak w ciepłej norce. Została uznana za niezdolną do pracy w zawodzie i wróciła do punktu wyjścia, uboższa o zniszczony płaszczyk, jedną w miarę gotową przyszłość i torebkę, która też gdzieś przepadła w zamieszaniu. Doktor Malczyk ożenił się po pół roku z nową pielęgniarką, Gabrysią o błękitnych powiekach, i w kościele siedzieli z samego przodu, mimo iż zaledwie siedem miesięcy po ślubie im się urodziło. Malczykowska miała trwałą ondulację i złote kolczyki – nie widać po niej było na pierwszy rzut oka, że żyje życiem, które Jadzia Maślak wymyśliła dla siebie. Jadzia coraz grubsza i cięższa toczyła się do wiejskiego sklepu po kukułki i ssala je, aż język miała poraniony do krwi. Pluła słodką brązową śliną i myślała o suchotach, na które zeszłej wiosny dwie dziewczyny umarły w Zalesiu, wyrzygawszy kawałek po kawałku swoje płuca. Czy po mnie ktoś by płakał? zastanawiała się. Wiosną leżała w wysokiej trawie nad Pelcznicą, gdzie wiele lat temu znaleziono jej ojca. Zamykała oczy, wystawiała twarz na opadające płatki dzikich jabłoni i wyobrażała sobie, że umarła jak jedna

ze świętych, których ciała pachniały kwiatami, fiołkami, konwaliami, lata po tym, jak pochowano je w ziemi.

List od wuja Kazimierza Maślaka przyszedł tuż przed Bożym Narodzeniem i zaskoczył Zofię. Od dawna nie dostawała listów, a od ponad dziesięciu lat nie widziała się z krewnym, który tuż po wojnie wyjechał na Ziemię Odzyskane. Kazimierz był kuzynem jej męża, Maćka z Brzeziny, gdzie co drugi to Maślak albo Strąk. Zofia nigdy go nie lubiła, podejrzewając, że w plotkach o jego wojennych interesach z Niemcami może być ziarno prawdy. Ten zawsze wiedział, gdzie szczerze sadło, mówiła o Kazimierzu Jadwiga Strąk, młynarzowa z Brzeziny, po której Jadzi dostało się imię, specjalistka od kompilowanych przysłów i powiedzonek o jej tylko znanym sensie. Wuj Kazimierz przysyłał Zofii i Jadzi kartki, na których niemiecki napis Waldenburg był niedokładnie zasłonięty fioletową pieczętą Wałbrzych, a później zupełnie znikł. Wuj donosił o swoim powodzeniu. Zofia odpisywała równie lakonicznie, informując krewnego o swoich niepowodzeniach, z których ostatnie związane było z wypadkiem Jadzi. Niech więc Jadzia do Wałbrzycha przyjeżdża, pisał Kazimierz w liście, który Zofia czytała kilka razy, bo lubiany czy nie, Kazimierz Maślak był jej jedynym żyjącym krewnym. Obiecywał Jadzi pracę biurową. Może nawet sekretarką dyrektora jakiegoś Jadzi uda się zostać. Kawę mu będzie parzyć, koniaczek bułgarski gościom nalewać, nauczy się, co i jak, w try miga. Jedna dobra ręka do tego wystarczy aż nadto, a ładna buzia się przyda jeszcze bardziej. Pisał Kazimierz Maślak, że wprowadzie dużo w Wałbrzychu różnej narodowości i ani Cyganów, ani innej dziczy nie brakuje, a żydki rządzą

się zupełnie jak przed wojną, że aż dziw, skąd ich ciągle tyle, ale miasto bogate, na kopalniach stoi. Czarne złoto na węgiel mówią. A i na boku da się dorobić, jakby co. Ruskie z koszar, Niemcy, Cygany, wszystko handluje, czym się da. Grunt, żeby wiedzieć, jak się zakręcić i zakombinować. Już jego w tym głowa! Pokój z częściowym wiktem wuj Kazimierz u siebie oferuje. Co do obiadu, to zje Jadzia tanio w stołówce zakładowej, gdzie oprócz poniedziałków i piątków zawsze dostanie coś z mięsa. Niech Jadzia więc walizkę pakuje, on na bilet przekazem pośle zaraz po Nowym Roku. Zarobi, to mu zwróci. Niech na Dworcu Miasto wysiądzie i czeka. Odżałował Kazimierz na ekspres polecony, chociaż nie lubił się wydatkować. Przekalkulował żony Barbary kobiecość nadużyta już nieco, choć wciąż bezdzielną, na młodej krewnej miękkość podpatrzoną. Dziesięć latek miała, a już jej cycuszki kielkowały, a jak to cmoktała kukułki, które jej przywiózł. Co rodzina, to rodzina! Mlasnął Kazimierz Maślak i własnojęzycznie kopertę zakleił.

Zofia doszła do zniszczonego płaszczyka Jadzi nowy rękaw, który nieco różnił się od drugiego krojem i wzorem, spakowała jej do kosza sześć bułek z dżemem truskawkowym, dla Kazimierza świeżych jaj paręnaście i naszyjnik z suszonych grzybów. Pocałowała córkę w czoło na do widzenia i nie oglądając się, ruszyła do domu. Gdy pociąg z Jadzią na pokładzie pochłonięty został przez tunel lasów, Zofia poczuła ulgę, bo wydawało jej się, że wraz z nim zniknął przebijający spod octu zapach spalenizny.

Po dwudziestu czterech godzinach i trzech przesiadkach Jadzia przyjechała do Wałbrzycha i czekała, drep-

cząc wkoło solidnej kopulastej hali, ale wuj Kazimierz się nie pojawiał. Wstydziła się wejść do dworcowego baru, skąd pachniało jej kusząco kanapkami z pasztetową, bo nigdy nie była sama w takim miejscu. Po trzech godzinach dreptania po biało-czarnej szachownicy, od której trochę kręciło jej się w głowie, Jadzia zrobiła siku w dworcowej toalecie; na drzwiach napisano Damen, pod spodem kredą Panie, a jeszcze niżej czymś brązowym Kurwy. Postawiła kołnierz z króliczego futra, z którego za każdym jej oddechem ulatywały pojedyncze kłaczki, i pomacała w kieszeni karteczkę z adresem wuja. Wyszła na zewnątrz samopas i poczuła w mroźnym powietrzu węglowy pył; niebo było seledynowe, rozchwiane jak prześcieradło naciągane po praniu na cztery ręce. Ślisko! Całe miasto ślizgało się tej zimy i szpitale pełne były połamanych i zagipsowanych staruszek w kwiecistych chustkach, których rodziny nie odebrały na czas, bo bez nich miały więcej miejsca i zostało ono szybko zajęte. Pijacy spadali z chodników wprost pod roztańczone samochody, niedożywione dzieci zjeżdżały z węglowych hałd na ulice, a szpitalne krematoria nie nadążały z paleniem amputowanych kończyn. Wiatr porywał ochłapy tłustego dymu i rozpryskiwał na ścianach domów, czarne grudki zlewały się w skorupę i osiadały na pryzmach śniegu zalegającego na ulicach. Jadzia tymczasem boczkiem, boczkiem, i już jest w połowie schodów; w lewej ręce walizka, prawa przyciśnięta do tułowia i obciążona koszykiem pełnym jaj. Historie Jadzi Maślak i Stefana Chmury zaraz się zazębią, zazgrzytają, lecz dotrą się z czasem. Docieranie potrzebuje czasu właśnie, nacisku i co najmniej dwóch powierzchni trących. To wszystko

jest pod ręką. Wersje będą się zmieniać i zostaną dopasowane do sytuacji. Czy Stefan wracał z nocnej szychy i chciał kupić w dworcowym kiosku papierosy? Czy mimo zimna miał smak na oranżadę, bo nie z pracy wracał, lecz popił z Kowalikiem i go suszyło? Najważniejsze jest to, że Jadzia już traci równowagę, już wypuszcza kosz jajami nadziewany i leci ze schodów, macha rękoma, popiskuje ojej. Stefan zapiera się chudymi nogami i rozpościera ramiona. Jak ona pięknie leci! Jak bochen ciepłego chleba, jak garniec masła, jak anioł z cukru i ciasta. Jak on ją łapie, jak pionier Timur z czerwoną chustą, Stefan zuch, gieroj, pod ciężarem się ugiął, lecz wrócił do pionu.

Stefan Chmura wiele razy odegra scenę na schodach w okolicznościach imieninowych i barbórkowych, także podczas balów sylwestrowych, a górnicza brać będzie mu klaskać. Ona spadała, on złapał, to się nazywa przeznaczenie i ono bardzo mu się podoba. Stefan pracuje na kopalni, jego życie przypomina świeżo odpakowany prezent, zamówiony u Mikołaja czy Dziadka Mroza, a może u obu, dobrego nigdy dość. Tym bardziej że nie wiadomo do końca, czy Dziadek Mróz wyparł Mikołaja, czy może zajmują się rozdawaniem prezentów w duecie, a w chwilach wolnych upijają polską wódką ze Śnieżynkami. Skok przez skórę na zakończenie edukacji w zasadniczej szkole górniczej był dla Stefana skokiem siedmiomilowym i spadł z tak wysoka, że po uszy wbiło go w dumę. Górniczej skóry byle chłystek nie dostanie. Ze skórą jest się górnikiem, a nie lisem. Taka skóra to nie byle co, nie kawałek skóry w kształcie fartucha, ale symbol górniczego honoru. Górnik to ktoś, a nie nikt, czarne

złoto wydobywa i mówi się o nim w telewizji, pisze w gazetach. Stefan zapamiętał wszystko, co na uroczystości pasowania na górnika mówił dyrektor szkoły górniczej. Jeśli górnik popełnił czyn niegodny, brać górniczą hańbą okrywając, zabierano mu skórę, a wtedy grób-mogiła. Górnik bez skóry to górnik bez honoru, a to coś, do czego Stefan nie myślał dopuścić. Gdy dyrektor wymienił jego nazwisko, lis Chmura Stefan wyszedł na środek auli na lekko drżących pałakowatych nogach.

Przyjmiemy lisa Chmurę w nasz górniczy stan? zapytał mistrz ceremonii, a reszta odpowiedziała, Niech pokaże, co umie lis Chmura! Odezwały się werble i chór zapytał, Kto z góry idzie tam? Kto z góry idzie tam? Hej, hej – idzie tam? Lis Chmura Stefan! odpowiedział Stefan i ze wzruszenia zapiekło go pod powiekami. I czego lis chce? W górniczy chcę wejść stan! W górniczy chcę wejść stan, w górniczy chcę wejść stan. Hej, hej – w górników polskich świetny stan. Czy zakon nasz mu znan? Czy zakon nasz mu znan? Hej, hej – górników polskich zakon czyż dobrze mu znan? chór nie popuszczał. Mu zakon ten jest znan, odkrzyknął Stefan i to była jego jedyna pomyłka, bo miało być mi, a nie mu. Czy zna kopalń mrok? Czy zna groźny kopalń mrok? Hej, hej – kopalń mrok? Znam kopalń mrok i trud! Trud ten pragnę nieść przez życie jak dziś pieśń. Z dumą trud ten nieść. Hej, hej – z dumą nieść, zapewnił lis Chmura. Chór uznał, że to byłoby na tyle. Hej, zakon nasz mu jest znan. Hej, zakon nasz mu znan. Niech wejdzie lis Chmura w świetny stan, górników polskich stan. Cała orkiestra w galoowych mundurach z czerwonymi kitami na czakach była po jego stronie; zabrzmiały werble, i co to były za werble

nad werblami! Stefan wzbił się w górę do skoku przez skórę. Wystrzelił w powietrze jak katapultowany i cała aula zadarła głowy, bo przebił sufit i poszybował jak radziecka rakietka na podbój kosmosu. Dziura w dachu, tynk się sypie, słoneczko wpada do sali gimnastycznej, śpiew ptaków, a Stefana ani śladu. Koledzy z zasadniczej górniczej patrzyli w niebo i czekali. Wróci czy nie?

Od tej pory Stefan czuje, jakby coś nieustannie łaskotało go od środka, bo zachłysnął się kosmicznym powietrzem, którego bąbelki dostały się do jego krwioobiegu. Mimo iż jest chudy, zaczyna mu rosnać brzusek, w którym ciągle coś burczy i bulgocze. Patrzy w lustro u fryzjera na Szczawienku i mówi jak prawdziwy mężczyzna, panie Antosiu, na krótko poproszę, a baczki przytrzymować. Inżynier Waciak ma baczki, więc on też sobie zapuścił i uważa, że nadają mu męskości i powagi. Antoś strzyże, a on nuci, całuska lubej śpiesznie daj, i śpiesz w podziemnych gnomów kraj, nas czeka praca tam, szczęść nam, szczęść nam, szczęść Boże nam. Jadzia luba to jego wisienka na deserze. Niech wszyscy wiedzą, jak było, mimo iż Jadzia kopie go pod stołem i prosi, Stefek, przestań się wygłupiać. Ale niech ktoś spróbuje powstrzymać Stefana komedianta. Barkami markuje kroki, daszkiem dłoni podkreśla, jak to nagle Jadzię na schodach dworca zobaczył w potrzebie. I zaraz potem kulminacja łapania i spadania, spadania i łapania grand finale. Jadzia spada, a Stefan, górnik o wzroku orlim i ramionach gladiatora, ją łapie, cap. Hosanna! Już nie płaszczyk z różnymi rękawami, nie wiejskie jaja stłuczone, lecz piana z szampana, koniak bułgarski, złote ruble i perły, już nie Jadzia, lecz jego Dziunia, nie Wałbrzych

nawet, lecz prawie Enerf. Lalka sama na mnie poleciała, a ja cap, ją mam! Jak to kobieco tak polecieć i jak to męsko tak złapać, towarzystwo rozplywa się w pochwalnych ho, ho. No to siup w ten głupi dziób, mówi Stefan i szczęście w nim musuje. Jego szczęście to Jadzia. Jadzia szczęścia spodziewa się potem.

II

Uważaj na błotko, Dziunia.

Idą zobaczyć po raz pierwszy od środka mieszkanie przydzielone im na nowym wałbrzyskim osiedlu Piaskowa Góra. Dom Stefana i Jadzi ma dziesięć bram i jedenaście pięter połączonych tarasem. Dzioby dźwigów kołyszą się, przenosząc betonowe płyty, piasek pod kołami ciężarówek zamienia się w błoto i pryska, jakby ktoś pluł przez zaciśnięte zęby. Państwo Chmura dostali M3 na dziewiątym piętrze. W jego skład wchodzi pokój stołowy, gdzie się postawi wersalkę rozkładaną na noc dla rodziców, dziecinny pokój, kuchnia i łazienka z ubikacją. A wszędzie kaloryfery. To jest niezwykle szczęście.

Wszystko dzięki zmyślności Stefana. Koniec gnieźdzenia się na kupie w ponemieckiej ruderze, koniec z szafami po hitlerowcach i gestapowskimi sedesami, z piecami, od których dopiero co dom dalej człowiek na Szczawienku się zacadził. Do usranej śmierci czekać by mogli, mówi Stefan Jadzi, gdyby nie wiedział, jak z ludźmi rozmawiać. Jak na przykład takiego inżyniera Waciaka podejść, jak mu zakadzić, żeby myślał, że mu się w tyłek włazi.

i zabawną częścią pradownej tradycji Karczmy Piwnej. Posikać się można było ze śmiechu normalnie, bo Icek Łapcycek to był Żyd. W takim jakby płaszczu długim ciemnym, jak Żydzi noszą, na głowie pejsy oraz kapelusz czy cylinder żydowski też czarny i po żydowsku zaiwaniał tak, że po prostu jak z filmu jakiegoś żydowskiego, gdyby takie w telewizji puszczała zamiast nudnych radzieckich czy głupich czeskich. Sianowne państwo pozwolycze, że się przedstawię, to Icek Łapcycek, a potem dalej po żydowsku, że L39 → do 45
... papke, ... ukradkiem mój pra- ... Stefan, że był w ... więcej z pracy Icka Łapcycka na temat chorób górniczych niż zajobus ... piecho ... alkohol, ... gulamino-wo tak, że z ... Grzebielucha, i koktajl Moło ... Paskową Górę nad ranem i gdy sta ... om dryfujący w obłokach mgły, zapragnął nagle ... innymi niż dotąd czynami, godnymi gwarka, co z Karczmy wraca, wyrazić swoją miłość do Dziuni, Dziunieczki, ale nie znalazł nic oprócz paru zeschniętych astrów, wyrastających z betonowego sarkofagu przed ich bramą. Z takim bukietem zadzwonił do drzwi na dziewiątym piętrze, za którymi złość Jadzi czekała czujna jak pies. Zamiast się uśmieć, gdy jej powtórzył, i to w tajemnicy, bo Karczma nie dla hab, dowcipy Icka Łapcycka, powiedziała tylko, że jak chłop z chłopem się zejdzie, to tylko pałę zaleją i same im świństwa we łbie.

Od czasu pierwszej Karczmy Stefan borował ścianę węgla z takim zapalem, że aż koledzy z szychty musieli go wyciągać z powstałej dziury za górnicze buciory, i to nieraz w ostatniej chwili. Dwa razy z rzędu był przodownikiem pracy, a za trzecim, który, jak wierzył, się zbliża, czekała go przyznawana w takich przypadkach nagroda. Stefan nie mógł zdecydować, czy wolałby przydział na mundur galowy, czy skierowanie na wczasy siedmiodniowe w Warszawie, które dostają tylko przodownicy o nieposzlakowanej opinii. Czy ty sobie, Dziunia, wyobrażasz swojego Stefka w Warszawie? To by dopiero było reumatyczne! Musował Stefan i Jadzia się krzywiła, że fuj, ale jak mógł nie, gdy nadsztygar Grzebieluch wołał w stołówce, wszyscy to słyszeli (bracie, chodź no tu do nas, tak wołał), żeby się przysiadł i opowiedział jeden ze swoich dowcipów. Kawały z babą u lekarza, która miała w otworach różne rzeczy, zwykle sprzęty domowe, a wyjątkowo na przykład palmę lub kraba, były specjalnością nadgórnika Stefana Chmury. Opowiadał je w górniczej stołówce z takim uczuciem, z jakim w wieczorówce recytował wiersze. Ćwiczył mimikę i gestykulację przed lustrem w łazience i starał się być na bieżąco. A śmiali się, i to nie byle kto, bo nadsztygar Grzebieluch i inżynier Waciak, i Kowalik, co wprowadził tylko sztygar, ale z ambicjami oraz własnym samochodem marki Syrena.

Auto Stefan miał w planach pięcioletnich; wyliczył sobie wszystko z ołówkiem w ręku. Odkładał część wypłaty na książeczkę PKO, a drobniejsze sumy ukrywał pod bielizną w szafie; to były zaskórniaczki. Patrz, Dziunia, co miesiąc pokazywał żonie rosnące oszczędności i namawiał, by uważnie śledziła, jak podlicza na kartce;

to będzie na to, a to na tamto, a może lepiej odwrotnie, najpierw szarpnąć się, droższe kupić i dodać zaskórniaczków. Pytał Jadzię, ile by jeszcze, jej zdaniem, potrzeba odłożyć na telewizor, a ona odwzajemniała spojrzenie wypukłymi oczami o barwie agrestu, których wyraz pozostał dla Stefana zagadką, a poza tym myślał, że Jadzia ma oczy niebieskie. Bo jak, Dziunia, zachęcał ją, chciałabyś chyba mieć telewizor? Jadzia po namyśle podawała w końcu liczbę tak głupią, że czasem miał ochotę palnąć ją w łeb, chociaż był przeciw biciu kobiet nawet kwiatkiem. Do liczenia Jadzia głowy nie miała i Stefan lubił żartować z tej przypadłości żony, traktując ją jako pretekst do komediowego interludium między żartami o babie u lekarza. Policz, Dziunia, dwa razy, bo ci się co przydarzy, mówił Stefan na sylwestrze w klubokawiarni Barbara i przysięgałby, że inżynier Waciak mrugał wtedy do niego z ojcowską aprobatą, dyskretnie jednak, by zazdrośnicy nie spostrzegli ich zażyłości.

Co policzy, to zachodzi ta Jadzia. Stefan sam nie wiedział, co o tym myśleć, bo ostatnio zaszła na przykład nawet wtedy, gdy uważał i przysięgałby, że zdążył, zanim co. Pochlebiał sobie, że zna się na tych rzeczach nieco, ale w życiu na głos nie wymówił słów seks, penis, pochwą albo miesiączka, którą, jeśli musiał, nazywał ciotką. Poza tym mówił ten-tego, bara-bara, smoczus, pisiuła albo pierożek. Chuj, pizda, pierdolić, gdy był zły albo inni mężczyźni wokół używali właśnie takich słów. To wystarczało, sprawdzało się w teorii i praktyce. Raz Stefan widział film, który puścił mu na prześcieradle Kowalik, i to rozwinęło jego wyobraźnię. Wprawdzie było po niemiecku i niezbyt wyraźnie, ale kto chłop, kto

haba, dało się zauważyć, i czy robią to od tyłu, na jeżdżca czy normalnie, jak najbardziej lubiła nieskłonna do eksperymentów Dziunia. Wypili po parę piw, wino domowe z działkowych porzeczek Kowalika i prawie pół litra gorzkiej żołądkowej im zeszło pod same paluszki i korniszony. Stefan nabrał więc odwagi i zapytał kolegę, starszego od niego i bardziej doświadczonego, jak on sobie ten-tego z żoną radzi. Ty, Stefan, wiedz, przemówił Kowalik, wiedz, bracie, że baba tylko wtedy zachodzi, jak ma z tego przyjemność, nieważne, czy zaraz po, czy tuż przed ciotką. Wtedy kropelka wystarczy i masz pieluchy. Inaczej możesz krzyż osuszyć, na śmierć się zajebać, i nic. Bracie, one wredne są, te baby, jak krótko nie trzymasz, na łeb ci wejdzie. Więcej sztygar Kowalik nie powiedział, bo dobił go ostatni kieliszek żołądkowej, ale to krótkie wyjaśnienie problemów antykoncepcji przemówiło do Stefana. Nadmierną płodność Jadzi Stefan uznał za nieprzyjemny skutek uboczny jej przyjemności, mimo iż jej reakcje nie wychodziły nigdy poza sporadyczne i cichutkie westchnienie i zaraz leciała się podmyć w occie jak podsmalona.

Gdy siedem tygodni po urodzeniu córki Dziunia znów zaszła, Stefan potraktował tę wpadkę jako potwierdzenie zasady jednej kropli sztygara Kowalika. Nie mogli tak zaraz mieć jeszcze jednego, więc ją zawiózł do i ze szpitala taryfą, a wiadomo, jak ci złodzieje oszukują na liczniku. Gdy leżała potem osłabiona, kupił jej trzy goździki z przybraniem w celofanie, żeby szybko wróciła do siebie, bo z taką daleką nie wiedział, co robić. Trochę go to wszystko kosztowało. Zapomniał wprawdzie, że żona woli gerbery albo frezje, ale przecież wyraził

uczucie i trochę mu było przykro, że nie okazała żadnej wdzięczności, a nawet odwróciła się do ściany. Może ją bolało, ale z wierzchu nic znać nie było, że chora.

Stefan wiedział, co znaczy moje, jego były Jadzia i Dominika; dwie istoty splecione z nim związkami krwi i prawa, ludzkiego i boskiego prawa, bo wzięli kościelny i cywilny. Nikt mu nie wytłumaczył, że oszczędzał na wódce czy księdzu, chociaż nieźle go to uderzyło po kieszeni. Gdy urodziła się Dominika, pochylał się nad leżącą w łóżeczku istotą wielkości kota i gulgał, pstrykając śliną. Titi, poznaje tatusia? W nosie robiło mu się mokro, gdy wielkie czarne oczy na chwilę wydawały się odwzajemniać jego spojrzenie. Gdzie z tymi bakteriami do dziecka, fukała na niego Jadzia i kazała mu myć ręce, które i tak trzymał splecione na plecach w obawie, że skrojone nie na miarę czegoś tak kruchego jak Dominika. Wolał, żeby miała na imię zwyczajnie, Iwonka czy Mariola, ale Dziunia się uparła, że nie i nie. Miał teraz kłopot, jak zdrażniać takie duże, kanciaste imię, by pasowało do maleńkiej dziewczynki, której główki dotykał delikatnie palcem, gdy Jadzia nie widziała, by się upewnić, że istnieje. Stefan umiał miłość przekładać na oszczędności w PKO i zaskórniaczki, na pieniążki, za które żonę i córkę obdarowywał na jawie i w marzeniach o wielkiej wygranej w totolotka. Nie potrzebował niczego tylko dla siebie, bo oprócz rodziny nic go nie interesowało, może oprócz gazety „Motor”, w której na ostatniej stronie zamieszczano zdjęcia półnagich kobiet o dziwnych, wyrazistych twarzach. Poza tym mógłby po prostu siedzieć i patrzeć na radość Jadzi i Dominiki, musując w świadomości, że to on, bajstruk, nieślubek, ma tyle do dania. Za każdym razem, gdy któ-

raś podeszłaby do niego, wyjmowałby ze skajowej teczki nową sukienkę, pomarańczową, szynkę Krakus. Słowa uczuć jednak nie były mocną stroną Stefana Chmury, który umiał tylko łąć wodę i kadzić. Jedynym sposobem, jaki znalazł na oswojenie tych miłosnych, które miał pod językiem niegotowe i nieporęczne, było zdrabnianie i dlatego taką trudność sprawiało mu duże imię córki-oseska. Zdrobienia sprawiały, że piersiątko Dziuni, ten skarb cudownie podwojony, stawały się swojskie jak dobrze zagniecione pyzy ziemniaczane. Jej nogi były nóżkami, ręce rączkami, rączuchami. W chwilach gniewu wystarczyło okrasić podrobione słowa złośliwą intonacją, rozgnieść jak widelcem, i już miało się piniążki, które on, Stefan, zarabiał, a Jadzia przepuszczała na szmatki, błyskotki i duperelki. W błoto wyrzucała te na życie i nawet zaskórniaczki z niego wyduszała! Gniew Stefana mijał zwykle po jedzonku. Prosił wtedy o herbatkę i czytał gazetkę, którą porzucił, gdy dorobił się telewizorka. Nocą w łóżku mówił do Dziuni, smoczus, puk, puk, jest głodny. Dziunia miała szyneczki i bułeczki jak budyń śmietankowy. Stefan sięgał i miesił brzuch, pośladek miękki żony, mlaskał. Uwielbiał ssać jej duże, mleczone piersi i nieraz zasypiał z brodawką w ustach jak ze smoczkiem. Nieraz w Jadzi zamarzył o dużym kawałku mięsa w sosie i pędząc do celu, zaciemka o reszcie tegoż sosiku na zasmażce, który można chlebusić do czysta. Gdy zobaczył Jadzię Maślak po raz pierwszy, najpierw poczuł burczenie brzucha, a potem dopiero ochotę, by ją wziąć do łóżka i wylizać od stóp do głów jak lizaka kogutka.

W dzień, gdy się poznali, Jadzia wypełniała jasny płaszczyk w pepitkę (choć ona prostowała, że był

ciemnoszary w jodelkę) jak wyrośnięte ciasto pod ściereczką. Stefan miał wrażenie, że guzik na biuście zaraz prysnie i strzeli go w oko. Omal nie zemdlał na widok jej ciężących ku dołowi piersi i wypukłej gruszki pośladków w krótkiej spódnicy, którą zobaczył, gdy zdjęła płaszcz (jasny lub ciemnoszary, jak kto woli) i powiesiła na oparciu krzesła w barze dworcowym, gdzie zaprosił ją zaraz po szczęśliwym lądowaniu ze schodów. Rozlał z wrażenia połowę herbaty, gdy zauważył, na swoją przypieczętowaną zgubę, małe stopy Jadziny i krótkie, kształtne nogi o łydkach pokrytych ciemnymi włoskami. Włoski spłaszczone pod przejrzystym materiałem pończoch – w życiu Stefan nie widział nic piękniejszego na kobiecie. Gdy nachylił się, by podać Jadzi cukier, poczuł bijący od niej zapach czegoś tak apetycznego i czystego, że aż zakreśliło mu się w głowie. Wwąchiwał się w buchającą od Jadzi woń świeżo nastawionej galarety z różek i zasmażki, wiedząc, że oto znalazł kobietę swojego życia i dostał w jej osobie klucz do spiżarni pełnej smakołyków, które uznał za bezpowrotnie stracone.

Zanim Halinę Czeladź, jego matkę, udało się wydać za mąż za Władka Chmurę, kowala z sąsiedniej wsi pod Grodnem, Stefan spędził pierwsze cztery lata życia w domu wuja Franciszka. Panna z dzieckiem nie miała wielu opcji, a gest brata nazywał się łaska. Taka łaska na pstrym koniu jeździ i nieraz ją tak poniesie, że znika łaskodawcy z oczu. Stefan bajstruk, nieślubek dreptał na kabląkowatych nogach pod spiżarnią i oblizywał wargi suche, spierzchnięte jak dwa kawałki kory. Nie miał tam wstępu. Kielbaski? pytał czasem wuj Franciszek i podtykał mu pod nos kawałek suchej pachnącej jałowcem,

jakby nagle zmienił zdanie co do gówniarza darmozjada i pokochał go jak ojciec, którym był dla swoich czworga; ich nigdy nie bił bez powodu. Gdy Stefan otwierał usta jak najszerzej, by dużo się zmieściło, i zamykał oczy, bo wtedy można się rozdziawić jeszcze bardziej, gdy już czuł smak śliskiej od tłuszczu kielbasy, grube jak konar ramię cofało się. Nie dla psa kielbasy, tylko gównu bez okras! Od takiego śmiechu drżały szyby obsrane przez muchy i wyły psy, od takiego śmiechu wypadały z gniazd bociany, zakalec się robił w chlebie i ścinało się mleko. Stefan patrzył, łykając ślinę, jak kielbasa znika miażdżona żółtymi zębami wuja Franciszka. Raz, tuż przed Wielkanocą, Stefan w końcu zastał spiżarnię otwartą i zamarł z ręką na framudze. Patrzył w zachwycie na pęta kielbasy, wędzoną słoninę, sery i ciasta pod ściereczkami, takie piękne jak Matka Boska, jak niezapominajki. Nie zdążył niczego tknąć, bo za jego plecami pojawił się wuj Franciszek i zatrzasnął drzwi, tak że stłukły mu na sino trzy palce. Ból od kilku policzków, co spadły z góry, nie dorastał tamtemu pierwszemu do pięt.

Pamięć o tym zwinęła się w sercu Stefana jak uzbrojony w ostre kły soliter i kiedy tylko ma okazję, najada się na zapas, ale nie opuszcza go głód ani on nigdy nie opuszcza głodu. Co ty, chłopie, taki chlany jesteś, wzdycha Jadzia, odsuwając się od jego porannych pieszczot lub dokładając mu jeszcze parę kartofli, jeszcze łyżkę smażonej kaszanki, czarnej i chropowatej jak strupki zdrapane z dziecięcych kolan. Żołądek Stefana, wielki jak u przeżuwacza, po każdym obiedzie grozi eksplozją ziemniaczanego purée.

Konusa z wusem wypatruj, Zofia pokazała córce niewielki wzrost wuja: jej ręka zatrzymała się na wysokości piersi. Kazimierz Maślak mierzył zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów, ale konusowatość była tą cechą, dzięki której wyrzucił w górę.

Odkąd sięgał pamięcią, niski wzrost pozwalał mu uniknąć katastrof, które zabijały innych, a jemu przynosiły korzyść. Do siódmego roku życia był najmłodszy i najmniej udany z trzech braci, wysokich, gibkich i szybkich: wyciągał się na palcach, wydłużał krok, ale nie dostawał i nie nadążał. O niecały rok starszy Włodek przerósł go o głowę, a z najstarszym Wackiem nawet nie śmiał się równać. Zjadali mu sprzed nosa makaronowe ciasto uprażone na blasze przez matkę Maślakową, wymykali się, przeskakiwali mu nad głową, trąbili do ucha, że konus, i tyle ich widział. Kazimierz szybko pojął, że aby zyskać, trzeba wyłożyć, i gdy tylko bracia przejawiali chęć, by włączyć go do zabawy, gotów był do handlu wymiennego. Wspiąć się na drzewo i wybrać wronie gniazdo, przywlec aż spod torów psiego trupa do łowienia węgorzy to były dobre monety. Miał ich pełne kieszenie, ale nie zawsze starczało. Tamtego zimowego ranka biegł za braćmi śmigłonożnymi aż do dębu na rozstaju, ale zostawili go w tyle. Dyszał w obłokach kwaśnej pary, lśnił dwoma gilami zielonymi jak kielki zawilców, a oni już ześlizgiwali się bosymi stopami do Pelcznicy. Słyszał, jak śmiejąc się, zjeżdżają w dół po błotnistym zboczu, ryją piętami w miękkiej ziemi, pełnej budzących się robaków,

szczęśliwi, że pozbyli się go, nieznosni w skierowanym przeciw niemu szczęściu. Szła wiosna, pękały lody, ryby brały wielkie i senne, że tylko rękoma wyjmować z przełębla. Parę metrów od brzegu, latem by dopłynęli, a tak poszli pod lód i dopiero w kwietniu znaleźli ich ciała za starym młynem. W każdym z braci Kazimierza Maślaka gniazdo uwiła rodzina węgorzy, które uciekały oczami, uszami.

Tak Kazimierz niedługo przed ósmymi urodzinami został jedynakiem i to, co było dla trzech synów do podziału, jemu dostało się w spadku. Stary Maślak zapijał się ze zgryzoty, ale matka Maślakowa nie pochowała miłości do dwóch starszych, którym już na nic nie mogła się przydać, tylko zatrzymała dla ocalałego. U niej nic, co dobre czy choćby z grubsza jadalne, nie marnowało się. Nie było lepszych grzybów, to zbierała żółte i bordowe gołąbki, brakowało mięsa, robiła kotlety z bułki tartej, potopili się wyżsi, pokochała mniejszego i żywego. Wszystko potrafiła matka Maślakowa zawekować, zasuszyć, zakopać na zaś. Być może zakopywanie i chomikowanie rzeczy zastępowało jej chęć własnego zniknięcia pod ziemią, gdy po raz kolejny dostawała po głowie od pijanego Maślaka, obwiniającego ją o śmierć synów. Może korkując butelkę z chabrową nalewką, która musi poleżeć w ziemi co najmniej pół roku, marzyła, że przeciska się przez szyjkę i kurczy wewnątrz z kolanami pod brodą, a ziemia spada na nią i robi się coraz bezpieczniej i ciemniej.

Kazimierz w domu pozbawionym konkurencji nabrał krzepy i pewności. Nie urosł specjalnie, ale na bokach odłożył mu się tłuszcz i łokcie nosił w większej

odległości od ciała. Zrozumiał, że konusowatość zależy od tego, czy inni są wyżsi, i po śmierci braci zadawał się tylko z młodszymi od siebie. Zauważył, że głupszych można wykołować i łatwo zachachnąć im parę szklanych kulek, bryłkę cukru, gumę na procę albo wmówić, że dostali większą połowę, co widać gołym okiem. Odkrył w sobie odziedziczony po matce talent do chomikowania i podwajania, a po braciach upodobanie do handlu. Wymieniał się na towary z małymi Gorgólami i chodził nad Pelcznicę z chudymi bliźniaczkami z Kocierzowej, które za bułkę z masłem podnosiły brudne sukienki i pokazywały mu dwie identyczne bezwłose cipki z sinymi żyłkami pod skórą, jak świeżo urodzone myszki. To się małemu Kaziowi opłacało, to była nauka, że wszystko ma swoją cenę, która przyda mu się podczas wojny.

Wojna wciągnęła Kazimierza w mundur o przydługich nogawkach i rękawach; do butów napchał słomy i pojechał z innymi najdłuższym pociągami, jakikolwiek zatrzymał się w Zalesiu. Wszędzie trzymał się z tyłu, ale nie z samego, przód, pośladki i boki starał się zawsze mieć zabezpieczone jednocześnie. Kule, które zmiotły sześciu jego rówieśników z Zalesia, jemu przelatowały wysoko nad głową. Raz się wywinął, raz wykupił i znikł w lesie, gdzie przetrwał do końca wojny, by na dobre wyjść jako bohater. W partyzantce mówili, że Kazimierz Maślak przynosi szczęście, bo jak nikt potrafił wybrać odpowiednią porę na wizytę we wsi. Znikał nocą i wracał z plecakiem pełnym kielbasy, kilkoma słoikami grzybów marynowanych i paroma złotymi pierścionkami, które chował w dziupli starego dębu, o czym nikt oprócz niego nie wiedział. Kazimierz myślał o rodzinie,

o dziewczyny poślubieniu szczupłej i malej jak bliźniaczki z Kocierzowej, co nie nadawały się jednak z powodu zepsucia i braku posagu. Choć konus, sprawny był Kazimierz i zwinny, umiał śmignąć i podskoczyć, jak potrzeba; łąpał się grubego konara, podciągał i siedząc na gałęzi okrakiem, upychał skarby w miękkim, próchniczym wnętrzu drzewa. Skąd te żydki mają takie złoto, kręcił głową z niedowierzaniem i podziwem, to trzeba mieć łeb, żeby takie złoto złociuchne, z kamieniami. Dla niego wojna polegała na tym, że jedni drugim chcieli coś zabrać, a w wygranej chodziło o to, by za plecami jednych i drugich zyskać. Kazimierz nie oddałby, co jego, kosę by chwycił przekutą i ciął Turka, Tatara czy innego Kozaka, aż by jeden z drugim popamiętał; szabelką, w czapę, nogi z dupy. Upewniał się, że złote, nagryzając monety, medaliony, bransolety i pierścienie, a potem zeskakiwał i biegł do swoich cichy jak lis. Nie czuł ani współczucia, ani strachu, tylko wielką potrzebę posiadania i pewność, że aby posiadać, musi przeżyć.

Handlował wódką z Niemcami i brał złoto od Żydów przemycanych z Łodzi, niedobitych w Skierniewicach, niespalonych w Warszawie. Spotykał w umówionym miejscu w lesie ciemne postaci, półprzejrzyste jak cienie, które ktoś przyprowadzał, by on mógł dalej zaprowadzić, oddawał je w inne ręce parę kilometrów dalej, węsząc swoim małym kartoflanym nosem bijący z ich ubrań i włosów zapach śmierci. A czasem dogadywał się z innymi, to zależy, co się bardziej opłacało, i cienie błdziły po lesie tak długo, aż zasypiały gdzieś na zawsze ze zmęczenia i głodu, z kieszeniami opróżnionymi z pierścionków po matce. Co jak co, ale on, Kazimierz, brał

na siebie nie tylko złoto, ale i ryzyko niemałe. Robił, co jego, co cudze, nie. Odchodził, macając w kieszeni zapłatę złotą z zielonym kamieniem, a że nikt nie przyszedł po Żyda, to już nie jego sprawa, nawet jeśli wiedział, że nikt nie przyjdzie. Jakby jego, Kazimierza Maślaka, pytać, większość tych żydków leśnych była martwa, co dało się wyczuć. A Kazimierz miał nosa. Którejś nocy obudził się w szałasie, odsunął od chrapiącego Janka Kosa i przez smród niemytych ciał, wilgotnych mundurów kolegów partyzantów poczuł koniec wojny tak wyraźnie, że aż zakręciło mu się w głowie.

Wrócił do Brzeziny, jego dom stał, matka Maślakowa z grubsza też, chociaż potrzebowała oparcia, bo trzymała się życia tylko po to, by powiedzieć synowi o zakopanych w ogrodzie butelkach nalewki na chabrach i garnkach smalcu (w tym jeden faszerowany Matką Boską Częstochowską na łańcuszku złożonym i kolczykami z serduszkami). Jeszcze trochę pokrzątała się matka Maślakowa, podtrzymując spuchnięte podbrzusze, w którym coś jej urosło, i zwinęła się na tamten świat, a Kazimierz niespodzianie został sam na niemałym gospodarstwie. Zupełnie bez rodziny, nie licząc Zofii Maślak z Zalesia, żony kuzyna niemoty, który jeszcze z wojny nie wrócił. Pierwsze odwiedziły Kazimierza bliźniaczki z Kocierzowej. Tak samo chude i białowłose, nadpsuły się jednak przez lata wojny jeszcze bardziej i za pół garnka matczynego smalcu zrobiły dla Kazimierza dużo więcej niż kiedyś. Oszołomiony nalewką chabrową i nadmiarem szczęścia stracił rachubę, która chuda dupka była czyja, tym bardziej że nigdy ich nie odróżniał. Gdy patrzył, jak bliźniaczki siedzą nago i wyjadają palcami smalec, myśli o własnej

rodzinie, nieużywanej żonie i dzieciach, samych małych dziewczynkach, które będą, gdy zrobi z niej właściwy użytek. I może zostałby Kazimierz w Brzezynie, ziemi dokupił, czymś handlował, coś kombinował, gdyby nie trup, którego uznał za znak, że czas w drogę. W tę samą noc, kiedy spowodował wypadek, jadąc starym gruchotem ze Skierniewic, Kazimierz stanął w polu, przeżegnał się, zamknął oczy i znów zaczął węszyć.

Zmysł, który pozwolił mu uniknąć kul, zasadzek i czapy za kolaborację, podpowiedział mu, że powinien ruszyć na zachód. Wyjął więc wojenne łupy z dziupli i ukrył w kilku starannie przemyślanych miejscach swojego konusowatego ciała, a w przypadku większych sztuk przydała się reszta smalcu matki Maślakowej. Okręzną drogą przez Szczecin, Poznań i Wrocław, przekładając swoje łupy z jednej kryjówki w drugą i pomnażając podczas przygodnych interesów, Kazimierz Maślak dotarł do Wałbrzycha. Bogatszy o kilka zegarków, zwitek nowych banknotów i futro z rudych lisów zhandlowane korzystnie od wielkiej zaciągającej baby, którą okradli w drodze, że tylko to futro jej zostało i wrzeszczące niemowlę, również do oddania w dobre ręce, znalazł się w miejscu, gdzie jego węch rozwinął w pełni swoje możliwości, jak myśliwski pies spuszczonej ze smyczy. Wysrał złoto w zmyślnych woreczkach z prezerwatyw, przepłukał kiszki wódką, ogolił szczecina porośłą twarz u Antosia na Szczawienku i ruszył w miasto. Zataczał coraz większe kręgi, aż trafił do drzwi domu u stóp Piaskowej Góry, który w innej epoce należał do rodziny niemieckiego inżyniera hutnictwa i jego pracownicy żony Gerty, a teraz zamieszkiwany był przez czterech górników u góry

i rodzinę profesora Muchy na dole. Profesor Mucha kiedyś uczył gry na klawirze gdzieś na kresach, profesorka pisywała opowiadania pod pseudonimem, a ich córka Basia, Basieńka nie zdążyła pójść w ślady rodziców, bo trudno iść po śladach zmiecionych wiatrem historii.

Wkrótce pozował Kazimierz Maślak przed kościołem na Szczawienku do zdjęcia z niepełnoletnią żoną Basieńką, w dwa razy na nią za dużym futrze z lisów narzuconym na ślubną sukienkę, w której wyglądała jak dziewczynka do komunii. A kogo wtedy było stać na fotografa? Kogo stać było na takie wesele w lokalu? Tylko ten, kto miał łeb Kazimierza, umiał tak się ustawić, żeby wiatr przelatujący przez Wałbrzych zawsze mieć w plecach. Profesor Mucha na Ziemiach Odzyskanych stracił zdrowie i ogłuchł od ciągłych infekcji, profesorka dorabiała szydełkowaniem, bo co miała, sprzedawała, a Basieńka, za stara do szkoły podstawowej i nieprzyjęta do żadnego liceum, całe dni plotła wianki. Była mała i chuda jak płowowłosy Pinokio, podobno lekko opóźniona, ale Kazimierzowi wydawała się dowarzona akurat na czas i jak skrojona na miarę. Gdy zbiegała ze schodów, słysząc było drewniany klekot cienkich kostek, a w powietrzu zostawał po niej zapach rozgniecionych malin. Nieustannie nuciła pioseneczki jakieś pod nosem; to prawdziwa była muzyka dla jego serca, co za słodczy, miód-malinka. Zaśpiewaj wujkowi do uszka! Chodź do wujka na kukułki! Kazimierz obserwował z góry, jak Basieńka zbiera kwiatki w zachwaszczonym ogrodzie, jak plecie wianek pod jabłonią, a słońce krzyżuje ją na wskroś tysiącem złotych igieł. Zasadzał się na schodach, krążył koło kuchni, wyskakiwał zza poniemieckiej szafy w cuchnącym

butami przedpokoju Kazimierz zakochany; jego macki przypuszczały atak wierćco-ssący, a Basia broniła się, wujku, nie-nie-nie. Przynosił Kazimierz przebiegły towar deficytowy, kawy prawdziwej dziesięć deka, ponad metr gumki do majtek, parę botków skórzanych, aż raz zaskoczył starych Muchów cielecą półtuszą.

Po niedługim czasie w tym samym domu mieszkał już tylko Kazimierz z żoną Basieńką i stęknąjącą teściową, której niewiele zostało do mety, a pierwszy jego prywatny interes (szydełkowe kompleciki do chrztu) szedł coraz lepiej. Ci, których przywiał do Wałbrzycha, rozmnażali się z nadzieją, że dzieci urodzą się z korzeniami, które im odcięli, a wtedy będą mogli chwycić się swoich ukorzenionych dzieci i poczuć się na swoim miejscu, u siebie, nie do ruszenia. Dziergała na białą teściowa i dziergała, nucąc, Basieńka, dziergały cztery sąsiadki na Białym Kamieniu i sześć na Szczawienku, a zamówienia sypały się jak liście. Kobiety skręcały białą nić ze sprutych sweterków, z puchu kaczego, śniegu i papieru, z dmuchawców i królików albinosów, z pajęczyn i siwych włosów. Biała nić na czapeczki, pelerynki i buciki do chrztu osnuwała cały Wałbrzych jak sieć i niejeden górnik wracający mroźnym świtem po paru kieliszkach potykał się o nią i nie zdążył podnieść, gdy oplątywała go na śmierć. Ale Kazimierz na ubrankach do chrztu dopiero się rozkręcał; królestwo swe widział ogromne i brakowało mu tylko spadkobiercy. Opukiwał swoją chudziutką żonę, aż poodpadały z niej ostatki dzieciństwa jak zmurzały różowy tynk, i na zalecenie lekarzy diagnozujących niedożywienie, anemię i oziębłość zmuszał do jedzenia gorących zup mlecznych z dodatkiem masła i ociekających

tluszczem pączków z prywatnej piekarni na Szczawienku. Wpychał w nią faworki i parówki z musztardą, orzechy w miodzie i kogel-mogel, a Basieńka puszczone samopas biegła do ogrodu i rzygała w rabatki. Kazimierz Maślak wyobrażał sobie, że zaludni świat małymi dziewczynkami o płowych włosach, takimi jak jego krewna z Zalesia Jadzia, jak bliźniaczki o mysich ciapkach. Pomniejszych kobietkami, które nigdy nie przerosną go o głowę.

Gdy po dwunastu latach Kazimierz zdobył się na odwiedzin w rodzinnej wsi, kuzynka Zofia była już w stadium przekwitnięcia i wychodziła z użycia, ale jej córka dopiero wchodziła w życie. Na zawsze miała Jadzia zapamiętać wyboiste patataj na kolanach wuja, które przesądziło o jej losie. Wuj Kazimierz ucórczył Jadzię na przód w myśli, by słowem niczego nie przesądzać. W interesach nie wolno być pochopnym, zwłaszcza gdy myśli się o rodzinie. Patataj, pojechał wuj do nieba z Jadzią prawie ucórczoną i gilgał ją pod paszkami z całych sił. Kazimierz do ucórczenia Jadzi wrócił dopiero po ośmiu latach, gdy było już oczywiste, że z Basieńki nic się nie wycisnie nawet pod dużym i systematycznym naciskiem, i wtedy właśnie napisał list do Zofii. A jednak tego poranka Kazimierz zapomniał odebrać Jadzię z Dworca Miasta i być może był to pierwszy symptom choroby Alzheimera, kielkującej w gorącej atmosferze jego mózgu nastawionego na kalkulację i zysk. Wuj Kazimierz znajdował się owej zimy na etapie pieczarek, a gdy zapalał się do czegoś, to płonął jak pochodnia. Jego oczy, małe i wciśnięte głęboko, tryskały iskrami, ział spod wąsa ogniem inicjatywy prywatnej, strzelał palcami wprost w podziurawioną na wylot Basieńkę. Warto było

trudzić się dla pieczarek! Hodowane pokątnie na obrzeżach Wałbrzycha w poniemieckich stodołach, białe jak śnieg, jak czapeczka do chrztu, rosły na końskim nawozie, gównem zmieniało się w pieniądź, a wuj Kazimierz wiedział, gdzie można załatwić je tanio. Inwestycja w pieczarki to, co uzbierane na komplecikach do chrztu, podwoi, pieniądź robi pieniądź. Tylko podejrzenie, czy wspólnik od pieczarek czasem nie mojżeszowy, dręczyło wuja Kazimierza, spędzając mu sen z powiek; rzucił się w pościeli z boku na bok, aż Basieńka wykatapultowana spadała z łóżka. Ale nie bał się wyzwania, nie unikał ryzyka; jakby mojżeszowy, liczyć wszystko dwa razy i na ręce mu patrzeć będzie, postanowił. W poranek przyjazdu Jadzi szczegóły pieczarkowe były przyklepywane i Kazimierz nie przyznał się, że przypominał sobie o Jadzi dopiero wtedy, gdy żona zapytała szeptem, bo głosu dawno jej odebranego zabrać nie mogła z powrotem, a gdzie Jadzia, Kaziczku? Poszedł w ruch wiatrak ramion Kazimierza, wybuch to był ze strzelaniną, która Basieńkę trafiła pod oko i w ramię rykoszetem. Co ludzie powiedzą, gdy młodą krewną okradną, miasta nieznającą, zgwałcą czy wręcz zamordują Cygany z ulicy Pocztowej? Czyja to wina, że mu o Jadzi nie przypomnieli, jak nie Basi? Winna Basieńka i obita wyładowała się na bitkach wołowych, które mąż lubił z kaszą, a Kazimierz bezskutecznie szukał Jadzi po Wałbrzychu.

Gdy wieczorem stanęła w drzwiach ze Stefanem, cała i zdrowa, z wypiekami na policzkach jak glazura wiśniowa, Kazimierz otworzył butelkę bułgarskiego koniaku na specjalne okazje. Uczucia go załyły gorąco ojcowskie, gdy patrzył na biodra Jadzi, na piersi mleczne, na

zatoki potu pod pachami różowego sweterka. Myślał, że z tych pieczarek nieźle się odłoży. A oszczędności plus dom i jego zawartość kiedyś trzeba będzie komuś zostawić, i to na pewno nie obcemu, o nie, po jego trupie. Komu więc, jak nie Jadzi, co z własnej, nawet jeśli nieco rozrzedzonej, krwi?

Właściwy rodzic Jadzi, kuzyn Kazimierza, Maciek Maślak, poczwiwna, co o hodowli królików gadał od małego, zginął w sposób najgłupszy z możliwych w dzień powrotu z wojny. Kamień w wodę i dopiero na jesieni resztkę wydławił z tej samej Pelcznicy, w której Kazimierza braci zjadły węgorze, a poznać go można było tylko po nieśmiertelniku w kości zapłatany. Upić się musiał, bo jak inaczej to wytłumaczyć? Kazimierz innej możliwości nie dopuszczał do głosu. Zofia urodziła pogrobowca i umiał Kazimierz zatkać mordę tym, co jej miesiące liczyli, jakby ich były. Swoje niech liczą! Taki smród i do niego mógłby przyłgnąć, jakby się rozniosło podejrzenie, które Czesiek Kociuba podsycił, a Janek Kos swoje dokładał pewnie, bo zawsze miał na Zofię chrapkę. Po Jadzi jednak nic nie widać, oczy niebieskie, blondyna, biała jak bułka z pszennej mąki. To jest ulga, to się nazywa szczęście rodzinne, pomyślał Kazimierz i poklepał udo Jadzi po ojcowsku. Wypytał Stefana, ile w kopalni na rękę dostaje i jakie ma widoki; po plecach mu raz i drugi dłońią przeciągnął, by sprawdzić, czy nie garbaty, czy na zięcia barczysty i umięśniony należycie. Zahaczyli się ramieniem w ramię i wypili po koniaku na znak przyjaźni, przypieczętowany cmoknięciami w policzki na trzy razy. Po męsku dmuchnęli w chleb, panie zapłyły oranżadą pstrykającą w język, jakby padał grad. Już zaczęli się w ten

wieczór ustawiać rodzinnie. Jadzię między sobą podawać i wymieniać, patrzeć, jak ją wcisnąć, by najlepiej pasowała. Już wuj Kazimierz u głowy stołu rozogniony, już Stefan po prawicy musujący o planach swoich pięcioletnich; wuj rzuca, Stefan aportuje. Już Jadzia czuje się jak u siebie, o co ją proszą, czuj się jak u siebie, Jadziu. Już po stronie cioci Basi się orientuje, gdzie tu chleb, gdzie śmieci, jak się w Wałbrzychu esencję herbacianą w imbryku poniemieckim zaparza najoszczędniej. Sprawy zaszły daleko, a wkrótce zajdzie Jadzia i w obliczu tego niespodziewanego zajścia zaręczy się ze Stefanem Chmurą za pomocą pierścionka kupionego od żołnierza armii radzieckiej z pobliskich koszar.

Koszary w Świdnicy były ceglasterkowe, ogrodzone siatką i murem. Unosił się wokół nich zapach chemii i starego potu jak u szewca, a w szparach drewnianych podłóg można było znaleźć guziki od niemieckich mundurów jeszcze długo po zakończeniu wojny. Zamieszkali w nich chłopcy o zepsutych zębach i z żałobą pod paznokciami; wytrząsali kieszenie, a tam brzozy, cerkwie drewniane, Natasze i Katusze, czerwone gwiazdy, śniegi po pas, Dieduszka Moroz i złota a złota. Takim złotem cały Wałbrzych się zaręczał, bo trudno było o złoto tańsze i grubsze, bardziej błyszczące i bogate. Takie złoto, żółte i tłuste, różowo, niebiesko, seledynowo wysadzane, matki trzymały w bieliźniarkach, chomikowały w woreczkach upchanych między staniki i majtki, jakby myślały, że skoro tych rzeczy nie pokazuje się publicznie, złodziej też nie będzie grzebał im w różowych ligach, przetartych w kroku. Przy dobrym humorze matczynym wyjmowały zawiniątka, nabłyszczwały oczka o spódnice

i pokazywały małym córkom, jak kamienie mienia się w słońcu. Miały córki dostać te cuda, gdy ich czas przyjdzie, i włożyć w bieliznę dla swoich albo przeznaczyć na czarną godzinę, co oby nie przyszła, bo żal by było takie złoto wydawać. To było złoto do trzymania na potem, nigdy nie zużywało się go teraz, nigdy nie nosiło, na światło dnia nie wyciągało za często, jakby mogło się zużyć od samego patrzenia. Górnicy stali pod koszarami, a Ruscy im przez kraty złoto sprzedawali, z ręki do ręki, za papierosy, za złote polskie, za kielbasę. Przychodziły kurwy nocami i starsze przez kraty dawały, a młodsze podsadzały jedna drugą i przelatywały głową w dół po złoto wprost na czekających żołnierzy, którzy łapali je w powietrzu jak nadgniłe owoce i wgryzali się, zanim dotknęły ziemi. Gierojce bekający cebulą i dżemem ze świni, gdyby wiedzieli, czekając na kurwy w ciemności, że staną się po latach motywem literackim, więcej by brali za pierścionki z rubinami, szmaragdami, za łańcuszki, targowaliby się bardziej. Żołnierz o twarzy przeorałej trądzikiem przysięgał Stefanowi, że złoto sprzedaje z najprawdziwszym rubinem, carskie złoto po habuszcze, ale kłamstwo wyszło na jaw już nazajutrz sinym nalotem. Jadzia litościwa będzie ukrywać oszustwo przed oczami męża, aż po latach litość się zużyje i żona rozżalona rzuci tombakowym pierścionkiem w męża twarz.

Do kościelnego poszła Jadzia w sukience z ponie-mieckiej firany. Sukienka inna gotowa czekała, ale tydzień od ostatniego mierzenia upłynął i w przeddzień ślubu tylko trzy czwarte Jadzi pomieściła biała koronka. Ciągnęły na cztery ręce, Jadzia i Halina, matka Stefana, by brzeg do brzegu dociągnąć i panny młodej ciało wy-

łażące w środku zatrzasnąć na rząd perłowych guziczków. Ciało się jednak wylewało, białe i miękkie, jak ciasto drożdżowe rosło. Łzy były i złorzeczenia, wszystko na nic, aż w końcu zawołały Stefana, by z męską siłą do brzegów się zabrał, chociaż to nieszczęście przynosi, gdy przed ślubem mąż przyszedł żonę na biało zobaczy. Stefan w ręce splunął, kolaniem o Jadzi pośladki się zaparł i trzasnęła sukienka ślubna na dwie części, pękając tak, że teraz nie tylko od tyłu Jadzia wyłaziła, ale i od przodu świeciła golizną. Ślub nazajutrz, co robić? Zaproszenia posłane, ksiądz opłacony, tort w spiżarce, dwadzieścia miseczek z wieprzową galaretą i kotlety pobite w piramidę rosną, rosółu i barszczu gar – to się nie może zmarnować. Przed ludźmi wstyd! Wtedy matka Stefana z okna muślinową firanę ręcznie haftowaną zerwała, aż na karniszu zadzwoniły żabki. Haftowała ją Fraulein Herta Korn i przez lata potem żałowała, że in Waldenburg ją zostawiła, bo co to była za firana! Do końca życia w całej Bawarii takiej drugiej nie widziała. Od góry gęsty wzór, żeby do środka spojrzenia i muchy nie wpadały, a dołem pejzaż cały wyczarowany: domki, płotki, kwiaty, słońca i żabki. Starczyło firany, by Jadzię od stóp do głów i dookoła owinąć szczelnie, a Halina podszyła, spięła i udrapowała tak, że prawie nie było widać po pannie młodej, że bez wianka. Wcześniej cywilny w przyciasnej kremplinie lilaróż i już żoną Jadzia była, przedślubnie zapłodnioną. Wuj Kazimierz zarzucał końskim gównem stodoły, pełne pieczarek pączkujących jak łyse czaszki, myśląc, żeby tylko dziewczynka, mała i biała, słodziutka, a ciocia Basieńka rzucała się do Jadzinego brzucha, nucąc w jej pępek kołysanki.

Po drugiej stronie pępka kołysanki szalonej cioci o dziewczynce malinca jak szynka słodkiej i miód wpływały w uszka wielkości bałtyckich muszelek, odciskały się w mózgu miękko jak w maśle. Przez zarośla jelit przepychających ruchem robaczkowym papkę ziemniaków i mielonych, przez lepkie ściany rozdętego worka z mięśni, na falach morza czerwonego płynęły słowa o pieśku niebieskim, co uрониł dwie łezki nad dziewczynką malinką martwą na śmierć. Jadzia bezmyślnie głaskała po głowie zdzienną Basienkę i czuła, jakby poza nią to wszystko działo się i zaszło, tym bardziej że liczyła płodne i niepłodne ze trzy razy. Ciężę nosiła, bo nie mogła zostawić jej w domu, mimo że nogi jej puchły, jakby w łydach też rosło coś niezależnego od jej woli. Donosiła Jadzia i patrzyła na swoją córkę, czując znajomy skurcz w gardle, jak wtedy gdy poplamiała komunijną sukienkę albo zrobiła kupę na łóżku porodowym. Co za wstyd, bo na widoku i w takiej chwili ważnej dla kobiety, gdy dokonuje się cud natury, a Jadzia zamiast owocu swojego żywota wydała najpierw dwa przetrawione na gładko obiady. Obesrała nam, wiocha, wszystko, powiedział lekarz, a właściwie sam głos spomiędzy ud Jadzi rzemieniami rozkracznie przywiązanych. Zapadłaby się pod ziemię, gdyby mogła, ale nie była w stanie nawet podrapać się w nos, bo ramiona też jej unieruchomiono na wszelki wypadek – boli, bo ma boleć, i niech tu rękami nie macha.

Tak trudno utrzymać czystość i poradzić sobie ze wszystkim. Wszystko nie ma kształtu, napiera jak woda, powietrze nie jest odżywcze, Jadzia oddycha, ale nie czuje, by napelniało jej płuca, może już utonęła. Leży

nocami obok snu męża i córki, a słona fala wzbiera w jej piersiach zamiast mleka i zalewa pokój wodą pełną martwych ryb i wodorostów. Nie rozumie Jadzia, skąd w niej tyle słonej wody, w niej, która nigdy jeszcze nie widziała morza. Leje się jej z oczu i nosa, bucha ustami i uszami, strużki tryskają spomiędzy jej nóg i spod małych okrągłych paznokci pomalowanych na perłowo. Wypływają z niej ławice wędzonych szprotek, wypryskują kałamarnice o czarnych oczach, wzdęte od atramentu, z pępka wybucha gejzer ameb na wiotkich nibynóżkach, a sflaczale rozgwieżdzy wypadają z jej włosów odurzające perhydrolem. Płyną morszczyzny, morskie paprocie i całe pola zarośli sargassowych, w których tonie Jadzia. Idzie żona młoda z mężem świeżym i mało jeszcze użytym przez życie, a tu nagle słona woda chlupocze jej w butach, jakby pod stopami miała fontanny; pełne już kieszenie płaszczyka w pepitkę, kaskada słona wali jej się na głowę utlenioną i zalakierowaną według mody dla praktycznych pań. Kto to widział, żeby takie rzeczy się działy żonie, gdy mąż ją prowadzi na bardzo radosną pierwszą wizytę w nowym mieszkaniu na Piaskowej Górze. Po trapię z desek nad błotnistym bagnem, z którego wyrastają domy, Jadzia lawiruje i co rusz się zsuwa, grzęznąc prawym lub lewym nowym butem z zamazu. A oba takie były ładne, gdy je kupowała w pedecie w centrum Wałbrzycha, i Stefanowi się też podobały, gdy odjęła połowę ceny, by ją dopasować do mężowskiej wrażliwości. Jadzia ma niedługi staż małżeński i nie nabyła jeszcze pełnej wprawy w żoninych gestach i szantażach. Dopiero uczy się udawania miesięczek i podmieniania metek, odcinania kuponów od tego, co nagromadzone

żoninym sprytem za męża plecami. Jeszcze nie umie zgadnąć w porę, czy jej usta w podkówkę wzruszą Stefana, czy rozniewają. Stefan gniewny idzie na wódkę z Kowalikiem. skąd wraca czerwony i błyszczący jak podpieczony nad ogniem. Godzi się wtedy w łóżku z Jadzią i nie uważa. Jadzia mówi. Łóżko nas nie kłóciło, łóżko nie będzie nas godzić, ale mąż nie słucha i już lepiej, wygodniej się poddać, bo to w końcu nie boli. Jadzia musi potem leżeć w ciemności i liczyć dni, aż wynik utonie w kolejnej powodzi i trzeba będzie biec do przychodni.

Zaraz po powrocie spróbuje wyczyścić buty, uspokaja się; perspektywa umycia czegoś zawsze działała na nią kojąco. Od czasu gdy zrobiła kupę na łóżku porodowym, Jadzia myje wszystko, co wpadnie jej w ręce albo upadnie z nich na pełną zarazków podłogę, jakby w ten sposób mogła zetrzeć nieprzyjemne wspomnienie. Bakterii! Szczególnie dokładnie myje córkę, której czystość jest wyłącznie w jej rękach. Do butów użyje miękkiej szczotki i gumki do ścierania; będzie tarła, może dadzą się uratować.

Pozhierała się, czy jej mąż to widzi? Jadzia patrzy w górę z wysokości swoich stu pięćdziesięciu dwóch centymetrów na włochate dziurki w nosie Stefana. Wyglądają jak wilgotne oczka jakiegoś zwierzątka, które jest łekliwe i bardzo łakome. W ustach błysk złotej koronki na górnej trójce, język, który wyskoczył na krótką przechadzkę i poglądził czule zdobny ząb. Jakieś trzy miesiące przed ślubem, wówczas jeszcze nieplanowanym, Stefan poszedł do dentysty i zainwestował; taka robota to aż do trumny, wyszczerzył się Jadzi. Jadzia wyobraziła sobie nagle, jak głupio wyglądałaby czasz-

ka Stefana pozbawiona skóry i mięśni, a wciąż kłapiąca szczęką, wciąż świecąca złotym zębem. Obrzął się na jej chichot, bo tyle wywalil w prywatnym gabinecie doktora Jedwabnego, a ona zamiast powiedzieć na przykład, a zauważyłeś, że inżynier Waciak też ma złotą koronkę, śmichy-chichy sobie robi. Godzili się potem w łazience na stojąco, bo bali się, że Halina zaraz wróci od sąsiadki Grażynki Rozpuch, co jemu się podobało, a Jadzi nie, bo cały czas myślała o nowym złotym kielku narzeczonego, którym może wgrzyźć jej się w kark. Nie dość, że żadnego romantyzmu, to jeszcze oczko jej poszło, za daleko, żeby dać do repasacji. To wtedy pewnie zaszła i dalej to już wyszło wszystko zgodnie ze Stefana planem. Same straty.

W ich domu na Piaskowej Górze winda jeszcze nie działa; sapiąc i podtrzymując brzuch, po porodzie wciąż duży i miękki jak skopana piłka plażowa. Jadzia wspina się więc na prawie samą górę. Na dziewiątym piętrze porywają ją męzowskie ramiona i przenoszą przez próg w pustkę czterdziestu metrów kwadratowych; pachnie surowym tynkiem i pecefałem, jest bardzo pięknie. Otwórz oczka, Dziunia, Stefan drży jak psiak złotokdy. Jaki widok będziesz miała. Na niebo widok, na inne nowe domy po bokach i na wprost. Stefan otwiera okno i omal nie wysysa go wiatr; poleciałby z wyrwanym oknem w wyciągniętych ramionach jak szybowiec do samego Enerde albo Enerefu. Ale on, w przeciwieństwie do Jadzi, wie, gdzie jego miejsce, zapiera się stopami i zatrząskuje okno. A najważniejsze, że centralne, żadnego latania po węgiel z wiadrami. W piwnicy tylko kartofelki na zimę, ogóreczki w słoikach. Dziunia? Jadzia

potwierdza. Kręci jej się w głowie od widoku na ludzi jak mrówki, na samochodów lśniące pancerzyki, na parzące na nią z naprzeciwka okna, gdzie takie same Jadzie w szybach się odbijają, kołyszą, wytrzeszczając na nią oczy jak ryby za szybami swoich akwariów. Wysoko jak na bocianim gnieździe, mówi Jadzia i pierwszy raz w życiu uświadamia sobie, że odtąd będzie tęskniła za ziemią. Nagle rozumie, że jednym z powodów jej smutku jest brak trawy pod stopami, z nagłą oczywistością rozbłyska pod okłapłym splendorem jej fryzury pamięć ogrodu z Zalesia.

Wysoko, cieszy się Stefan, wysoko trzeba mierzyć, gdy ludziom pracy szansę dają. Tego by nie było, gdyby nie socjalizm, Lenin i inni, żeby tak mieszkania dostawać czy talony dla młodych małżeństw. Stefan uważa, że obecny sekretarz partii, Edward Gierek, to porządny chłop, tym bardziej że też górnik. Prezencję ma, gadkę i uczciwość w oczach. Inni, tłumaczy Jadzi, to tylko, żeby do żłobu się dorwać, kałdun napchać za państwowe i dupę powozić w te i назад. Ale nie Gierek. Jak zapytał, pomożecie? to Stefanowi aż się mokro w nosie zrobiło. Potem śnił sny o Gierku, gdzie Gierek był sobą, a on, Stefan, jakby nie do końca, jakby Jadzią był trochę, i wstydził się po przebudzeniu. Ten Gierek! Co za wspaniały człowiek, ojciec narodu. Dobrze mu radził inżynier Waciak, jak mówił, do partii się zapisz; nic na tym nie stracił, a dostał legitymację. Stefan za Gierkiem murem stoi. Mówi Jadzi, na Gierka złego słowa nie dam powiedzieć, ale ona nie ma takiego zamiaru, bo zapytana z nagłą mogłaby obecnego sekretarza pomylić z poprzednim. Podobna jej się jednak żona towarzysza Gierka, Stasia. Bardzo

elegancka kobieta, jak z żurnala, jak z jakiejś niemieckiej gazety, chociaż to na pewno kosztuje majątek, żeby tak wyglądać. Podobno Stasia lata do Paryża do fryzjera, tak Jadzia słyszała, ale myśli, że to raczej plotki. Aż tak dobrze to nikt nie ma! Stefan bardziej interesuje się tymi, którzy mogliby stanąć na drodze jego podziwu dla towarzysza Edwarda, niż kreacjami czy fryzurami jego żony. Jak jednemu z drugim się nie podoba, to dupę w troki. Do chałupy, świnie pasać, a nie do miasta, do bloku, zaperza się. Nikt w rodzinie Stefana niczego tak cennego jak mieszkanie w bloku nie dostał, nie wiadomo skąd. Co najwyżej używaną halkę po pani albo po łbie od pana, któremu nawet nie można się było postawić, jak żonę w pralni czy córkę w sianie przycisnął. Stefan wie, że ręka, która rozdaje prezenty i razy, zawsze do kogoś należy. Wyobraża sobie więc, że ta hojna dłoń jest osobistą ręką towarzysza Edwarda. Ona się wyciąga ku niemu, nadgórnikowi Stefanowi Chmurze, i to go uszczęśliwia. Tymczasem nadgórnik otwiera i zamyka wszystkie darrowane drzwi, opukuje framugi, jeszcze chwila i obsika ściany, by zaznaczyć, że jego. Kuchnia, zaraz obok łazienka z kibelkiem; siada Stefan na muszli, mruga do Jadzi, żartowniś, no jak, Dziunia. Jadzia podnosi na niego swoje żyłkowane jak agrest oczy i zgadza się, że to wszystko składa się na szczęście rodzinne. Stefanowi nie wystarcza, dyszy i czeka, żeby rzucić mu patyk. Żeby tylko grzali, troska się Jadzia. Nie trafia niestety. No jak nie, ty, Dziunia, na wsi jesteś, w chlewie jesteś czy w oborze? Co mają nie grzać. Już ty się nie martw o grzanie. W końcu centralne, palić samemu nie trzeba, to jak mają nie grzać. Ja się pytam, jak mają nie grzać, jak centralne?!

Ty jak coś palniesz. Jadzia tłumaczy się, że ona tak tylko. Każde słowo wychodzi z jej ust miękkie jak duży żelowy cukierek, których produkcję rozpoczął niedawno wuj Kazimierz na boku pieczarkowego interesu, by sprzedawać je na sztuki w budce u przywaciarza na Piaskowej Górze. No, Dziunia. Stefan łagodnieje, a Jadzia przytula się do jego piersi, przyciskając twarz tak mocno, że aż brakuje jej tchu. Jak zrobią chodniki, posadzą drzewa, posieją trawę, będzie całkiem ładnie. Drzewa wypiją z niej smutek, smutek pójdzie im w liście, opadnie jesienią. Powinnaś Pana Boga po nogach całować za takiego zaradnego chłopca, powtarza jej matka. Ty taka nieudalota i płaksa, a on chłopak jak świeca, ciesz się, dziewczyno, i żyj na gorsze czasy chowaj. Ciesz się, dziewczyno, myśli Jadzia. Przez ortalion kurtki Stefana słyszy jego mocno bijące serce. Czuje zapach proszku lxi i czegoś zgrzebnego jak szary papier, i wilgotnego czegoś jak zawinięte w papier mięso, które za moment zacznie się psuć.

Ramię Stefana zsuwa się niżej po plecach żony, dłoń klepie jej pośladki. Jeszcze zobaczysz, jak przygrzeją, że goła jak święty turecki będziesz latała. Jak święty turecki goła, Stefan przyklepuje dowcip jeszcze jednym kłapsem w pupę żony. Goła jak jaka turecka pasza, a ja tylko bach ją po szynech. Bach po szynech, bo się pasza naprasza. A to mu się udało! Taki rym warto zapamiętać do powtórzenia, gdy nadarzy się okazja, na przykład na zbliżających się imieninach Kowalika, gdzie będzie nadsztygar Grzebieluch, a kto wie, może też inżynier Waciak. Zrobi wszystko, by towarzystwo rozruszać, a Jadzia niech nie próbuje go kopać pod stołem na uspo-

kojenie, musuje Stefan szczęśliwy. W ogóle kto wie, do czego uda mu się dojść. Może to dopiero początek jego sukcesów, trampolina, z której wzbije się pod niebo i wylądować pewnego dnia tam, gdzie sam dyrektor Miżera z wice Mrugałą szklankami piją bułgarski koniak, w gabinecie pod palmą tropikalną. A on wejdzie i powie, no to polejcie. A oni mu będą kielbaskę na gorąco, bigosik, kabanosiki podsuwać, wtykać jak swojemu, jak równemu.

Mimo uważnego przestudiowania dokumentów, które podpisywał w spółdzielni Górnik, Stefan nie pozbył się ziarna lęku kielkującego na dnie jego potężnego żołądka. Bo żeby tak dostawać mieszkanie do zamieszkania? Z centralnym, wodą bieżącą? Niedowierzenie przez jakiś czas jeszcze będzie walczyło w duszy Stefana z umacniającym się podejrzeniem, że może jednak w jakiś dziwny sposób zasłużył sobie na to szczęście, że mu się ono po prostu należy. W podlanych alkoholem marzeniach sam pierwszy sekretarz Gierka na niego, Stefana Chmury, kieruje wzrok i osobiście docenia. Przyjeżdża towarzyszyć Edward do Wałbrzycha z okazji Pierwszego Maja i z trybuny kwiatami przyozdobionej zauważa Stefana maszerującego w tłumie. Jego jednego! Wszyscy patrzą, co i jak, a pierwszy sekretarz wali prosto do Chmury w galowy mundur górniczy odzianego. Rozstępują się, na kolana padają, chmury pękają w nagłym błysku słońca, a zza nich chóry anielskie jak z sufitu kościelnego wspomagają górniczą orkiestrę na harfach i złotych trąbach. Gierek podchodzi, ściska Stefanowi dłoń i mówi, jestem z was dumny, towarzyszu Chmura. A Stefan na to, robiłem, co do mnie należy, dziękuję, towarzyszu pierwszy sekretarzu.

O tych marzeniach Stefan nawet Jadzi nie mówi. Kobiety takich rzeczy nie rozumieją. Czasem przed łazienkowym lustrem powtarza sobie tylko, robiłem, co do mnie należy, dziękuję, towarzyszu pierwszy sekretarzu. Ale by Jadzia z niego dumna była! A gdyby wyróżnienie łączyło się z nagrodą pieniężną, kupiłby jej coś pięknego; biały kostium jak z lukru, białe lukrowe rękawiczki i buciki, kremowe pończoszki, majteczki kisielowe poziomkowe.

Stefanowi się podoba, że Jadzia jest coraz bardziej krągła i miękka, z wypukłym wzgórkiem łonowym, jakiego nigdy wcześniej nie widział u żadnej kobiety. Nawet u Grażynki Rozpuch podglądanej przez dziurkę od klucza, gdy się do przymiarki krawieckiej rozbierała w pracowni jego matki. Stefan przygarnia żonę mocniej i myśli o ciemnej linii, która została jej po ciąży i przeciwna brzuch od pępka jak strzałka, co prowadzi misia do miodu; czasem chciałby się Stefan w Jadzinej miękkości schować i zostać na zawsze, nawet gdyby pierwszy sekretarz nie miał mu ręki ucisnąć w uznaniu. Stefana ogarnia tkliwość tak wielka, że aż musi zamrużyć oczami, by strząsnąć z nich mgiełkę wilgoci. Lekkie pożądanie staje mu do walki o pierwszeństwo z budzącym się głodem na odsmażane kartofelki z kaszaneczką i kiszoną kapustką, i może pomidorówkę, co została z obiadu. A wiesz, Dziunia, przełyka ślinę, jakoś znów zgłodniałem.

Halina, matka Stefana, zaczęła palić w tym samym dniu, w którym wprowadzili się do opuszczonego przez Niemców domu w Wałbrzychu, i od tej pory puszczała się z dymem. Domu? Jakiego domu, zdziwiłby się jej mąż, Władek. Dom to oni mieli tam. Tam był dom z maciejką pod ścianą, z dachem i podłogą, a koło stodoły rosła renkloda, którą dziadek Władka zasadził, jak wrócił z wojny, co miała nie być ostatnią. Podobno z pestki, co w kieszeni munduru miał. Władek pamiętał, jak jadł i myślał, co za renkloda wyrosła, i była przez to jakby jeszcze bardziej własna.

Tu trafiły im się dwa pokoje w kamienicy na Szczawienku, z widokiem na wzgórze, gdzie nawet szczawiu na zupę nie znajdziesz, bo liście dziurawe jak rzeszoto. A Władek Chmura lubił rwać szczaw, tak jak go matka uczyła, tylko górne, delikatne listki. Tłumaczyła mu, że jak rwie się dla smaku, jak oni, a nie z musu, to można sobie poprzebierać. Patrz, Władziu, jakie ten ma piękne listki, mówiła i to mówienie było jak śpiew. A tu nawet szczawiu. Taki świat drogi jechali, żeby żyć dwa piętra nad ziemią, z jednymi, co chodzą im po głowie, i drugimi, co oni im, i nawet kartofle kupować zamiast iść ukopać własnych.

A na początku kopali wszyscy, tyle że nie kartofle. Całe podwórze pod kamienicą zryli w poszukiwaniu tego, co Niemcy zakopali. A każdy co innego w myślach wykopywał. Komplet sztućców srebrnych, które babka spod Sambora miała wnuczce podarować, a nie zdążyła

podrośnięte, po zjedzeniu swojej porcji patrzyło na talerz matki łakomym wzrokiem, którego nie było. Po chlebie nie zostawiały nawet ukruski dla ptaków, skórki słoniny były wyrzucone, wystawione na parapet garnki rano okały się puste, zjedzone pelargonie nie nadążały z odrastaniem, oskubane paprocie kuliły nagie gałązki, a ściany mieszkania na Szczawienku podziurawione były jak od kul, bo Stefan palcem wygrzebywał z nich wapno i zlizywał biały proszek jak cukier puder.

Halinę uratowała przed głodem Grażynka Rozpuch, dając jej w prezencie polską maszynę do szycia Singer, którą dostała za to, że dała się użyć, ale sama nie używała. Nadgryziona zębem czasu, który już lekko podziurkował jej pośladki jak zużyty bilet i porysował twarz, nadal nie budziła sympatii kobiet ze Szczawienka, bo działanie czasu, oczywiste dla nich, umykało uwadze Ignących do Grażynki mężczyzn. Przyszła do Haliny wiedzioną instynktem i nie chciała pieniędzy, lecz kogoś, kto na nią nie syka, nie gwizdże i w nią nie wchodzi, tylko otwiera drzwi i mówi, proszę, niech pani wejdzie i się rozgości. Halina otworzyła, ale zastrzegła, że się odwdzięczy szyciem w miarę możliwości, i wkrótce Grażynka Rozpuch płakała ze szczęścia nad nieco krzywą spódniczką w białe grochy, bo dawno nie dostała tak pięknie dotrzymanej obietnicy. Konieczność podłużania spodni Stefana i nicowanie kołnierzyków jego koszul sprawiała, że Halina odkryła w sobie krawieckie umiejętności, z którymi kobieta się rodzi, zwłaszcza jak zostaje biedną wdową, i już wkrótce obszywała całą kamienicę na Szczawienku. Pedalując przy oknie, skracała odważnym,

podłużała zamężnym, zwężała tym z nadzieją i poszerzała, gdy były już przy, w takim tempie, jakby zaraz miała wznieść się i poszybować nad hałdami i szybami kopalń, furkocząc za sobą ogonem krwistego atlasu na podszewki. Spod jej palców wypływały błękitne strumienie nylonowych bluzek, rozkwitały róże bistorowych garsonek, w iskrach wytryskały fuksje z krempliny, całe tęczowe resztek doskonałych na chusteczki i apaszki zapalały się w pokoju z oknami na węglowe hałdy. Pierwszą spódnice ze skosu i dwie bluzki z zagranicznego materiału non ajron uszyła dla pani Herty Kowalskiej, która wyszła za Polaka i nie wyjechała, aby dzieci ze Szczawienka mogły na własne gardło krzyczeć do niej, Hitler kaput, szlifując języczki na obcym. Wkrótce Halina zyskała renomę jako krawcowa damska i parę ran klutych na palcach. Nie wyciągając z ust papierosa, popijając dym zaparzaną w szklance kawą plujką, pedałowała od rana do wieczora, a pokój pełen był skrawków niebieskich i różowych, cielistych i purpurowych, jakby na podłodze krwawiły pocięte na kawałki największe strojnisi ze Szczawienka. Dopiero za parę lat wyrosnie jej konkurencja w postaci Modesty Ćwiek z Piaskowej Góry i klientki podzielią się na te, które będą za Haliną, i te, co tylko u Modesty. Grażynka Rozpuch została najwierniejszą klientką Haliny, bo pierwsza wołała na wszelki wypadek dawać coś w zamian, a druga brała od niej mniej niż od innych, bo nie przypuszczała, że ktoś może chcieć wkupić się w jej łaski.

Zaraz po przyjeździe do Wałbrzycha Grażynka została recepcjonistką w eleganckim hotelu Sudety, ale wkrótce reputacja, niezmylona zmianą nazwy miasta

z Waldenburg na Wałbrzych, dogoniła ją, bo tak naprawdę cały czas deptała jej po piętach. Zaraz mieli ją na językach za nic i syczeli, że w swojej pracy więcej leży, niż siedzi, obsługując delegacje partyjnych, za co sama bierze pieniądze i piękne prezenty, a porządny kobietom ze Szczawienka przynosi tylko wstyd. Straciła pracę w Sudetach i zjechała do magla ręcznego na Szczawienku, gdzie zatrudnił ją właściciel, Ryszard Kowalski od Herty, ujęty najpierw Grażynki urodą, a zaraz potem wprawnym uchwytem jej silnych rąk. Któregoś dnia jakaś kobiecina w chustce przywiozła Grażynce na Szczawienko dwoje kilkuletnich dzieci zeskorupiałych od wiatrówki i zasmarkanych, które pannę Rozpuch uczyniły ich wyrodną matką. Byłaby sprawiedliwość na świecie, gdyby się ukorzyła, zajęczała, przeklęła los czy chociaż zachorowała, ale ona szła co wieczór na przystanek, niosąc natapirowaną głowę tak prosto, jakby miała odkorkowaną flaszkę wódki wetkniętą w kok, i nie zgłębiała się nawet wtedy, gdy któreś nocy wybili jej zęby, ukradli torebkę i złamali żebro. Kuśtykała w szpilkach niepokonana, a od piżmowych oparów jej ciała topniał śnieg i spadały sopte, zostawiała za sobą wygrzany pas ziemi, w którym gramoliły się nagle obudzone żuki. Gdy któryś z Tutków namazał jej smołą kurwa na drzwiach, tam gdzie porządni ludzie mieli K+M+B, ta zamiast to zmasać, żeby można było znów napisać kurwa, dopisała pod spodem, i to farbą różową olejną: o złotym sercu. Kary na taką nie było. Halina nieraz zza firanki widziała, że na kobiecym ciele Grażynki uszyta przez nią sukienka z falbaną i dekoltem leży i się przyczynia do ogólnego wrażenia, co sprawiało jej nieznaną dotąd satysfakcję,

jakby to na nią, lekko jak non ajron, spadła część uwagi poświęcanej innej, a nie kolejne nieszczęście. Grażynka przychodziła do Haliny co tydzień, dwa i rozbierała się do przymiarki tak, jakby odwijala z papieru wielki radziecki kanfiet z nadzieniem i już nie mogła wytrzymać z pragnienia, by się podzielić słodyczą z każdym, kto jest akurat pod ręką i może mieć ochotę. Halina dostarczała kolorowych opakowań temu ciału, które prowokowało mężczyzn, by gwizdali, mlaskali i cmokali, a kobiety, by syczały wsobnie, tak jakby chciały wyssać dla siebie trochę zakazanej słodyczy i zatrzymać tam, gdzie nikt jej nie wydłubie.

Liczni mężczyźni Grażynki brali się nie z biedy, lecz z nadmiaru. Dostawała im się za pół darmo – za parę pończoch i komplementów, dwie tabliczki czekolady i trzy goździki z przybraniem, pół litra i puszkę szynki Krakus – nie dlatego, że miała tak mało, lecz dlatego, że było w niej za dużo, i na koniec okazywało się, że to oni nie mają jej nic do dania, a więcej wziąć nie dadzą rady. Grażynka nie była jednak kurwą i gdy opiekunowie profesjonalistek stłukli ją za robienie konkurencji w Tęczowej, śmiała się do Haliny, przyciskając złamane żebro, że co za pomyłka, przecież ona, i czy tego nie widać na pierwszy rzut oka, szuka miłości. Może się takiemu mężczyźnie nie przelewać, ona weźmie nawet miłość pustą jak bańka do mleka i napelni sobą po brzegi. Nigdy nie siadała w Tęczowej przy barze ze Zdrowaś Marią, Lidką Traktorzystką i Świętą Mrówką, bo Grażynka, uczciwa kobieta, która utrzymywała siebie i dzieci z pracy rąk w maglu, nie musiała kłaść się za pieniądze. Przy stoliku zamawiała setkę i oranżadę, patrzyła po sali, a po chwili

z tłumu odrywała się postać męska, niewyraźna jak ulepiona z błota, i okłapywała naprzeciw; tylko patrzeć, jak się na Grażynkę rzuci. Historie dłuższe niż dwa tygodnie honorowała nowymi kreacjami, nawet jeśli szyte były ze starych zasłon i poniemieckich obrusów, a tym krótsze były i bardziej wydekoltowane, im bardziej przepełniała ją nadzieja. Negliże Grażynki pouczyły Halinę, że włosy na cipce można wygolić w wąski paseczek, który zaczynał się na mięsnym wzgórk, a kończył tam, gdzie już, podobnie jak u niej, trochę ku ziemi zwisało sinawo. Jak wargi śpiącego pijaka, parsknęła Grażynka, gdy na okoliczność sukienki w grochy, tak obcistej, że tylko bez bielizny, na jaw wyszła nadużyta część jej kobiecej anatomii. Widok ten rozśmieszył ją, aż się rozkasła i nie mogła przestać do końca opowieści o jednym partyjnym z Warszawy, co przyjechał do kopalni na szkolenie i przy okazji przeszkolił Grażynkę w gołeniu maszynką elektryczną produkcji ernerdowskiej.

W towarzystwie kobiety tak pełnej życia, aż się z niej ulewało, która po każdym ciasteczku oblizywała palce, wzdychając, uci, jak ja lubię słodkie, Halina czuła się dobrze w swoim ciele jaszczurki, które przez osmozę nabierało wtedy ciepła i koloru. Bywało, że ni stąd, ni zowąd przy krojeniu chleba przypominały jej się ciężkie piersi Grażynki, pacha z kępą wilgotnych włosów albo kremowa fałdka tłuszczu wypływająca znad paska uszytej przez nią spódniczki. Zapalała papierosa i chwytając go jak niemowlę sutek, kontemplerowała obraz, którego sens na zawsze pozostał dla niej nieczytelny.

Kiedyś w przypiływie szczerości wezbranej na fali czechosłowackiej naleweczki ziołowej, którą Grażynka

dostała od jednego za coś i przyniosła za podszycie rąbka, Halina opowiedziała jej o cyrkowcu Wowce, pierwszym i jedynym przed Władkiem Chmurą mężczyźnie w jej życiu mało męsko-damskim. Z Ruskim się jebałaś, uśmieła się Grażynka, żopu ruskiemu akrobacie dałaś. Wulgarne słowa w jej ustach nie raziły Haliny i nawet powtórzyła za nią, a dałam żopu, a co, i rozkasła się ze śmiechu, pokazując zęby sinawe i ostre jak kostki kurczaka. Wowka miał oczy jak woda z niebieską farbą i umiał śpiewać rosyjskie romanse, a Halina była wtedy małą Haluską, córką Zdzisława i Scholastyki Czeladź, chłopów bardzo mało piśmiennych w podgrodzieńskiej wsi, którzy oprócz niej mieli czworo innych dzieci, nie licząc tych, co umarły w niemowlęctwie, bo kto by tam je liczył oprócz Pana Boga. Jej rodzice mieli ziemi piaszczystej kawalek, który odziedziczyć miał syn Franciszek, a ona z powodu bycia dziewczynką miała warkocz w kolorze piasku i przyszłość w postaci innego syna, który najlepiej, gdyby też coś odziedziczył i wtedy ją przejął.

Halina chciała zobaczyć jego twarz, twarz przysłego męża, a na to był jeden sposób – jazda w powietrzu. Każda dziewczyna z jej wsi chociaż raz tak się przejechała i jeśli nawet w końcu mąż okazywał się nie do końca zgodny z obrazem, to nie różnił się od niego na tyle, by zarzucać duchom kłamstwo. W wieczór wigilijny, gdy Halina miała piętnaście lat, poszła z innymi dziewczynami, rudą Maszką, kulawą Aldonią i Hanką o czarnych warkoczach, nad rzekę zamarznąłą, twardą i gładką jak stół. Co się namęczyły, żeby wyrąbać przerębel! Gdy woda prysnęła i otworzyło się oko rzeki, rozścieliły

skórę końską, a najstarsza, Aldonia, obrysowała krąg, w którym siadły, oparły się o siebie plecami, splotły dłonie. Świeczka dawała nikde światło, w którym Aldonia, córka popa, głosem u ojca zasłyszonym, cerkiewnym, głębokim jak z dna studni, zawołała ducha, by wyszedł z przerębla i zabrał je do przyszłych mężów, by pokazał ich twarze. Tak śpiewnie go upraszała Aldonia, tak zawodziła płaczliwie, że Halina, Haluśka już przy pierwszych jej słowach poczuła, jak skóra końska drga, gotując się do lotu, i po chwili trzymała się kurczowo Hanki czarnego warkocza, bo leciały w mroźnym powietrzu, a gwiazdy pulsowały jak bańki z płonącym błękitno spirytusem. Aldonia widziała studenta z Grodna, Hanka – Janka zza płotu, Masza klasztor, a Halina tańczącego niedźwiedzia.

Wowka, treser z obwoźnego cyrku, złamał jej serce, zrobił brzuch i znikł z jej życia, podczas gdy ona dała sobie to wszystko zrobić z powodu młodości i naiwności, które idą w parze, ale o tym nie powiedziała Grażynce, bo zatrzymał się w porę ziołowy potok szczerości. Wowka, któremu Halina dała żopu, podskakiwał na paląkowatych nogach wokół niedźwiedzia, a zwierzę drapało sparszywiały brzuch, aż sypały się łupież i sierść. Całej wsi się to podobało, a zwłaszcza młodym. A nuże tancować, swolocz; akrobata wyskakiwał w górę jak na sprężynie, biegał wkoło i szturchał drepczące zwierzę, a Halina (młoda i naiwna) stojąca wśród gapiów poczuła, jak każdy jego skok wyrывa ją gdzieś, gdzie jeszcze nie była. Wowka umiał nie tylko śpiewać i grać na białalajce, lecz także chodzić na rękach i robić salto, miał przyszyte na jeża włosy w kolorze obierek, cyrkowy kostium

w prążki i patrzył na nią. Zebrała się więc w sobie Haluśka i mu odpatrzyła, co dało jej w zamian bycie wybraną na wiejskiej zabawie, a potem zaowocowało jeszcze bardziej. Wowka wertykalnie podskakiwał wokół Haliny w tańcu, a horyzontalnie nad rzeką, a ona, szesnastoletnia, z policzkami pomalowanymi burakiem i w prawie nowej różowej sukience z perłowymi guzikami, którą dostała od panienki Leosi z dworu, gdzie najmowała się do pracy przy żniwach, w kolczykach z tombaku z niebieskimi oczkami, myślała, jak by to tak było wyskoczyć i być nie tu, ale całkiem gdzie indziej, i nie sama, ale z kimś. Nawet jej sztywne warkocze w kolorze piasku wyglądały ładnie, upięte w obwarzanki nad uszami, a za wyglądały tak w momencie, gdy Wowka powiedział, że ładne. Nikt wcześniej nie prawil Halince komplementów ani jej nie uważał za ładną, przeciwnie, była najbrzydsza, bo najchudsza i najbledsza z czterech sióstr, ale tamte, z krwistymi rumieńcami i czarnymi warkoczami, zmarły na różę, a ona, taka cherlawa i skłonna do skrofulów, przeżyła, ku podszytemu złością zdziwieniu rodziców i starszego brata Franciszka. Jak mogła odmówić Wowce, gdy ją tak przyciskał w tańcu, a potem z nią, nie z kim innym, chciał pójść nad rzekę dla ochłody; nawet nie wiedziała, kiedy przysły perłowe guziki i zgasty w trawie.

Cyrk odjechał, zostawiając na wydeptanej łące jaśniejszy ślad po okrągłym namiocie i zaokrąglający się brzuch Haliny, który zaciążył na jej życiu. Wszyscy mieli nadzieję, że nie donosi z powodu swojej cherlawości, ale jej brzucha nie zmogło ani podnoszenie balii, ani dźwiganie wody ze studni, ani nawet lanie, jakie sprawił

jej ojciec na tę okazję. Rósł spiczasty i wystawał coraz bardziej, jak wielbłądzi garb na jej drobnym, żyłastym ciele.

Skoro już Halina donosiła i urodziła bez większego szwanku dla siebie i malego, ludzono się, że bajstruczek nie przeżyje, bo na świat przyszedł równie chudy jak matka i podduszony pępownią. Był tak mały, że akuszerka trzymała go na dłoni niczym kocię i dziwiła się, że od czterdziestu lat dzieci odbiera, ale jeszcze takiego gówienka nie widziała. Toż to kartofle większe zdarzają się niż ten bajstruczek! Stefan rósł powoli i mając sześć miesięcy, zaczął dopiero wyglądać na normalnego noworodka, a gdy skończył rok, osiągnął wielkość półrocznego dziecka. Wychodził jednak żywy ze wszystkich niemowlęcych biegunek, po których biegiem wracał do zdrowia suchy i zimny jak jaszczurka. Do następnej biegunki z takim samym zapalem smoktał zawinięty w ściereczkę chleb z cukrem i makiem, co małą jak u suczki matczyną pierś. Przez trzy lata Halina ludziła się, że Wowka wróci ze świata, gdzie miał się dorobić – tak szeptał jej do ucha, gdy jeszcze kilka razy wychodziła do niego nad rzekę tamtego lata, aż ona zaszła, a on wyszedł obronną ręką i obiecał, że wróci. Jeszcze się zdziwicie, mówiła rodzinie, która jej uczuciowość składała na karb słabego zdrowia i faktu, iż przez jakiś czas panienka z pobliskiego majątku upierała się, by czytać poezję miejscowym dzieciom, od czego co głupszym zdążyło się pokręcić w głowach. Panienkę na szczęście wydano wkrótce za męża i przestała udzielać się na zewnątrz, a zaraz potem umarła w pociągu. W pamięci Haliny została jednak jak żywa, zatrzymana w siedemnastej wiosnie życia. Biała

i pełna, jakby składała się z krążków tłustego twarogu opakowanych w różowe koronki, siedzi na wiklinowym fotelu i czyta, czyta z rozłożonej na kolanach książki, a w głowie Haliny rodzą się myśli, by lecieć gdzieś daleko, aż za dworski las, i pękają jak białe jagody śnieguliczki, które dla zabawy rozgniata się w palcach. Cyrk ponownie przyjechał do wsi, gdy Stefan już chodził na swoich odziedziczonych po ojcu pałkowatych nogach, wypychając do wiecznie głodnych ust niedojrzały groszek, liście szczawiu, polne kamienie, twarde jak kamienie mirabelki, lebiódkę i glisty. Halina uróżowała policzki, założyła kolczyki z niebieskimi oczkami i usiadła przy kuchennym stole, ale godziny mijały i nikt nie zajeżdżał, a nawet nie przychodził. Pobiegła więc na łąkę, gdzie stawiano kolorowe namioty i budy, ale nikt nie słyszał w cyrku o Wowce, choć niedźwiedź wydawał się ten sam, może tylko nieco bardziej sparszywiały i zdziwiony, jakby nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego zawsze przy walczyku tańczy tak jak wtedy, gdy był niedźwiadkiem i miał pod stopami rozżarzoną blachę do walczyka, a nie trawę czy śnieg. Halina, podobnie jak niedźwiedź, została na lodzie.

Gdy więc poważny wdowiec z zawodem, Władek Chmura, przyjechał dwukółką w któreś majowe popołudnie, nikt nie spytał jej, czy chce z nim wyjść, a potem za niego. Kowal wziął na ręce prawie dwuletniego Stefana, który był wciąż nie większy od dobrego koguta, i pomyślał, że bajstrukowi ojca brak, stąd taka mizerota nieudała. Jak go usynowi, na pewno się małemu podrośnie, a oprócz tego nie zawadzi, gdy co rano świeżej śmietanki popije. Ustalili, że Halina dostanie dwa

komplety pościeli, dwa kilimy, poduszkę i pierze na pierzynę, którą już sobie sama musi zrobić, a chuda babka, która jako jedyna okazywała czasem trochę serca wnuczce i jej bajstruczkowi, bo było u niej blisko powierzchwni, tuż pod skórą i kośćmi, wysuplała skądś złoty medalik z Ostrobramską, żeby teraz, gdy jest już wydana, strzegł jej od złego. W momencie gdy życie Haliny z Władkiem i dzieckiem zaczęło się mościć w sieci krzyżujących się ścieżek, świat wzdął się jak balon i rozpadł na kawałki. Stalin, Hitler, cała ta wojenna zawierucha strzepnęła z Haliny niedopasowane jeszcze życie z kowalem i zakręciła jej w głowie. Stała się jedną z przesiedleńców, a przesiedleńców nawet nie ma żeńskiego rodzaju, który można by przykroić do nagości, gdy posiada się zdolności krawieckie. Skoro Halina nie mogła nic zrobić ze sobą, skupiła się na Stefanie, który był na tyle mały, że dało się go przenicować z bękarta Czeladzi na ślubnego Chmurę. Państwo Chmura przekupili urzędnika i w papierach odjęto z wieku Stefana prawie cztery lata, tak że wiek niemal dopasował się do jego mikrego wyglądu i odtąd Stefan żył z nowym nazwiskiem i wiekiem. Halina miała nadzieję, że w ten sposób uda jej się ten ofiarowany dziecku czas wstawić w miejsce tamtego złego w domu wuja Franciszka, jakby czas był czymś, co można zszyć z kawałków pobożnych życzeń i spóźnionych żalów. Ludzie w Wałbrzychu, do którego przyjechali jako rodzina Chmura, mówili, ale to wyrósł, duży z niego chłopak jak na swój wiek, a Halina czuła pierwsze łaskotanie matczynej dumy. Gdy na nowo wydała Stefana na świat na Ziemiach Odzyskanych, myślała, że nie ma już nic do roboty, i zaczęła wędnać.

Największą namiętnością Haliny pozostało palenie papierosów, które zaczęło się od ruskiego tytoniu w gazetowym papierze, podebranego Władkowi, gdy usiedli przy stole w poniemieckim wałbrzyskim mieszkaniu. Kiedy po wielu latach wnuczka ukręci jej grubego skręta z marihuany, Halina omal się nie rozplacze z żalu, że całe życie paliła byle gówna, podczas gdy mogła takie dobre zagraniczne papieroski. Pierwszego papierosa zapalała tuż po przebudzeniu na szerokim drewnianym łóżku, które należało do Niemców, pod obrazem z Jezusem pasterczem o uróżowanych policzkach i karminowych ustach, który należał do Niemców, bo skoro Gott mit Uns, to jego syn pewnie też, mimo iż wygląda na transwestytę. Jeszcze z zamkniętymi oczami sięgała po paczkę papierosów i pstrykała ciężką metalową zapalniczką z wygrawerowanym napisem Grösse aus München. Gdy Stefan skończył zawodówkę i poszedł do pracy na kopalni, Halina przerzuciła się ze sportów na klubowe z filtrem, bo pieniądze co miesiąc pojawiały się w niebieskiej kopercie na kredensie i było ich coraz więcej. Syn teraz odplacał się matce, a ona dzieliła wypłatę na kupki, najpierw grube, potem bilon ustawiony w piramidki, i mogła za rosnącą z miesiąca na miesiąc kupkę przeznaczoną na jedzenie kupować więcej jedzenia i stawiać na stole coraz większe dania, dzięki którym ten, co zjada, nabierze sił do produkowania większych kupek pieniędzy i wszystko pozostanie w obiegu zamkniętym. Stefan dwudziestolatek – według wieku swojego nowego – zaczął naprawdę przypominać mężczyznę i nie różnił się już od innych dwudziestolatek ze Szczawienka, miał szerokie, lekko przygarbione ramiona, duże dłonie o palcach prawie

równej długości i lekko zaokrąglony brzusek, widomy znak dobrobytu. Gdy jej syn zmężniały wracał z pracy, łądowała na talerz górę kartofli i przyklepywała je łyżką, by nalać we wgłębienie tłuszczu ze skwarkami lub sosu na ciemnej zasmażce, plaskala paćkę ciepłych bu raczków, które rozpływały się amarantowo; u rzeźnika wybierała mięso, cmokając i macając krwawe ochlapy, a w niedzielę zawsze był rosół z kury i schabowe. Wraz z rosnącą wypłatą rosła w jej oczach wartość syna, który powinien mieć, co najlepsze. Jak to wyrósł na ludził No jak tam na kopalni, pytała, siadając przy stole naprzeciw swojego wyrosniętego dziecka, a Stefan odpowiadał, robi się, mamusia, czarne złoto, i pochłaniał matczyną miłość, bo tym, czego zawsze chciał od niej, było jedzenie, a tym, czego chciał od siebie – zaspokojenie głodu, gdy tylko się pojawia. Halina przerzucała mu ze swojego talerza kawałek mięsa i mówiła jedzjedzjedz, jak wtedy, gdy podawała mu pierś, bo знаła tylko tę jedną mantrę miłości i liczyła, że będzie ją też znała przyszła synowa. Szła już tylko dla starych klientek, bo pierwszy raz od śmierci Władka nie brakowało jej do pierwszego, a wręcz przeciwnie, pierwszy przychodził, a ona miała. Na małej działce, którą lokatorzy kamienicy wydrapali sobie przy torach, żeby mieć jeszcze więcej własnych rzeczy, uprawiała twarde warzywa północnego kraju. Jesienią kisila i wekowała je w mocno zakorzenionym poczuciu obo wiązku, by nic, co jest jadalne, nie zmarnowało się. Zbita z tropu, na którym brakowało i nie starczało, upychała w Stefana nadmiar pożywienia, które trzeba było prze jeść, a nawet pozwoliła kupić sobie nowy płaszcz z futrzanym kołnierzem i wyżej podniosła głowę.

Wolne chwile spędzała z Grażynką, matką już troj ga nieślubnych dzieci, bo jeszcze jedno jej się trafiło ku zgrozie kamienicy. Grażynka coraz częściej przychodziła do Haliny, by coś poszerzyć i przerobić ze starego raczej niż uszyć nowe dla dwóch córek i syna, którzy nie byli podobni ani do niej, ani do siebie nawzajem. Zu żyta przez zmieniających się użytkowników, z których żaden nie znał instrukcji obsługi, porozpadała się w naj bardziej eksploatowanych rejonach, ale jeszcze trzymała z wierzchu, pospinana złotymi paskami i spinkami z motylkiem. Nikt nie wiedział, ile naprawdę ma lat. Męż czyżni, którzy lubili młode, dawali jej dwadzieścia, a ci, którzy woleli dojrzalsze, trzydzieści parę, i tymi też nie gardziła. Z włosami upiętymi w sztywno zalakierowany kok, z brwiami skopionymi z natury kopiowym ołów kiem, z powiekami zielonoperłowymi jak brzuch muchy plujki, śpiewała w kuchni Haliny piosenkę o spódnicz ce mini-mini, ach, mini-mini, a jej maszynaria klekotała i przeciekała z powodu długiego przebywania w szkod liwym środowisku zewnętrznym. Już nie grube ryby, nie hojui zastępcy z Warszawy i zastępy prawych rąk za stępców z powiatu, lecz dryfujący plankton mężczyzn o podkrążonych oczach i wystających grdykach wpły wał w Grażynkę i rozpływał się w rozkoszy. Niektórzy przyklejali się do rafy Grażynki i żerowali łakomie przy ssani, a ona prezentowała ich Halinie, mówiąc, to Janu szek, a to Grzesio, radosna jak wtedy, gdy wykopała roz latujący się gramofon. Wspólnik go wykiwał albo żonę ma szajbę w wariatkowicie, dodawała do opisu, tak jak inna kobieta mówiłaby – jest lekarzem albo jest kie rowcą. Za każdym razem z takim samym entuzjazmem

i nadzieją pozwalała przyssać się kolejnemu mężczyźnie, który tak jak jego poprzednicy zostawiał po sobie zarzygane dywany, niespłacone pożyczki, tępe żyletki, rzeźączkę lub tylko opryszczkę, a niekiedy dziecko, które rodziło się lub nie. Ignęli do niej ci, którzy lubili bić, i ci, którzy woleli być bici, bo każdy znajdował coś dla siebie w zakamarkach jej ciała, i przysięgał Grzesio, że była ruda i mała, i wszystko z nią robił, co chciał, a Januszek upierał się, że szatynka i do tego postawna, z charakterem, że tylko to robił, co mu kazała robić, tak go za mordę trzymała. Halina nie wiedziała, że nawet jej syn stał się mężczyzną przy dziurce od klucza, gdy zgięty wpół oglądał Grażynkę rozłożoną do przymiarki, i że od-tąd rozbierał wzrokiem tylko kobiety złożone z dużych, obłych części, z których największa i najbardziej obła była pośrodku.

Ktoregoś razu Halina zobaczyła, jak jej Stefan żartuje z przeżącą pierś Grażynką, i od tego czasu wiedziała, że sytuacja wymaga od niej czujności, bo skoro doświadczo-na sąsiadka tak przy jej synu kobiecieje, to tylko patrzeć, jak inne też zauważą, że zmężniał. Halina jako matka musi więc uważać, żeby jakaś znajda nie zaszła ze Stefanem za daleko, zanim ona ją oceni i ewentualnie dopuści. Halina nie chciała, by jakaś dziewczyna, która zeszła na złą drogę, przywłaszczyła sobie jej dziecko, z takim trudem wyprowadzone na ludzi. Po dwóch miesiącach od tych proroczych olśnień, które pojawiły się w niezbyt dotąd wprawnym w macierzyństwie sercu Haliny, w ich domu na Szczawienku pojawiła się Jadzia i jednak ją zaskoczyła. Instynkt macierzyński nie podpowiedział Halinie szczegółów utraty dziecka na rzecz innej kobiety,

a mianowicie tego, że jakaś ona przyjedzie pierwszym porannym z Wrocławia i poleci ze schodów w ramiona syna bez wcześniejszej aprobaty jego matki. Latawica ją przechytrzyła i stało się. Wiele się zmieniło, i to nie na lepsze dla Haliny, jak się obawiała. Przede wszystkim nastał koniec wizyt Grażynki Rozpuch, bo Stefan w nagłym przyпыwie moralnego uwznioślenia nie życzył sobie więcej jej towarzystwa. Tak mu się Grażynki kobiecość kurewska i zużyta, tak mu się Grażynki włosów czerń (bo przysięgłby, że brunetka) z Jadzi kobiecością świeżą i blond mieszały, że trzeba było zrobić coś po męsku i podzielić, że tu matka i narzeczona, a tam niemátka i nieżona. Ta kurwa razem z moją przyszłą żoną przy jednym stole siedzieć nie będzie, tako rzekl. Na nieśmiały protest Haliny nagle w spiż zmężniały syn podniósł głos i rzucił go między talerze z bigosem, że aż echo poszło. W finalnych słowach przemówienia o kurwie, która progóż tego domu więcej nie przestąpi, niech sobie mamusia zapamięta, Halina wyczuła biblijną powagę i ugruntowany autorytet patriarchy, co na dom pieniążki łoży i wymaga, a tylko patrzeć, jak przywali na odlew jak niegdyś jej brat Franciszek. Cóż było robić, pakowała to, co jej zostało z obiadu, i sama szła do upadłej sąsiadki z dołu, którą gulasz wieprzowy i przysmażone ziemniaki od razu stawiały na nogi. Miesiąc czy dwa później Grażynka, w obliczu poważniejszej niż zwykle groźby utraty dzieci na rzecz socjalistycznego państwa, zebrała się w sobie i przeniosła do Szczawnia Zdroju, gdzie jako pomoc kuchenna w sanatorium dla wrzodowców i nerwowych miała ozdrowieć moralnie. Na jakiś czas znikła wszystkim z oczu w obłokach kapuścianej pary.

Jadzia wkrótce została żoną Stefana i zajęła miejsce synowej, na którym Halina wolałaby widzieć kogoś takiego jak Grażynka, tylko młodego i nieużywanego, podczas gdy Jadzia na miejscu Haliny wolałaby nie widzieć nikogo, bo wtedy w mieszkaniu na Szczawienku byłoby więcej miejsca. Smętne towarzystwo Jadzi nie wynagrodziło Halinie utraty przyjaciółki i tęskniła za Grażynką radośnie, która śmiała się gulgoczącym, ptasim śmiechem, jakby kurwienie się w Tęczowej było najwspanialszą rzeczą na świecie. Jadzia jeszcze raz stała się niechcianą i nie do pokochania, a Halina powtórzyła dostawanie nie tego, na co czekała, i nawzajem ćwiczyły się synowa z teściową w codziennych powtórkach z przeszłości, przed którą uciekały. Nie, myślała o Jadzi Halina i na nie o Halinie Jadzia, a gdy rozmawiały, używały kalekich, bezosobowych form, wspartych na konstrukcji niepotrzebnych przeczeń. A nie przeszedłby się tak kto do rzeźnika i nie kupił na rosół, wdychała Halina, buchając dymem, a Jadzia, z chęcią na słodkie powodowaną beznadziejnym stanem ciąży, rzuciła w przestrzeń pytanie, nie dałoby się tak zagnieść ciasta na pierogi z jagodami? Zawierały chwilowe sojusze w sprawie prania i wieszania upranego albo naciągania wysuszonego, bo przy niektórych czynnościach domowych cztery kobiece ręce nawet niechbyt ze sobą zaprzyjaźnione okazywały się o wiele sprawniejsze niż dwie dobrze żyte. Poza tym jedna drugiej patrzyła na ręce, by czerpać satysfakcję z faktu, że ta druga robi wszystko nie tak, i wdychała Jadzia, a nie mogłoby się tak mamusi mocniej wyżywać, a mamusia, tak nagle obdarzona przez syna córką, pytała, a nie uczyli tam nikogo, że się ziemniaki cieniej obiera?

Halina spojrzała na Jadzię inaczej, dopiero gdy zaczęło być po synowej widać, i zobaczyła, że ten brzuch wylaniający się jak kopiec kreta zmienia perspektywę i poszerza horyzonty. Bo był to brzuch zrobiony obcej Jadzi przez jej Stefana, a więc zawartość w jakiejś części należała również do Haliny, która mogła po tym brzuchu czegoś dla siebie się spodziewać. Mimo iż to nie ona była przy nadziei, trochę jej miała na lepszą przyszłość babci z wnukiem, na którym nie popełni się tych błędów, które popełniło się na własnym przychówku, łącznie z urodzeniem go nie w porę. Halina oczekuje po brzuchu synowej dziecka dowolnej płci, które uczyni ją babką i osobą na swoim miejscu, Stefan oczekuje na zwiększenie stanu posiadania i myśli, że potrzebne będzie więcej miejsca i męskiej pracy na ścianie, a Jadzia mówi, że może z miejsca się z nim zamienić miejscami, byle tylko nie musiała już rzygać co rano.

V

Jadzi Chmurze jest ciężko w ciąży i źle ją znosi, bo trudno znieść coś, czego nie można przestać nosić. Przez pierwsze cztery miesiące przez pół dnia ma torsje, które mogą wrócić w każdej chwili o innej porze, jeśli tylko poczuje gdzieś zapach spalenizny. Wystarczy niewinna zapalka, by rozpałić drzemiący wulkan w jej trzewiach, i już Jadzia bucha z nosa i ust. Pomaga, choć na krótko, zapach octu, Jadzia otwiera butelkę i wącha, ale tylko odstawi i już znów leci do łazienki.

Nie da się jednak wytrzymać przyczyny rzygania, a więc po czterech miesiącach Jadzia poddaje się i zaczyna jeść; jej ciało wchłania teraz z takim samym zacie-trzewieniem, jak wcześniej zwracało. Jadzia pożera bułki z dżemem truskawkowym przysyłanym przez matkę z Zalesia i puszkowane sardynki, z których wypija nawet olej, wylizując na koniec puszkę do czysta jak kot i kalecząc sobie język o ostre brzegi. Pożera solone śledzie i ogórki kiszzone, cukier w kostkach i wędzoną słoninę, kukulki i krupnioki. Stefan je, zasłaniając talerz ręką w obawie, że Jadzia zaraz mu coś z niego świsnie, a ona nocą drepce do kuchni i dojada to, co zostało. Zanurza dłoń w glinianym garnku z powidłami, przebija się przez skorupkę cukru w wilgotną miękkość i wylizuje dłoń, oczyszcza każdy palec, wymiatając drobiny słodczy spod paznokci. Czuje, jakby w środku niej coś domagało się więcej i więcej, to głód, który nie jest jej głodem, więc nie może go opanować. Ciężą ku dołowi jej wielkie piersi, a skóra na pośladkach i udach zaczyna tracić gładkość i wygląda teraz jak nierówno przepikowana, w Jadzi jest więcej, niż może się pomieścić. Widzi w łazienkowym lustrze Jadzia, że jej tyłek przypomina pomarańczową skórę. Rzadko widuje pomarańcze, ale pamięta, jak wyglądają. W Wałbrzychu nikt jeszcze nie uważa pomarańczowych tyłków za chorobę i nie zna słowa *celulitis*. Przytyło jej się, mówią sąsiadki, im też się przytywało lub przytyje. Jako kobieta ciężarna wagi ciężkiej ma specjalne przywileje w kolejkach i autobusach, ludzie przepuszczają ją i jej ustępują, chociaż Jadzia ledwo się mieści w zwolnionym dla niej miejscu i boi się, że się zaklinuje na amen.

Znajome kobiety ze Szczawienka, które wyszły z ciąży, opowiadają Jadzi nowicjusze o porodach, podczas których każda chwila groziła śmiercią, rozerwaniem na strzępy, pęknięciem na pół, i tylko wyjątkowe szczęście i hart ducha sprawiły, że żyją. Każda opowieść jest pełna bólu, strachu i krwi, o jakich pojęcia nie mają wojenni weterani, którzy mieli do dyspozycji okopy, bagnety i ostatecznie możliwość dezercji. Licytowanie opowieści porodowych polega na przebijaniu poprzedniej oferty straszniejszym bólem i większym nacięciem krocza. Krocza nienaciete pękają w poprzek (pół biedy) lub wzdłuż, jakby kobietę rozerwano końmi, od pępka po kość ogonową zieje wtedy rana, w którą jodyna chlustana jest na żywca, wiadrami. Jadzia słucha i czuje, jak dziura między jej nogami zawiązuje się w supeł, ma teraz dwa pępki. Śpi sama na kanapie i ogania się od Stefana, który na pociechę trzyma w łazience parę niemieckich pornosów ukrytych pod wanną. Jadzia liczy dni według wyznaczonego jej przez doktora Lipkę terminu i myśli, że jak będzie dziewczynka, to da jej Dominika albo Paulina. To najpiękniejsze imiona z kalendarza i trudno jej zdecydować, które woli. Jak urodzi w styczniu, to się ostatecznie wybierze. O chłopcu Jadzia nie myśli, bo wydaje jej się nieprawdopodobne, by mogła mieć w brzuchu człowieka innej płci. Wszystko jedno co, mówi Stefan, byle zdrowe.

Termin porodu, wyznaczony przez doktora Lipkę na siedemnastego stycznia, przyszedł przed czasem i nie w porę, gdy przy kolacji wigilijnej Jadzia wstała, by dołożyć sobie śledzi w śmietanie. Nikt w kamienicy nie ma telefonu, ze Szczawienka droga do szpitala dale-

ka, a wszędzie śnieg po pas. Jadzia pada znokautowana pierwszym ciosem bólu, który jest dopiero zapowiedzią tego, czego kobieta przy nadziei może się spodziewać, zanim ją wypchnie na świat i utraci. Ku budce telefonicznej ruszają samotrzeć, bo żadne nie chce zostać samo w domu, a już najmniej Jadzia. Ma tak spuchnięte stopy, że musi iść w sześć numerów za dużych śniegowcach Stefana, na spuchnięty brzuch mieści się tylko jego stara jesionka. Halina wciska jej jeszcze na głowę czapkę ze sztucznego lamparta i w drogę. Sunie Jadzia wydeptaną w śniegu ścieżką pod niebem twardym jak lód; tej zimy rozbijają się o nie ptaki i pękają im serca. Jadzi pękają hemoroidy i bąble na piętach. W zaspie, w którą poleciała twarzą, but Stefana zostaje do wiosny. Po obu stronach drogi kamienice, w których drzwi zamknięte, okna zasłonięte, światelka choinek przez nie mrugają wesoło. Jadzia przykuca i wyje, na śnieg wykupuje z niej parę różowych kropel krwi i dwie łzy. Halina wali w drzwi właściciela magla, Zenona Kowalskiego, który ma warszawę, ale nic z tego, benzyny nie ma, pijany, pomógłby, gdyby okoliczności tak się nie sprzysięgły przeciwko. Sanki! Stare drewniane sanki stoją oparte o ścianę i może dobrzy ludzie je pożyczą, by mogli pociągnąć na sankach ciężar Jadzi półhosi i ciężarny. Halina stuka w okno na parterze, ale dobrzy ludzie przy stole pewnie nie słyszą, tak się w kolędach rozśpiewali, i nie można ich winić, da Bóg, sama noga im się powinie. Sanki zmieniają właściciela nielegalnie. Zaprężone w Halinę i Stefana, z Jadzią usadzoną na nich okrakiem, sanna hosanna suną przez Szczawienko, nabierają rozpędu, iskry sypią się spod płóz, wzbijają się w powietrze, strącają sopte

z dachów, przelatują nad drutami wysokiego napięcia, warczącymi z zimna jak psy. Śniegu kurzawa, mróz na rzęsach i brwiach, Jadzia odchyła głowę, zamyka oczy, gubi drugi but i myśli, że gdyby tak ordynat, gdyby Cudzoziemiec, to może to wszystko wyglądałoby romantyczniej i nie bolało aż tak. W budce telefonicznej lśni kałuża moczu i cicha noc jest w słuchawce, która kołysze się na naciętej metalowej lodydze. Jadzia zaparkowana przed budką zsuwa się z sanek, a tocząca się przez nią kula bólu, szybsza i większa od poprzedniczki, eksploduje w kolorze malw i georginii z zaleskiego ogrodu. Jadzia pełnym głosem ryczy NIE, pierwsze w jej życiu tak zdecydowane i niestety zmarnowane. Żabki trzymające jej pończochy otwierają pyski ze zdumienia i otwiera się matka ziemia. Skotłowane wody pełne ostro zakończonych przedmiotów prą w stronę tunelu, przez który przecisnąć się może przecież co najwyżej strumyk. Zatrzymam samochód, olśniewa Stefana, ale zaporóżec na widok grupy ludzi przy drodze tylko mrugnął cyklopim okiem, przyspieszył i znikł. Jadzia wyje, i znów na NIE, bo kości jej miednicy zaczynają rozsuwać się jak płyty przy trzęsieniu ziemi. Dlaczego w tym pierdolonym kraju nie ma taksówek ani telefonów?! płacze Stefan. Halina przechodzi do działania, ta kobieta wie, kiedy trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, rzuca się na środek ulicy Wrocławskiej, lśniącej wśród śniegów jak jęczor czarnej lawy. Zza zakrętu wyskakuje slalomem milicyjna nyska na sygnale, leci w ramiona Haliny rozkrzyżowane, jakby czekała na biegnące dziecko. Stój, sobacza twoja mać, drze się Halina Chmura, stój, hryniu sobaczy! Nyska hamuje, o włos. Dwóch milicjantów, bardziej i mniej pijany,

wyskakuje z wozu gotowych, kurwa, przylać starej, ale widok Jadzi leżącej w śniegu porusza ich serca. Patrz, kurwa, baba, kurwa, rodzi normalnie, mówi bardziej do mniej pijanego i wyższego stopniem, choć nie wzrostem. Obywatelka rodzi, mniej do bardziej potwierdza, jak rany! Chryste, nie klnij, głupi chuju, jak obywatelka rodzi. Mniej pijany i wyższy stopniem, porucznik Pasiak, każe państwu Chmura z teściową cudem nieprzejechaną pakować się do nyski. W środku zakuty w kajdanki mężczyzna w piżamie i galowej górniczej czapce z czarnym pióropuszem ociera krew z nosa, odkasłuje i śpiewa Bóg się rodzi, moc truchleje zaskakująco silnym, choć przezywany czkawką głosem.

Gdy Jadzia trafia na salę porodowych mąk, jest już za późno, by zacząć je od lewatywy i golonka z zacinaniem. Potomni straciliby tę część jej kombatanckich wspomnień, gdyby Jadzia z czasem nie nabrała biegleści w zmyślaniu kobiecych historii. Lekarz, któremu przypadł dyżur w Wigilię, ma wystarczająco zły humor i nawet kolacyjka zakrapiana w towarzystwie kolegów z chirurgii nie poprawiła mu nastroju. Dziś nawet dowcip o chuju włożonym pielęgniarce do torebki jakoś nie rozśmieszył, mimo iż miał sprawdzoną potencję śmieszenia. Przyjście ósmej rodzącej w ciągu trzech godzin lekarz uznaje za wyjątkową niesprawiedliwość losu, umówiły się te Maryje czy co, kurwa ich mać. Mierzy rozwarcie Jadzi na palce, cichło mi tu, cichło, babo, uspokaja, klepiąc w udo jak krowę, gdy wrzasnęła swoje NIE, bekając śledzikiem, i zostawia ją na rzecz innej rodzącej w boksie utworzonym przez zasłonki z prześcieradeł. Zachwiał się, upuścił stetoskop, przewrócił parawan, ale odzyskał równowa-

gę; nie na darmo lata wprawy. Z lewej strony Jadzi buczy basem jakaś matka przyszła, powtarzając kurwa raz po raz. Na prawo Jadzi inną bożeboże i wobec chwilowego braku parawanu ukazuje się w całym swym splendorze. Chór pięciomaryjny z oddali dostarcza podkładu wrzasków, pierdnieć i jęków, i raźniej jakoś się robi Jadzi, gdy inne też boli. Boli, ale każda będzie powtarzać potem córkom i siostram, że tak jak ją to żadną, bez porównania, jej ból był absolutnie wyjątkowy i największy. Gdy ból, większy od tego z prawej i lewej, stał się nie do zniesienia, do Jadzi dotarły na jego fali dwie rzeczy: dobra wiadomość, że jej prawa dłoń pierwszy raz od lat zacisnęła się w zgrabną zdrową pięść, i zła, że po trzech dniach zatwardzenia zaraz zrobi kupę i że nic na to nie da się poradzić.

Gdy wydawało się, że upokorzeniom nastąpił kres, pokazali jej czerwone coś, przerażające swoją nagłą osobnością w świetle zimnym jak lustro, jak lód. Przybili pieczętkę Dziewczynka, zaraz dobili drugą Córka i poszli z tym czymś, ze strzępkiem Jadzi, Dziewczynką Córka gdzieś, a Jadzia, wielki miękki owoc wyciśnięty przez nacięcie na krzyż przy ogonku, zamiast spodziewanej ulgi poczuła, że coś jest nie tak. W nagłym skurczu, który wrócił wielką falą, krzyknęła NIE jeszcze raz, a położyła o ustach wymalowanych w serce zajrzała między jej nogi, obnażyła małe ząbki gryzonia i zawołała, tu jest jeszcze jedno. Jadzia poczuła, jak coś jeszcze raz, tak samo, ale jakby inaczej – delikatniej, jak jedwab – jak będzie opowiadać w przyszłości, prześlizgnęło się przez nią drogą jodyny i krwi, powodując zamieszanie, tupot, czyjś krzyk. Próbowwała się podnieść, ale trudno wstać,

gdy się waży prawie osiemdziesiąt kilo i ma nogi przypięte skórzanymi pasami do porodowego łóżka. Rzuciła się tylko raz i drugi, aż położna z małymi ząbkami dobiła ją uspokajającym zastrzykiem. Ostatnie, co usłyszała Jadzia, to: za późno.

Gdy Jadzia obudziła się kilka godzin później już na innej sali, zaszyta i zajądynowana, pośród sześciu innych zaszytych, zajądynowanych i krwawiących na połatane prześcieradła, dziurawe ceraty, na materace z brunatnym makiem rozkwitającym pośrodku wciąż na nowo jak maki z Monte Cassino, co to żołnierz szedł po nich i ginął, nie mogła dojść do ładu z imionami. Paulina i Dominika, te dwa wybrane przez nią, były tak piękne i niepospolite wśród Kaś, Joaś i Baś, że naprawdę nie mogła się zdecydować na tylko jedno z nich. Gdy już pewności nabierała przyszła mamusia, to imię, z którego właśnie zrezygnowała, wydawało się nagle ładniejsze, ciężka sprawa. Czekają więc dwa, Dominika i Paulina, jak dwie sieci na dziewczynkę-rybeczkę. Tak pięknie pasowała Dominika lub Paulina do różowej czapeczki, po której od razu wszyscy będą widzieć, że dziewczynka. Będą pochylać się nad wózkiem i pytać, jaka śliczna dziewczynka, a jak ma na imię? W przypadku chłopca (czapeczka niebieska niezależnie od imienia) Stefan upierał się przy Władku, po ojcu, dając nagły i niespodziewany wyraz swoim synowskim uczuciom, ale okazało się, że kowal/kelner Chmura raz jeszcze nie miał szczęścia i jego imię odpadło z konkursu, nie przydało się już nigdy w tej rodzinie. Były więc dwa imiona, Dominika i Paulina, i dwie dziewczynki, martwa i żywa, żywa i martwa, do których Jadzia musiała dopasować Dominikę i Paulinę. Jedno

imię musiało przypaść na żywą, a drugie na martwą, której obecność w macicy Jadzi zaskoczyła wszystkich, łącznie z nią samą. Nie usłyszał bicia dwóch serduszek młody doktor Lipka, zwany doktorem Cipką, ginekolog z rejonowej przychodni na Piaskowej Górze. Ktoś, kto codziennie zaglądał między kilkadziesiąt par ud w celu potwierdzenia, zbadania, usunięcia, kto w oparach kobiecości kiszanej na sposób staropolski marzył o prywatnej praktyce, miał chyba prawo liczyć na kobiecą intuicję. To jest dar natury, co się z nim stało, Jadziu? Być może dwa serduszka były aż tak zgodnym rytmem, że nie sposób było ich odróżnić, ale bardziej prawdopodobne, że to dwadzieścia dodatkowych kilogramów Jadzinego tłuszczu przybranego w ciąży, tłumiącego dźwięki jak gruby filc, i wigilijny wieczór, najgorsza pora na rodzenie nie tylko w Betlejem, ale z całą pewnością również w Wałbrzychu Anno Domini 1972, złożyły się na fakt, iż Dominika została jedynaczką. Przyszedł ranek i rodzina przyszła zbита z tropu bożonarodzeniowego tym pomieszaniem narodzin i śmierci. Stefan tkliwy i podpity z wiązką goździków, Halina w za dużej czapce z lisa z pomarańczą, wujek Kazik z wujenką Basieńką, on wzdychający, ona nastawiona na nucenie, z torbą kukulek. Nad łóżkiem Jadzi rodzina parowała od mrozu i nie wiedziała, czy cieszyć się, czy płakać, bo sytuacja przerosła nawet wysoko stojącego pieczarkarza. To jak. Dziunia, odważył się Stefan, dajemy jej Dominika czy Paulina? Nawet gdy Jadzia już powiedziała sobie, Paulina to ta, a Dominika to tamta, nie miała pewności, czy robi dobrze, bo nie przyszło spodziewane olśnienie i żadne imię nie pasowało w pełni ani do śmierci, ani do życia,

albo może oba pasowały tak samo. Dominika, powiedziała pod rodzinną presją Jadzia, i myślała o martwej córce, którą chciała imieniem uznanym w końcu za piękniejsze wyposażyć na tamten świat, pełen duszyczek wy-skrobanych po kawalku, aniołków z dziurami w sercach, kręgosłupami rozszczepionymi na dwoje i wodogłowiem, ale ją źle zrozumiano. Imię martwej dostała żywa dziewczynka, dwa kilo dziesięć i tylko pięć punktów w skali Apgar, a druga, o chwilę młodsza, troszkę łżejsza i bez żadnego punktu w skali ziemskich spraw imię żywej, trumienkę wielkości bombonierki i przepłacone z powodu świąt miejsce na cmentarzu, dwie alejki od dziadka Władka. Małe szczęście w nieszczęściu, że tak blisko, bo się człowiek z chryzantemami na Wszystkich Świętych od grobu do grobu nie nachodzi. Ma drugie, to szybko zapomni, mówili, i jeszcze, tą, co jej została, za dwie pokocha, ale Jadzia kiepska była w dzieleniu i mnożeniu, a wynik dodawania wychodził jej na zero. Martwa dziewczynka z podmienionym imieniem stanie się więc wszystkim tym, do czego Dominika nigdy nie dorośnie, a żywa dziewczynka nigdy nie stanie się tym, czym mogłaby być Paulina. Pomyślą się córki Jadzi. Martwą zapamięta matka jak żywą, a żywa będzie jej umierała – pod trzepakiem z kręgosłupem na pół, na pal przez zboczeńca w piwnicy nabita, pod kołami ciężarówki roznieciona na wiśniowy dżem. Dominice nie uda się nawet przejść pod oknami domu na Piaskowej Górze, by w matki głowie jedno z nich nie wyrwało się z ram. Nie jest łatwo przeżyć w życiu tak pełnym niebezpieczeństw oseskowski, który przypomina starca w miniaturze i przyszedł na świat po trupie siostry.

Wszystkie kobiety na Jadzinej sali tortur poporodowych zgadzały się, że sztuczne karmienie jest lepsze i bardziej higieniczne, co zresztą dowiedziono naukowo. Pani inżynierowa pozszywana wzdłuż i szerz po synku wagi ciężkiej, który z byka zaatakował ją od środka i nie popuścił, twierdziła z wyczuwalną tęsknotą w głosie, że kiedyś będą nawet sztuczne macice i w nich jak w inkubatorach zahoduje się potomstwo o dowolnie wybranej płci. Będzie się przychodziło i patrzyło przez szybkę, jak rośnie, i jeśli o nią chodzi, to hodowałaby tylko chłopców, a nie córki-dziurki, bo co to za pociecha. Biedna Jadzia córkorodna jak zwykle za późno wymyśliła złośliwą odpowiedź i już jej się nie przydała. Nauka to potęgi klucz i żadna z pań, włączając Jadzię, nie chciała być babą ze wsi, gdzie w przeciwieństwie do miast takich jak Walbrzych panowały ciemnota, zabobon i zupełny brak higieny. Położna zabrała z ramion Jadzi biały kokon z zawartością niedającą się nastawić na funkcję ssanie, a poza matczynym okiem, które nie utuczyło, nakarmiono noworodka po raz pierwszy i nie ostatni substytutem przez smoczek ze zbyt dużą dziurką. Trzeba było tykać, żeby się nie udławić.

Gdy w szpitalu Dominika pierwszy raz odwróciła buzię od jej piersi, Jadzia poczuła, jak po jej obolałym ciele przebiega dreszcz niechęci. Gdy za białym fartuchem położnej zamknęły się drzwi, pojawiła się ulga, że kokon został wyjęty z jej ramion i znikł wraz z zawartością zametkowaną Dominika Chmura. Nigdy więcej nie oglądać czerwonej pomarszczonej buzi zapragnęło coś czarnego w Jadzi, zapomnieć, krzyknęło to coś, zapomnieć o dotyku lekko zniekształconej główki, której

miękkie kości wgniotły się tam, gdzie dotykały bliźniaczej siostry. Ta główka taka krucha jak wydmuszka, przecież nie da rady Jadzia utrzymać jej przy życiu. Chrupnie pod jej palcami, pęknie w zderzeniu ze szczebelkami łóżeczka, przez uszy naleje się do środka kąpielowej wody. Ta Jadzia, wszystko jej się pomieszało – jak to zapomnieć, przecież każda matka chce zapamiętać obraz swojego bezbronnego maleństwa. Będzie pamiętała i kiedyś przypomni wyrośniętemu przeciw niej z maleństwa rozczarowaniu życiowemu, gadowi wyhodowanemu na własnym łonie, że było niczym na karmionej łasce i podcieranej nielasce, więc niech nie podskakuje matce, której świta, że się poświęciła i zmarnowała na darmo. Po powrocie do kamienicy na Szczawienku Jadzi nie poprawiło się – to coś w Jadzi raczej się pogorszyło i znarowiło, ono było osobne i jednocześnie wczepione w nią jak bliźniak pasożyt. W bezsenne noce zatapiała Jadzia pokój wypływającymi z niej morzami i zawieszona pod sufitem jak wielka alga patrzyła, jak woda pochłania jej męża i córkę. Widziała, jak kałamarnice oplatają nie niepokolejącą Stefana, jak meduzy opadają na drewniane łóżeczko, pokrywając Dominikę galaretowatą kołdrą, spod której wydobywały się ostatnie bąbelki powietrza. Brakowało Jadzi-aldze odwagi, a może energii, by zostać na bezdechu w wywoływanej co noc powodzi i dopiero rano dać się wyrzucić na brzeg. Myślała o skokach z wysoka, o gazie, o tabletek łykaniu, ale zwyciężał bezruch i trwanie, była zatrutym Morzem Sargassowym, Pelcznicą pełną żołnierskich trupów. Niezmordowana w niespaniu wpatrywała się w swoje dzieło zniszczenia oczami jak niedojrzały agrest i szarpało ją poczucie

winy, zostawiając krwawiące rany. Pokryta swędzącą wysypką, której przyczyn lekarz z przychodni nie umiał dociec i podobnie jak w przypadku czkawki Stefana zalecił witaminy, rozdrapywała pęcherze na wilgotną miazgę i obgryzała paznokcie miękkie i listkujące jak francuskie ciasto. Pogrążona w płaczelivej obojętności snuła się po domu w poplamionym szlafroku i zapadała w kąty, skąd Halina wyciągała ją jak szmatę, by jakoś przygotować na powrót męża. Nie mogłaby tak się trochę ogarnąć? Nie ma zamiaru się ubrać? Obojętność Jadzi przerywały napady gorączkowej aktywności, której głównym przedmiotem było dziecko. Jadzia wyskakiwała co jakiś czas z ciemności, jak kometa przelatująca przez mieszkanie, nabierając rozpędu i obijając się od ścian, i już, nagle, o czwartej nad ranem szorowała podłogę, wannę i sedes, że aż dwa piętra niżej śmierdziało lizolem, a ona miała ręce po łokcie czerwone jak dwa pęta surowej kiełbasy. Zaczynała nagle zajmować się Dominiką, tak jakby chciała wynagrodzić jej tygodnie niezajmowania się; wyrywała Halinie butelkę z mlekiem, które jeszcze było za gorące, przedstawiała łóżeczko w miejsce, w którym nagła śmierć niemowlęcia wydawała jej się mniej prawdopodobna, śpiewała, przyrzekała dozgonną miłość matczyną. Obwąchiwała Dominikę i zaraz, natychmiast trzeba było grzać wodę na kąpiel w metalowej waniencie. To dziecko jest brudne! Niemowlę zaczynało sztywnieć w jej ramionach, odwracać głowę i płakać, a Jadzia wpadała w lepkie bagno paniki. Zapewnienia, że wszystko będzie dobrze i że mamusia kocha, wznosiły się na niebezpieczną wysokość, poza którą był pisk, zgrzytanie zębów. Jadzia kometa wypadała z kamienicy na Szczawienku z krwawym

ogonem pożogi, by wrócić dopiero po paru godzinach zmięta i poślizgnięta jak przypalona kartka. Pozadomowe wypadki Jadzi przesądziły sprawę w dniu, gdy wyrwała się w samej koszuli jak wykatapultowana i Halina po trzygodzinnych poszukiwaniach znalazła ją na strychu, gdzie usiłowała przecisnąć się przez okno na dach, ale utknęła biodrami. Teściowa wyciągnęła synową na łono rodziny za owłosione łydki, ale kto wie, na jak długo. Wariactwo zdarzało się wprawdzie w Wałbrzychu, ale nigdy w porządnym rodzinie. Bał się Stefan, że znów mu się żona nocą w koszuli wypuści i tak jak Świętą Mrówę z Tęczowej, która w obchody rocznicy rewolucji październikowej nago wyleciała zza pomnika bohaterów Związku Radzieckiego, złapią ją w kaftan bezpieczeństwa, zamkną i wypuszczą okrytą wstydem, jeśli w ogóle. Odbita szajba Jadzi wróciłaby wtedy na ludzkich językach jak bumerang, dewastując karierę zawodową i towarzyską Stefana. Nawet jeśli dostałby talon na samochód, to nie mógłby w takiej sytuacji nawet marzyć o spotkaniach z inżynierem Waciakiem na gruncie towarzyskim i łonie przyrody. Rykoszetem odbita szajba Jadzi mogłaby nawet wywalić dziurę w pieczarkarni wuja Kazimierza, który tymczasem wszedł w posiadanie zakładu produkującego ozdoby do włosów i inną galanterię plastikową.

Konsylium w składzie: wuj Kazik (obecny), ciocia Basia (obecna, od dawna pozbawiona prawa głosu), Halina (paląca, licząca na to, że dziecko dadzą jej pod wyłączną opiekę), Stefan (obecny, zagubiony), i Jadzia (obecna, niedysponowana), zebrało się na apel nadgórnik i zasiadło. Uznano, że pół biedy, gdy szajba odbija Ja-

dzi w domu (racja, wuju), bo wtedy ściany trzymają żywioł w ryzach, ba, skoro sprząta, to nawet szajba pożyteczna (zgoda minus niezrozumiały szept cioci Basi, uciszony). Przyznano jednogłośnie (nie licząc cioci Basi), że gorzej, znacznie gorzej, gdy szajba poporodowa wyrzuca Jadzię na zewnątrz. To się wręcz sprzeciwia kryminalowi, rzekł wuj Kazimierz, a Stefan przytaknął, chociaż nie rozumiał. Jako lekarstwo dla Jadzi wybrano pracę poza domem i unikanie czynników szkodliwych, za które uznano dziecko. Konsylium zdecydowało, że Jadzia zasiądzie na posadzie referentki, a Dominiką zajmie się babcia Halina, dopóki się młodej mamie nie polepszy. Do posady referentki potrzebna była matura, której Jadzia nie miała, ale tę rozbieżność wuj Kazimierz obiecał załatwić, bo miał wejścia i plecy. O dzieciaka zadba babka, a ty w tym czasie po męsku sobie z żoną tego, żeby jej się ten babski mózdzek całkiem nie zaparzył, rzekł wuj Kazimierz Stefanowi, który gotów był zgodzić się na wszystko, byle tylko odzyskać swoją dawną Jadzię nielota.

Gdy po niespełna roku wspólnego szczęścia na Szczawienku nastał czas, by przeprowadzić się na Piaskową Górę, dziecko zostało, gdzie było. W szczęściu Stefana pojawiła się pierwsza poważna przeszkoda w postaci szajby Jadzi i oddanego na przechowanie dziecka, które wolałby mieć przy sobie, a raczej mieć je przy dziecka matce, a nie swojej. Istota problemu żony rysowała mu się mgliście, bo nie widział powodów, i próbując radzić z nią sobie po męsku, ciągle trafiał głową w mur. Zaczął więc wstępować do Tęczowej, by strzelić sobie setkę dla większej jasności, która należała mu się zwłaszcza po

ośmiu godzinach w kopalni, gdzie czarno bywa jak w dupie u Murzyna po kaszance. To powiedzonko niestety nie on wymyślił, lecz Kowalik, czego Stefan żałował za każdym razem, gdy budziło śmiech kolegów. Z Tęczowej szedł do Haliny, by przez chwilę popatrzeć na dziecko i upewnić się, że jest ono na swoim miejscu dziecka, a on na swoim ojca, i tą nową okrężną drogą wracał na Piaskową Górę, sprawdzając w windzie jakość oddechu, bo zaraz w przedpokoju musiał chuchnąć. Gdyby Jadzia wyczuła alkohol, zdenerwowałaby się, a to miałoby wpływ na jakość obiadu, mogłoby nawet objawić się płaczem i rzucaniem talerzami w żywiciela, który pozostałby głodny. Tęczową i odwiedziny u córki trzymał więc Stefan w tajemnicy przed Jadzią, to pierwsze wiedział dlaczego, to drugie nie do końca, ale sekret sprawiał mu satysfakcję jak wtedy, gdy udawało mu się zjeść kawałek boczkusa z barszczu, a wuj Franciszek nie zauważył, że obgryzione. W niedzielę oboje rodzice byli rodzicami i zabierali córkę do siebie na Piaskową Górę, a Dominika była zabierana, bo na razie nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

VI

Halina przygotowuje śniadanie dla siebie i Dominiki, nie wyjmując papierosa z ust, słodka herbata, parówki, chleb; między jednym gestem a drugim wypuszcza wartkie strumienie dymu, które tracąc impet, snują się po kuchni. Babcia Kolomotywa, nazywa ją dziecko, bo lo-

komotywa (co stoi na stacji i pot z niej spływa) to długie słowo i lubi się przekręcić na języku. Niekiedy dziecko samo przekręca słowa, jakby obracało w ustach malinową landrynkę, która może poranić język, gdy się nie uważa. Dzień dobry, pani księgowal krzyczy do ekspedientki w księgarni, która sprzedaje im bajeczki o grzecznych dzieciach i mięsożernych tygryskach. Przekręcane słowa cieszą dorosłych, bo wtedy upewniają się oni, że dziecko jest nieporadne i małe, a oni duzi i sobie poradzą. Nie wolno jednak przesadzić, bo wyjdzie się na dziecko upośledzone, a takie mają miejsce poślednie i mamusię się ich wstydzą przy innych paniach.

Mamusia Dominiki nie ma jednak wielu okazji do wstydu, bo odwiedza córkę tylko w niedzielę. Na co dzień jest babcia Kolomotywa. Babci nie przeszkadza przekręcanie słów, bo sama mówi do wnuczki, wplatając w polski słowa białoruskie, rosyjskie, zaciąga miękko, śpiewnie i bulgocze przedniojęzykowo-zębowym ł. Przy Dominice trzymany w ryzach język młodości Haliny ożył, rozsnuł się, dziki, zapuszczony, ale musi uważać, bo Jadzia nie lubi obcych słów. Niech mamusia dziecku w głowie nie mąci! strofuje teściową. Jadzia Chmura chciała by odebrać swoje dziecko w stosownym czasie i w tym samym stanie, co najwyżej nieco cięższe i większe, ale stanowczo niczym oprócz przyrostu masy nieobciążone. Dziecko jest jednak bardzo miękkie i pootwierane na oścież, świat wlewa się w nie, przenika przez jego skórę i osadza się w środku, tego nikt już nie zatrze. To w Dominice zostanie zapamiętane jako pierwsze i będzie wracało; ona już nigdy nie uśmieje się, tylko po białorusku uhaha.

Babcia Kolomotywa zawsze ubrana jest w nylonowy fartuch w kwiaty i zwierzęta afrykańskie, dzikie tygrysy, słonie trąbalskie i małpy ogoniaste. Pomiędzy zwierzętami i kwiatami jest kolor niebieski, to morze, są wyspy – przychodzi tata i mówi, to są wyspy Bula-Bula, małpy tam skaczą, wiatr ciepły hula. Popiół z papierosów babci Kolomotywy spada w dżunglę i wypala w niej dziury, dziurawi tygrysy, słonie i małpy, wypala im oczy, opala wąsy, z sykiem gaśnie w morzu. Babcia Kolomotywa pachnie spaloną dżunglą, tygrysami, którym z pustych oczodołów bucha dym, małpami o ogonach zmienionych w pochodnie, słoniami o brzuchach poprzepalanych na wylot. Dziecko chciałoby jechać na wyspy tropikalne na morzach błękitnych i ratować tygryski, słoniki i małpki. To są wyspy Bula-Bula, mówią dorośli, trudno tam dojechać z Wałbrzycha niestety. Babcia pachnie jak suszone przy piecu ściereczki, jak wysuszona na siłę wilgoć, ma na głowie wałki, sterczą z nich metalowe szpilki jak ostre różki. Dziecku nie wolno bawić się szpilkami i brać ich do buzi, ostrzega mama, która przychodzi. Polknięta szpilka popłynęłaby żyłami do serca jak kajak z ostrym dziobem i Dominika poszłaby do dziadka Władka i malej Paulinki. Dominika wie, że ma siostrzyczkę, której tu nie ma. Raz babcia Kolomotywa mówi, Paulinka jest w ziemi, śpi sobie smacznie, raz, że w niebie jest aniołkiem, fruwa sobie jak jaskółeczka, ale jak to możliwe, by być naraz w dwóch tak odległych miejscach. Niebo, mimo wpatrywania się, nie daje odpowiedzi. Dominika sprawdza więc doniczki, wysypując z nich ziemię w poszukiwaniu małych siostrzyczek, z którymi można by się bawić, jeśli tylko je się trochę umyje albo chociaż

otrzepie z brudu. Może siedzą tam w ciemności skulone i czekają, by je uwolnić. Jednak w doniczkach jest tylko biaława płatanina korzeni, spomiędzy których wypada nagle glista i wije się na dywanie. Dziewczynka zostaje skrzyczana, ziemia wraca do doniczek, kwiaty korzeniami do ziemi, glista ginie, zostawiając w głowie dziecka trudne do wysłowienia podejrzenie.

Babcia Kolomotywa co rano siada koło wnuczki, kroi parówkę strzykając mętym płynem i sama posila się przy okazji; zdrapuje cielistą masę, która przywarła do skórki, i wyciera nóż o kromkę chleba. Z wiekiem potrzebuje coraz mniej pokarmu, jej jaszczurcze ciało jest chłodne i suche, uwędzone w dymie na żółto. Jadzia daje precyzyjne zalecenia teściowej. Uważa za ważne, by codziennie dziecko napełnić określoną ilością pokarmu. Sama nie jest w stanie tego robić, ale na odległość też można okazać miłość macierzyńską za pomocą parówek. Wzajemność dziecka nie jest jeszcze dobrze rozwinięta i trzeba ją dopiero wykształcić. Chodzi o otwieranie ust i przełykanie. Dziecko ma odwzajemniać, ale nie wolno mu zwracać. Leci, leci samolocik za mamusię, za tatusia i dalej lecą za wujka Kazia, za babcię Zosię z Zalesia, za nucącą wujenkę Basieńkę, o której oprócz tej okazji nikt zwykle nie pamięta. Na koniec lądują parówczane dwupłatowce ze zmarłymi na pokładzie, za dziadka Władka, za siostrzyczkę Paulinkę, która jest jedynym dzieckiem w towarzystwie oprócz Dominiki. Te ze Szczawienka, żywe wprowadzie, lecz brudne i niekulturalne, zostały zabronione przez Jadzię jako nieodpowiednie dla jej córki. Babcia Kolomotywa, przyzwyczajona do Stefana tak łakomego, że powygryzał dziury w ścianach ich mieszka-

nia, nadal uczy się nowych sposobów na przechytrzenie wnuczki, która mówi nie na każdy samolocik z jedzeniem. Ni w nie Dominiki, wibrując, wznosi się do góry, a e za nim nie nadąża, stukając jak puszka ciągnięta po bruku. Dziewczynka wystawia język zwinięty w trąbkę, patrząc na babkę oczami, które, jak Boga kocham, nie wiadomo skąd wzięły się w tej rodzinie. Halina dobrze się czuje na miejscu babci i tylko wygląd wnuczki trochę ją niepokoi. Dominika, co to w ogóle za imię, ani po matce, ani po babce, imię-znajda i do tego twarz-podrzutek, bo skąd tu nagle ciemne, cygańskie dziecko, żeby gorzej nie powiedzieć, łepok kędzierzawy i nos jak klamka od zakrystii. W maglu u Ilerty Kowalskiej czy w spożywczym na dole patrzą baby i się dziwią, głupie pudła, a po kim to takie oczka, a nosek to po mamusi czy po tatusiu, a włoski ciekawe po kim. A gównu wam do tego, po kim, chciałyby im powiedzieć Halina, ale codziennie przed wyjściem próbuje przynajmniej te dzikie włosy wnuczki jakoś ukryć pod czapką czy chusteczką, skoro całe dziewczynki nie dało się ukryć pod innym wyglądem. Trafili im się odmieniec, bo Stefan przecież blondyn, a Jadzia nawet jak się wypacykuje, blada i rozrzedzona jak niedogotowane jajo. A jednak przywiązał się człowiek, że aż strach. Im bardziej się Halina przywiązuje, tym bardziej strach, bo trudniej się mocne przywiązanie rozrywa i może się przy tym nawet polać krew. Już dwa razy udało się babce przedłużyć związek z wnuczką, którą odbiorą jej tak czy siak prawowici właściciele. Dziewczynka odsuwa się od parówczanych zwłok, kiwając się na krześle, i jeszcze raz wystawia język zwinięty w trąbkę. Tej sztuki nikt oprócz niej w rodzinie nie potrafi.

Nie wywalaj języka, bo ci krowa nasika, grozi jej Halina, a Dominika śmieje się zbyt hojnie jak na ten zużyty żart, śmiechem na pokaz, mającym skłonić babcię do porzucenia tortur. To się uhałała, no. Otwieramy buzię, Halina rozdziawia usta, by pokazać dziecku, co ma robić, a przy okazji demonstruje dowód własnej niechęci wobec dentystów, dla których teraz niewiele już zostało roboty pośród pieńków i drzazg połamanych siekaczy. Zrobiłaby sobie mamusia szczękę, namawia ją Stefan, odkąd poszedł do roboty na kopalni, niech mamusia pójdzie prywatnie do Jedwabnego, a ja się dolożę z zaskórniaków, ale ona tylko macha ręką. Widać tyle, nie więcej zębów zostało jej w życiu przeznaczone i nikt jej nie będzie na stare lata w gębę grzebał. Na drugą stronę sztucznej szczęki ze sobą nie weźmie, bo tam wiedzą, że każdy człowiek zasłużył na dwa komplety zębów, nie więcej, i zaraz się na oszustwie poznają. Taki święty Piotr powie, a co tak, babo, kłapiesz tą porcelaną, do filmu to nie tutaj biorą. Grażynka przez pół godziny śmiała się kiedyś z tego żartu, ach, jak ona się śmiała, aż pękały paki piwnii i dzwoniły szyby, a Jadzia tylko zacmokała, no niechże mamusia nie będzie taka zacofana, czy mamusia nie wie, że takie zepsute zęby to prawdziwa wylęgarnia bakterii? Halina dobrze widzi, jak synowa się krzywi z obrzydzenia, jak pod stołem przeciera sztuczne brzegiem serwetki w obawie, że bakterie obejdą ją jak mrówki Świętą Mrówkę z Tęczowej, przywiązaną przez jakichś bandytów w parku Sobieskiego do drzewa nad mrowiskiem, by w końcu zasłużyła na swoje imię, Jadzia! Dziunieczka, ukochana żona jej syna, wokół której trzeba skakać na paluszkach, bo jak jej szajba odbiła zaraz po porodzie,

tak ciągle ją za dupę trzyma. Podrzuciła dzieciaka jak kukulcze jajo, a sama albo sprząta, albo siedzi z łbem w książce i wdycha, a jeśli już ma lepszy dzień, lata po sklepach jak podsmalona i wydaje pieniądze na pierdoły i durnostojki z Cepelii, tak że niedługo w tylek sobie będzie musiała wtykać te wazoniki, bo w domu miejsca już nie ma. Po każdej niedzieli spędzonej na Piaskowej Górze Dominika wraca do babci Kolomotywy nieswoja, bo z dziecka-córki mamusi i tatusia na Piaskowej Górze musi stać się dzieckiem-wnuczką babci na Szczawienku, więc nabija sobie guzy, sinieje siniakami albo przygryza sobie kolano, zanim na nowo pomieści się w formie. Raz po powrocie uwalila kupę do nocnika i wysmarowała wszystko dookoła, a Halina do świtu miała robotę, żeby głównie sprząć z dywanu, mebli i zasłon. Widok wnuczki wykąpanej przez Jadzię i wypchnionej, a teraz całej w główne tak ją jednak rozśmieszył, że gotowa do płaczu dziewczynka też zaczęła się uśmiechać i to pewnie wtedy Halinie pierwszy raz wydało się, że to brzydkie, chude dziecko ma w sobie coś z promiennej i pulchnej Grażynki. Ułahaty się za wszystkie czasy. Co było robić, przywiązała się babcia Kolomotywa jeszcze bardziej i teraz już naprawdę trudno będzie ją oderwać, a jeśli nawet się uda, to, co w niej najlepsze i najgorsze, zostanie przyklepione do dziewczynki, a w niej, w Halinie, zostaną wyrwy i dziury. Dominika przywiązana jest i do babci Kolomotywy, i do matki, co jest bardzo trudne, bo synowa i teściowa nie lubią się i każda ciągnie dziecko w swoją stronę. To boli i grozi rozdarciem. Dominika każdą z nich przyciąga do siebie, co mogłoby spowodować zbliżenie babci i matki, ale dziecko nie ma jeszcze wystarczają-

co dużo siły i niechęć między Jadzią a Haliną chwilowo zwycięża.

Halina nie ma dla Jádzi ciepłych uczuć, Jadzia dla Haliny ma dużo instrukcji opartych na autorytecie nowoczesności i miasta, a w nich są zakazy i nakazy dotyczące jedzenia, wydalania i dbania o Dominikę. Dziecko ma powierzchnię i wnętrze w postaci kiszek. O to wszystko trzeba dbać bardzo uważnie i słuchać lepiej wykształconej synowej. Ludzie i zwierzęta, z którymi dziecko nieopatrznie wchodzi w kontakt, te śliniące się ciocie nie ciocie sklepowe, te pieski wachające inne pieski, fuj, pod ogonem i łaszące się potem do dzieci, liżące bezbronne dziewczynki po noskach, po czólkach, są dla Jádzi perfidnymi roznosicielami bakterii. Zainfekowane miejsca należy natychmiast przetrzeć chusteczką nasączoną wodą kolońską i pozabijać paskudztwa na powierzchni dziecka. W domu do tego celu służy ocet od zewnątrz i czosnek do wewnątrz. Najlepiej, by dziecko powstrzymywało się na dworze od oddychania ustami. Jeśli już musi, niech robi to wyłącznie nosem. Czasem Jadzia wpada bez zapowiedzi na inspekcję w środku tygodnia. Zagląda w uszy Dominice, czy miód się nie zrobił pod jej nieobecność, sprawdza, czy nie ma żaloby pod paznokietkami. Jak to dziecko się brudzi! I żeby gdzieś nie sikala po chałupach, tłumaczy Halinie, a jeśli już, to – niech mamusia słucha – bez siadania albo papierem deskę obłożyć. Szczególnie niebezpieczne dla Dominiki są inne dzieci ze Szczawienka. One mogłyby zainfekować nie tylko jej czystą powierzchnię, ale nawet dostać się do środka przez oczy, uszy, kto wie, jak jeszcze. Jadzia wie i strach jej o tym myśleć, ale myśli. Jadzia widziała,

jak bawią się te brudne dzieci. Wbijają patyk w ziemię, a dookoła pluja, charkają, liczą entliczek, pentliczek i ten, na kogo być, musi patyk wyrwać zębami, zębami, powtarza Jadzia, kto chciałby się tak bawić, w jej oczach błyska zgroza i coś jeszcze. Takie dzieci piją nieprzeżowaną wodę, dębnią w nosie i zjadają kozy, ostrzega córkę. Dzieci ze Szczawienka bawią się więc bez Dominiki na podwórku pełnym bakterii i nie wiedzą, co tracą, nie znając jej bliżej, więc tak jakby nic nie traciły.

Przez otwarte okno samotna dziewczynka słyszy śmiech niekulturalnych dzieci ze Szczawienka, który jest tym, co traci ona. Czasem na higienicznym spacerze babcia Kolomotywa spuszcza wnuczkę z oczu, a ta od razu leci do dzieci ze Szczawienka, które jednak wykupują ją z powrotem w kierunku babci, aż migają śnieżnobiałe majteczki. Dzieci ze Szczawienka to wielogłowe stworzenie, wszystkie jego głowy są połączone. Dominika jest osobna, nie licząc Paulinki, która jest w niebie lub w ziemi. Emil Tutka, najstarszy z siedmiorga drobiazgu w rodzinie Tutków, i rok młodsza jasnowłosa Emilka Buczek krzyczą coś, czego Dominika nie rozumie, wołają Cyganicha, gudłajka, ich głowy przewodzą innym i wylatują z nich w jej kierunku kamienie. Dziewczynka zaczyna godzić się z faktem, że nie pasuje, i zostaje z boku, przyciskając do piersi plastikowe wiaderko i łopatkę. Może sama ładnie się bawić, jak radzi Jadzia; na przykład w szukanie siostry, to już Dominiki pomysł. Rozdziera różową łopatką oporną ziemię koło trzepaka; im jest silniejsza, tym głębsze kopie dołki. Czasem, korzystając z nieuwagi babci Kolomotywy, z grupy dzieci wyrwa się smocza głowa na długiej szyi i znienacka uderza Domi-

nikę w ramię lub plecy. To najpewniej Emil Tutka o zaropiałych oczach, które wyglądają jak obsypane okruciami ciasta. Podtyka dziewczynce pod sam nos drgające różowe mięso, a potem rzuca garść dżdżownic na ziemię, rozdeptuje i mówi, trupy z dupy. Ona nie umie odpowiedzieć, nie zna języka, w którym mogłaby oddać brzydkie słowa Emilce Tutce, i zapadają w nią jak płwoci. On już jest daleko, gra na nosie. Nie uda jej się go dogonić.

Przy śniadaniu parówkowa masa przypomina Dominice trupa wielkiej glisty, mamy tych małych, które Emil Tutka rozgniółł butem, i tej, którą znalazła w doniczce z fikusem. Biedne małe glistki-siostrzyczki, myśli Dominika, wypełzają z ziemi w poszukiwaniu mamusi, a ona leży ugotowana na jej talerzu, tłusta martwa mamusia. Wypłuka trzymany od kilku minut w buzi kawałek, a Halina zabiera talerz i bez słowa wyrzuca jego zawartość do kosza. To będzie jeden z ich sekretów, babka kładzie rękę na piersi, potem unosi ją do ust, udając, że zamyka je na klucz, a dziewczynka powtarza za nią gesty przysięgi. Buzia zakluczona na kluklu-zakluklu. Jak powie mamusi, to przyjdą Cygany z Pocztovej i ją zabiorą. Dokąd? Do czarnego lasu. Po co? Żeby zrobić macę. Rączki na macę, nóżki i brzuszki? Tak. Pupka i główka? Też. Pupka, główka, wszystko. Na co główka? Na macę? Pupka na macę, główka na tace, a kosteczki na grzechotki dla cygańskich dzieci! Babcia Kolomotywa kroi kromkę chleba, smaruje grubo śmietaną i posypuje cukrem, grubo. Smak kremowosłodki wlewa się w dziecko i osiada w nim, lśniąc kryształkami w ciemności. To się będzie pamiętać.

Po śniadaniu babcia i wnuczka siadają na podłodze i wybierają najpiękniejsze ścinki na ubranka dla lalki. Między nimi piętrzy się góra, z której wyciągają łączki i różyczki, zorze i rzeki, kaczeńce i kaczuszki miękkie jak puch. Lalka ma na imię Paulinka i tylko ta jedna interesuje Dominikę. Na co dzień siedzi na telewizorze pięknie ubrana, zmiana jej stroju to prawdziwe święto! Telewizor jest prawie nieużywany, bo Halina nigdy nie zrozumiała, po co inni tak się gapią godzinami w to pudło, w którym pomniejszeni ludzie wyglądają jak gadające szare trupy. Się mamusia dowie, co na świecie się dzieje, namawia ją Stefan, a ona odpowiada, że jak co dobrego, to nie powiedzą i sobie zatrzymają, a jak złe, to prędzej czy później i bez telewizji do niej dotrze. Telewizor służy więc lalce do siedzenia i Dominice do oglądania dobranocki, a wtedy siadają naprzeciw siebie. Lalka nie jest zwykłą plastikową lalką, jakie można kupić w sklepie z zabawkami na Piaskowej Górze czy w pedecie w centrum. Ma porcelanową twarz, włosy z prawdziwych włosów, oczy szklane, ruchome, bardzo błękitne. Halina przywiozła ją stamtąd i po latach posadziła na niepotrzebnym jej telewizorze tutaj, nadając obu rzeczom pozór użyteczności. Dominika nocą zakrada się do pustego pokoju, tonącego w ruchomych cieniach rzuconych przez rosnący za oknem kasztanowiec. Znów śniła jej się siostra, miała uszko małe, śmietankowe, Dominika ssła je w ciemności, do jej ust płynęło słodkie mleko. Wydaje jej się, że lalka też się porusza, jakby jej dzienny bezruch był kłamstwem, a nocne do Dominiki mruganie – prawdą. Drżąc, patrzy, jak jej siostra powoli wstaje, wygląda fałdy sukienki, nieskazitelna i zimna, z czerw-

ną kroplą ust wyciąga do Dominiki ramiona zakończone dłońmi o lśniących paznokietkach bez żadnej żałoby. Wirują coraz szybciej i szybciej, już nie wiadomo, kto jest kim. Dominika, szalony derwisz w piżamce w gwiazdki, wpada na babcię Kolomotywę obudzoną hałasem. Paulina wraca na telewizor i nieruchomieje do następnego razu. Pozostanie tajemnicą jej zniknięcie po śmierci Haliny, bo nikt nie przyzna się do kradzieży, więc może po prostu wróciła do siebie.

Halina sama nie wie, po co wzięli tę durnostojkę. Może Władek spakował, bo ona zabrała tylko to, co potrzebne, a i tak wiele nie mieli, buty prawie nowe, trochę pościeli, kilim znad łóżka, pięknie rozkwitłą pelargonie. Nie, pelargonie zostawili. Dziwne, że pamięta, jak stała z doniczką w ręce, zbита z tropu, patrząc przez okno na podwórko i psa, którego też nie wzięli. Odczepiła go tylko z łańcucha i powiedziała, biegnij, ale nie chciał uciekać, usiadł przy budzie i siedział tak, gdy odjeżdżali. Lalka, którą dostali w prezencie ślubnym od dalekiego kuzyna Władka, chudego mężczyzny o wielkich uszach, niewątpliwej oznace pokrewieństwa, owinięta w pościel pokonała z nimi całą drogę stamtąd tu. Pociągi wiozły ich z pozytywkami i pościelami, z konfiturami i kielbasami, ze wspomnieniami zamarzającymi w najdziwniejszych momentach pamięci – coraz brudniejszych, bardziej zapchlonych i śmierdzących. Jeszcze przed granicą, z którą coś się stało, ktoś ją przesunął skądś dokądś, chociaż ona, Halina, nie miała z tym nic wspólnego, bo nie chodziła do szkoły i nie zna się na takich sprawach, umarł pierwszy człowiek z ich wagonu. Nocą coś szeptał, jęczał i za serce się chwytał, nie dając im spać, elegant

wysztafirowany jak na wesele, co okazało się pogrzebem. Ręce to miał jak panna, Halina pamięta wyraźnie, długie palce trupa w dłoni jego towarzyszki, zmieszane palce, że nie wiadomo było, kto kogo trzymał. A ta od starego to też mimoza, że aż żal brał, kapelusz przekrzywiony na siwych włosach, broszka z kamieniem, sronki-koronki. Nawet lzy nie uroniła, tylko jakby skamieniała, bardziej wydawała się martwa niż ten, co jej umarł na kolanach. Ruskie dobrze wiedziały, że trup w wagonie, ale co sobie mieli kłopot robić, puścili, i tamci jeszcze do popołudnia tak razem siedzieli, elegancy i poważni jak na mszy niedzielnej, ręce splecione. Dopiero gdy na postoju po polskiej stronie przyszedł starego zabrać, babka uderzyła w krzyk, i to jak, aż uwierzyć trudno, że taki krzyk w prawie martwym ciele się pomieścił. Razem z trupem została zaraz za granicą w jakiejś pipidówie, a po nich w wagonie walizka porządna skórzana. Najpierw niby nikt nic nie zauważał, każdy oczy po sobie, że co, jaka tam walizka, ale zaraz gdy pociąg ruszył, rzucili się jak psy na padlinę i dalej wyciągać a to futro, a to koszulę, a to skarpety i podwiązki, a gruba Natka, co we młynie pracowała, samą walizę łaps i dupą usiadła, że to już jej. Nabrali się jednak, jak myśleli, że co więcej cennego znajdą, biżuterię albo pieniądze, bo widać, że starym hrabiom już wcześniej rozum odjęło i spakowali się, że dziecko by mądrzejsze było. Jakieś papiery dobre tylko na rozpałkę, książek parę, album grubaśny z okuciami srebrnymi w skórę oprawiony miększą niż ta na walizce, gładką jak niemowlęca pupa. A może na sobie co cenniejsze schowali, kto ich tam wie, tak czy inaczej, pisz pan – przepadło. Halina wzięła album, który ktoś na

bok odsunął, a i tak lepiej wyszła niż jej mąż niezgula, co jeden z całego wagonu nie ruszył się, żeby coś wyrwać, a przecież to już i tak było niczyje i na zmarnowanie, więc nie grzech. Zezłościła się na Władka, bo gdyby nie był taki honorny, to może on by tę walizkę złapał swoimi łapami kowala, i miała rację, bo z taką walizką, to kto wie, może by gdzieś pojechała, zamiast przez resztę życia siedzieć w mieszkaniu po szkopach. W pociągu wlokącym się ku Ziemiom Odzyskanym, w których odzyskaniu ani nie miała interesu, ani nie przyłożyła do niego ręki, chmurna Halina Chmura zaczęła swój album zdobyczny od niechcienia oglądać.

Byli tam oboje starzy jeszcze żywi i dużo młodszy i dworek był podobny do tego, który u nich pod lasem stał, chociaż większy, bielszy jakby, a starzy wcale nie starzy, to w strojach ślubnych, to balowych, wiosną, latem i zimą na jego tle. Dalej inni jacyś starzy i młodzi, a wszystko w sukniach i garniturach szytych na miarę, przy kawie, we frakach, biżuteriach, zegarkach, w butach na glanc, z monoklami i orderami, z parasolkami. Turniury, fontazie, kinkiety, sygnety, blask kandelabrow. Tu stara jeszcze młoda kwiatów nazbierała i uśmiecha się, macha do kogoś, kogo nie widać, tam stary jeszcze młody ze strzelbą i jakimś kimś postawnym z wąsami, a u ich stóp sarna na śniegu ustrzelona. Taka sarna! Zimą cała rodzina by pojadła. Dalej oboje po letniemu odstawieni na plaży trochę niewyraźnej z morzem zamazanym i w zbożu na wesoło, za rękę, na biało. Całą ostatnią stronę zajmuje zdjęcie bliźniaczek jakichś jasnookich, w kokardach białych, jedna samo zdrowie, krew i mleko, druga nieudała, jakby wyblakła, a potem

już nic. Jedna trzecia stron przekładanych ochronnymi bibułkami została pusta. Pewnie starzy myśleli, że tam, gdzie jada, porobią sobie więcej zdjęć, obfotografują się na Ziemiach Odzyskanych w sronkach-koronkach, z parasolkami. Po przyjeździe do Wałbrzycha Halina włożyła album do ponemieckiej szafy, zbyt wielkiej wówczas dla ubogiej zawartości ich tobołków, lecz potem zapelnianej, tak jak zapelniają się szafy biednych ludzi, którzy nigdy nie wyrzucają ubrań, trzymając je nie z sentymentu, lecz ze strachu, że w jakąś mroźną zimę, gdy trzeba będzie pakować się i iść, mogliby potrzebować akurat tej jesionki, nieco tylko przetartej na łokciach i siedzeniu. Przez ponad dwadzieścia lat album przeleżał jak dobrze zakonserwowana skamielina, do momentu, gdy znalazła go Dominika. Z ręczną latarką, prezentem od wujka Kazimierza, z którym trzeba było za to bawić się we wcale nie tak lubianą zabawę jedzie konik jedzie, latarką, w której można było zmieniać kolor światła, przesuwając szybkę żółtą, zieloną lub, najładniejszą, czerwoną, wchodziła do wnętrza pachnącego naftaliną, zwiertzałymi perfumami i potem. Zamykała się tam i jadła cukier z płóciennego worka, trzymanego przez Halinę na czarnej godzinie, bo skoro jedna przyszła, to może przyjdzie i druga, kto da jej gwarancję, że nie, a wtedy lepiej mieć worek cukru i parę złotych ukrytych w szafie, każdy wygnaniec to przyzna. Światło latarki wydobywało z ciemności śpiące węże krawatów zmarłego dziadka Władka, którego Dominika nie poznała, puste formy płaszczy, sukienki i garsonki na nikogo niepasujące, oczka lisie, czujne, twarde jak landrynki. Palec zanurzany raz po raz w worku z cukrem robił się mięciutki i delikatny jak zamsz, jak ko-

nuszek siostrzanego ucha, i można by zasnąć, ssąc go, gdyby coś twardego nie wbijało się w plecy. Tak twarze starych z pociągu, o których Halina zdążyła zapomnieć, znów ujrzały światło dnia i babcia Kolomotywa została zmuszona do zaspokojenia ciekawości Dominiki, która dotykając kwitnącym paznokciem postaci na zdjęciach, zapytała, a kto to są?

Oglądanie albumu stało się wspólną zabawą wnuczki i babki, do której rytuału należało tej pierwszej się napraszanie i tej drugiej udawanie, że ulega niechętnie, przewracając oczami i mówiąc, ty męczyduszo, niech ci będzie. Siadają obok siebie przy stole, Halina odsuwa wazon ze sztucznym bzem, by nie zasłaniał światła, Paulina zezuje z telewizora, a Dominika przewraca strony albumu, za każdym razem z namaszczeniem śliniąc palec i pytając, a tu to kto? Halina sięga wtedy po papierosa, pstryka zapalniczką, zaciąga się, jak to kto. To jest twoja prababcia i pradziadek na ślubie. Paznokieć Haliny celuje w pierś pradziadka, w gorset prababki. Mówiłam ci, Leokadia Wielkopańska, z domu Bogacka, wołali ją Leosia. W dużym, pięknym dworze mieszkali. Dziedzice tak mieszkają, dla dziedziców to normalne, że nie w chałupie, że podłogi, zegary stojące, jedzenia pod dostatkiem, a żebyś ty widziała, ile rzeczy mieli w kufrach pochowane, ile zapasów. Na sto lat! Mieli na przykład sukienki dla dziewczynek? No pewnie, że mieli, sukienek mieli nie mieć, w każdym kufrie po dwieście co najmniej, różowe, niebieskie, w kwiatuszki. I koronkowe? Koronkowe też, z bufiastymi rękawami, do ziemi samej, amarantowe, fiołkowe, liliowe. A buciki? Buciki to w innych kufrach, z czerwonego chińskiego drzewa, co żydki zza granicy

przywoziły na handel, handele, handele, wołali i sprzedawali. A w skrzyniach od żydków buciki złote i srebrne, z klamerkami. Do tańczenia? Pewnie, że do tańczenia, złote buciki do tańczenia najlepsze. W takich dworach to i bale, i polowania, o, Halina stuka paznokciem w fotografię pięknej kobiety upozowanej przy kolumnie, patrz, do ziemi suknia, nie mówiłam, aż po ziemi się ciągnęła. A tu co? A tu masz ciocię Teofilę, miała włosy do pól uda. Wyszła za mąż za pułkownika w mundurze. Co za włosy, mówię ci, jak ze złota. A ona, ta ciocia Teofila, to co? Teofila z domu Bogacka, bo to siostra pani Leosi. A przyjechała w odwiedziny do państwa Wielkopańskich, zawsze jesienią przyjeżdżała na świeże powietrze. Przyjechałam zaczerpnąć świeżego powietrza i śmietanki popić, tak mówiła. Bardzo była delikatna. A jak jesień, to na grzyby się chodziło, bo lasy dookoła, grzybów była moc. Nocą słychać było, jak rosną, szu-szu. Ale z grzybów dla mnie to rydze najlepsze. Szło się i zbierało, tyle rosło, że kosić było można, potem śmy na blasze na kuchni smażyli. Prababcia i ciocia Teofila też smażyły? A pewnie, zakasywały rękawy i smażyły. Bo dziadek nie? A gdzie tam chłop by smażył! Pradziadek polował z wujkiem Frankiem, o tu masz, ze strzelbą. Ale nie zabijał zwierzątek? Nie zabijał, skąd. A ta sarenka, co leży, to nie jest zabita? Wypchana, nie zabita, gdzie tam zabita by była. A ta dziewczynka z białą kokardą, bliźniaczka, czemu taka blada, czemu znika? A na suchoty jej się zmarło przed Wielkanocą, a druga oczy wypłakiwała, nic jeść nie chciała, aż porwał ją wiatr. I nic a nic nie dało się poradzić? Ano nie. A gdzie jest teraz ta nieżywa? Pomnik ma z aniołem za granicą, anioł taki duży jak ty, złocony. Pradziadek, prababka

przychodzili co wtorek ze świeżym bukietem kwiatów. Pradziadek i prababcia Chmura? Chmura pradziadek, co miał syna Władzia. A Władzio miał Stefcia, a Stefcio ciebie. I ty teraz jesteś Dominika Chmura, prawnuczka. Prawnuczka Dominika Chmura, powtarza dziecko, ale niepodobna jestem. Podobna nie podobna, macha ręką Halina, zmartwiona tym nagłym odkryciem wnuczki. Prababka na zdjęciach blondyna, o, jakie włosy jasne, jak królewna, ale ty wiesz, że w dzieciństwie taka sama była z niej Cyganicha jak ty? Dopiero potem zjaśniała. W rumianku płukała, mleko piła, po słońcu chodziła i jak za mąż szła, nikt by nie powiedział. De domo była Wielkopańska, po mężu Chmura. W sukni do ziemi jak tańczyła, aż iskry szły. De domo? To po francusku, parle franse komar w dupę kase. No i się uhała, no.

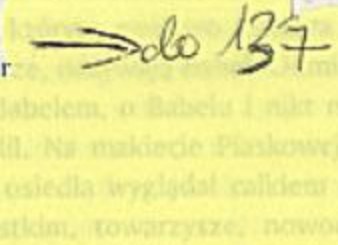
Halinie się przypomniało, że tak właśnie, de domo, pisze się na nagrobkach. To znaczy nie wszystkich, nie takich z lastriko, jaki postawiła zmarłemu mężowi, ale tych większych, starych, tych z aniołami i marmurami, z trupami eleganckimi, jak ten z pociągu, w eleganckich trumnach pod spodem. A ile to lastriko kosztowało, majątek, więc pomyślała, pokalkulowała i zdecydowała się na podwójny grób, co taniej wychodzi, niż gdyby potem zamawiać drugi. Po lewej stronie Władka czeka na nią wolne miejsce. Tablica też już jest gotowa z napisem Halina Chmura z dom. Czeladź ur. 1921 – zm. Potem dopiszę się tylko datę.

Czy to babka, czy wnuczka pierwsza wpadła na pomysł, by uzupełnić brakujące strony w rodzinnym albumie starych z pociągu? Jako pierwsze wklejone zostało zdjęcie Władysława Chmury zrobione jeszcze tam, w naj-

tańszym w okolicy zakładzie Ludka Borowica, z przekrzywionym krawatem i sztucznym uśmiechem. Zaraz potem cała rodzina pojawiła się uwieczniona na jego pogrzebie, pokropkowana na biało padającym śniegiem, bo od wygnania do śmierci nie było w życiu Władka okazji do fotografowania się, choć być może został przypadkiem uwieczniony na weselnych fotkach z Tęczowej. Dalej kilka prześwietlonych zdjęć ślubnych Jadzi i Stefana, najpierw z cywilnego, a potem z kościelnego, z dłonią proboszcza Postronka oderwaną od reszty ciała, między nimi wzniesioną jak do ciosu karate. Wkrótce Jadzia i Stefan w rozmamlanej małżeńskiej zażyłości. Nad jeziorem w strojach kąpielowych nie najlepiej leżących, przy stole świątecznym z Haliną niewyraźni, aż w końcu dziwnie zielonkawi na kolorowej fotografii z balu sylwestrowego w Domu Górnika, wznoszący toast radzieckim szampanem pośród konfetti i bibułkowych wstążek. Dominika pojawia się w albumie najpierw w postaci brzucha Jadzi, wyrastającego spomiędzy rozpiętych pól płaszczyka w jodełkę, którego prawdziwego koloru na tej podstawie też nie można odgadnąć, a na kolejnej stronie, w całości poświęconej temu doniosłemu wydarzeniu, jest chrzczona; w koronkach beci-ka piwonii twarzy. Na następującej potem serii tortów urodzinowych z cukrową różą ta sama twarz stopniowo nabiera cech człowieczych i nieodmiennie ułożona jest w dziubek, zdmuchujący rosnącą liczbę świeczek. Pomyśl życzenie, mówiła Jadzia, a Stefan z aparatem marki Smiena pstrykał palcami, raz-dwa-trzy leci ptaszek, musując z tego nadmiaru szczęścia, śledzików i słodkiego, bo żeby to tak za jednym zamachem i Wigilia, i urodzin-

ki! Gdy Dominikę zabiorą na Piaskową Górę, Halina będzie w miarę upływu czasu dokładać zdjęcia bliskich do niedokończonych historii hrabiów z pociągu i podpisywać je swoim niewyrobnym pismem Jadzia i Stefan Sylwester 1980, My wszyscy na Święta 1981, Matóra (skreślone i poprawione na Matura) Dominiczki, Grażynka i jej Niemce 1989. Po jej śmierci album zostanie odnaleziony w idealnym stanie, zawinięty w lnianą ściereczkę, prawie zapelniony. Dominika doda do niego fotografię Haliny z opatrunkiem na szyi, w tureckim swetrze z aplikacją, z której patrzy ona tak, jakby pierwszy raz w życiu mile zaskoczyło ją własne odbicie w lustrze.

VII

Dom, w  mieszkali na Piaskowej Górce, w domu, który nazywał się Babel, Babelow, z Babelem, o Babelu i nikt nie wie, kto ten Babel wymyślił. Na makiecie Piaskowej Góry największy budynek osiedla wyglądał całkiem nieładnie, ale przede wszystkim, towarzysze, nowoczesnie. Na tarasie kwitły plastikowe ławki, a wokół budynku pleciła się trawa zrobiona ze skrawków zielonej wykładziny podłogowej. Młody ambitny architekt mówił o spotkaniach mieszkańców i matkach spacerujących z dziećmi po tarasie, o ogrodzie tarasowym, o który wszyscy będą dbać kolektywnie i rotacyjnie. Brat robotnicza będzie tam siadać po pracy, wśród roślin doniczkowych, gawędzić z sąsiadami. Sami porządni ludzie, górnicy, żony

coś pięknie, tego nie katolickiego liturgia. Nie, żeby miała porównanie. Przecież to było aksjomatem, a wszystkie inne religie i wszystkie inne kategorie kociej wiary i odrzucała. Kiedy podjęta została Dominika opowiadała o spotkaniu z krishnowcami w osiedlowym domu kultury, o śpiewaniu *Hare Kriszna*, *Kriszna hare* i serwowanym jedzeniu o kokosowym smaku wypieków Bula-Bula, Jadzia krzywiła się niechętnie. Marchewka z kokosem, też coś! Kokos jest co najwyżej do ciasta. Żebyś jakiegoś choróbka nie złapała, kto wie, jak oni to gotowali, paparuchy! Na pewno łapsk nie myli. Świadkom Jehowy nigdy nie dała szansy na wręczenie broszury z kolorowymi obrazkami rajy pełnego zidiociałych owieczek i różowoustych pasterzy. Na niespodziewany dźwięk dzwonka zaglądała przez judasza, znów te kocie wiary chodzą, szeptała, wywracając oczami, i przykladała palec do ust, by Dominika była cicho. Wzruszały ją śpiewny głos księdza i jaskrawe obrazy przedstawiające sceny Drogi Krzyżowej; uwielbiała zapach kadzidła i nastrój. Tak pięknie ksiądz mówił, zachwycała się, tyle ludzi było. Łzawy ucisk w dolku, jaki ją napadał podczas mszy, nie różnił się w swoim wilgotnym niesprecyzowaniu od tego, który odczuwała, czytając *Trędowatą* albo oglądając reportaż o głodujących dzieciach w Afryce – jakby miała pod żebrami małe zwierzątko o miękkich, łaskoczących wypustkach. Przez całe życie wzruszały ją romanse, pieśni kościelne i cikliwe ballady, a gdy umarł Stalin i cała dwuizbowa szkoła w Zalesiu zaśpiewała z pełnej piersi *Kantatę o Stalinie*, mała Jadzia, drżąc jak osika, wróciła do domu rozpalona gorączką i rozchorowała się na tydzień z tych emocji. Czego ty tak ryczysz, szturchała

Jadzię matka, Zofia, gdy ta siąkała nosem podczas każdej niedzielnej mszy w zaleskim kościele, a podniesienie monstrancji wprawiało ją w drgawki jak starego Kukułkę, któremu odłamek szrapnela popsuł w głowie i ludzie śmiali się, że nawet kiedy kurę na rosół zabija, to potem godzinę szłocha.

Dorośla Jadzia mawiała, że idzie do kościółka odsapnąć, i w swoich różach, lilaróżach sunęła przez Krzaki na coraz bardziej opuchniętych nogach. Co roku niecierpliwie czekała na Boże Narodzenie i Wielkanoc, dwa tygodnie wcześniej zaczynając przygotowania. Potępiała te gospodynie, które nie urobiły się aż tak jak ona, bo zaniedbały mycie okien albo trzepania dywanów. Co to za święta, jak się człowiek nie urobi, nie wykończy, nie ustni? Gdyby nie ta ręka, potrzasała ułomnym ramieniem jak zepsutym narzędziem, gdyby tylko nie ta ręka. Wykończona kolejkami i lepieniem pierogów, liczeniem, ile kartek zostało jej na mięso, a ile na słodczyce, rozcierała przykurczone palce i mówiła, a mogłam jeszcze kapusty z grochem nagotować, bo poczucie niedosytu pojawiał się niezależnie od tego, że świątecznego jedzenia było zawsze za dużo. Jadzia lepiła, gniotła i dusiła, podsuwała i wciskała, aż się rodzinie odbijało. Cenila religijne rytuały i dbała, by wszystko odbyło się jak należy. Koszyczek ze święconką podstawiała zawsze tak, żeby kapnęło na niego jak najwięcej święconej wody, a w Boże Narodzenie czekała w kolejce przy szopce, by wrzucić ofiarę do skrzynki trzymanej przez drewnianego Murzynka, który tak zabawnie kiwał wtedy głową. Gdy Murzynkowi Mirek Tutka urwał głowę i proboszcz Antoni Postronek zrezygnował z tego elementu szopki, czuła się rozczarowana,

tak jakby spotkała ją osobista przykreść. Bo co to za szopka bez Murzynka?

Jeśli Stefan był zbyt chory po sobotniej popijawie, by zwlec się z łóżka i potargować z Bogiem o sześć numerów totolotka czy choćby pięć na początek, matka z córką odświętnie ubrane i popsikane dezodorantem Basia wędrowały tylko we dwie, by pomodlić się o zdrowie i przyszłość niemiecką. Jadzia umiała dziecku przekazać religijne prawdy, jeśli nie lepiej, to na pewno barwniej niż wiecznie zakatarzona zakonnica, która uczyła religii w sali za kościołem i wymagała tylko wkuwania katechizmu. Dowiedziała się Dominika, że Bozia karze niegrzeczne dziewczynki i do piekła je zsyła specjalnymi pociągami podziemnymi, a tam diabły je w kotłach w smole gotują. A jak gotują, powiedz, jak, dopytywała się córka. Już ci tyle razy mówiłam, za nogi łapią i głowę w dół do kotła. I nie dusi się taka zła dziewczynka? Nie dusi, wszystko czuje tylko, gorąco jak we wrzątku, ciemno, ciemno i straszno. Bardzo ciemno? Bardzo. A nogi? Wystają tylko stopy, białe jak śnieg, a diabeł cap łapą kostropatą i stopą miesza jak łyżką. W miarę upływu czasu ciekawość Dominiki zaczęła jednak wyprowadzać Jadzię z równowagi, bo skąd też dziecku takie rzeczy do głowy przychodzą. Wiadomo, że wino to święta krew, ale to się tylko tak mówi, bo wiadomo, że to tak naprawdę wino. Wino, nie krew! Kto by tam krew pił? Może jakieś dzikusy. Co ty, kretyńko, opowiadasz, jakie wampiry? Wampirów jej się zachciewa! Czy to babka Halina ci takich głupstw nakładła, czy może ten twój Cygan kocia wiara?

Nie przyznała się religijna Jadzia Chmura, że podobnie jak córka nie rozumiała, dlaczego dzieci głodu-

ją w Afryce, skoro Bozia jest dobra, ani skąd wziął się Duch Święty, postać blada i niewyraźna, która zajmowała w Trójcy Świętej miejsce bardziej nadające się dla kogoś tak pięknego jak Matka Boska. Otwartą zgodę na sugestię dziesięcioletniej Dominiki, że Czwórca, włączająca Marię, byłaby lepsza od Trójcy, Jadzia uznała za niepedagogiczną, ale zawsze nosiła przy sobie poświęconą podobiznę Matki Boskiej Częstochowskiej, bliźniaczkę tej, która w złotej gipsowej ramie wisiała w jej kuchni na Babelu. Tylko ta kobieta, piękna matka z blizną po szwedzkiej szabli na policzku, okaleczona jak ona, miała dla Jadzi jakąś realność. Baba zawsze babę lepi zrozumieć niż ukrzyżowany chłop, i do tego kawaler, mówiła Lepka i mimo iż Jadzia nie ujęłaby tego tak dosadnie, zgadzała się. Nieraz w ciągu dnia zaglądała do Czarnej Madonny, stojąc w kolejce albo jadąc autobusem, by upewnić się, że nadal jest między fotografiami Dominiki i Stefana, albo poprosić o jakąś drobną przysługę. Kościół Jadzi był kobiecy i oprócz Matki Boskiej fascynowały ją święte męczennice. Taka na przykład święta Urszula. Urszula, główna bohaterka kazań proboszcza Antoniego Postronka, który szczególnie czuły był na grzechy ciała, służyła mu jako przykład cnotliwości. Jedenaście tysięcy dziewic, grzmiał i dłońmi kreślił w powietrzu dojrzały kształt niewieści, w pień jedenaście tysięcy bogobojnych niewiast przez krwi żądnych Hunów okrutnie wycięte, a Jadzia aż się za serce chwyciła. Ci Huni to jakieś straszne były dzikusy! Nawet żałowała, że nie знаła wcześniej historii tej świętej, która udała się w przedmałżeńską pielgrzymkę do Rzymu i poległa w drodze powrotnej wraz z licznymi towarzyszkami. A każda włócznią przebita na wylot

przez Huna. Może wtedy Dominika albo Paulina byłaby Urszulą, bo ani o świętej Dominice, ani o Paulinie proboszcz Postronek nigdy nie wspominał. Jadzia wyobrażała sobie, że Urszula i jej towarzyszki były ubrane całe na biało, jak dziewczynki do komunii, a Hunowie przebijali je włóczniami, za każdym razem trafiając prosto w serce, z którego tryskały jaskrawe fontanny krwi. Religia ojca, który skazał na ukrzyżowanie własnego syna, nie dawała Jadzi niczego, co mogłoby się jej przydać w życiu, bo żadna matka nie wymyśliłaby podobnej głupoty i raczej sama dałaby się ukrzyżować, nawet jak ją dziecko od czasu do czasu mocno denerwuje. Ojcowie nie przysłużyli się Jadzi Chmurze. Jej własny zginął, zanim się urodziła, ojciec jej córki rzadko występował w roli ojca. Matka, Zofia octem pachnąca, jaka by była, to jednak była i słała paczki pełne słoików z truskawkowym dżemem. Dopiero potem w portfelu Jadzi znalazło się zdjęcie polskiego papieża, o którym będzie mówiła ze znaczącym westchnieniem, ten to od początku nadmą czował.

Gdy w październiku 1978 trwało konklawe, Jadzia wylądowała w tym samym szpitalu, w którym urodziła bliźniaczki, a jeszcze trochę i poległaby po drodze. Żle zniosła ostatnią skrobankę. Coś się wdało i spaprało. Po tygodniu zapłonęła gorączką, która na jej bladych zwykle policzkach zakwitła dwiema plamami. Zawołała Dominikę, by pomogła jej zebrać się z podłogi w łazience, bo przy wymianie wacianego opatrunku zrobiło jej się nagle tak słodko w ustach, jakby i z tej strony miała rzygnąć krwią. Patrz, jak mnie pokarało, mówiła do córki, która bosko stała w brunatnej kałuży. Nie powiedziała Stefano-

wi o ostatnim zabiegu. Żyły sobie wyprując, a zarobię na jeszcze jedno, krzychał przy poprzednim. Podchmielony i melodramatyczny w pierś się bił, ale Jadzia, żona biegła w żoniności i doświadczona, wiedziała swoje, bo słyszała już niejedną obietnicę bez pokrycia. Chłopy! Brakoroby i gołodupce, a co drugi to pijak. Żeby śmieci wyrzucił, nie można się doprosić. Zaraz! woła. Zaraz! Gaci sobie uprać nie potrafi, a dziecko chce mieć. A pieluchy kto będzie prał? Święty turecki? Czy ci z Babela, czy tamci z telewizji tak samo kłapią gębami, a potem okazuje się, że gówno prawda, w sklepach puste półki i nawet podpasek nie można kupić. Trzeba ligninę ciąć na kawałki albo watę owijać w gazę, żeby się do cipki nie kleiła. A więc nie powiedziała Stefanowi, gdy znów zaszła. Do końca łudziła się Jadzia, że jej się spóźnia, mimo dobrze znanych objawów puchnących w staniku, ciemniejących pręgą wzdłuż brzucha jak ślad po biczu. Poszła z Madzią z pracy i po cichu załatwiła sprawę w prywatnym zakładzie u doktora Lipki, bo miała trochę odłożonych zaskórniaków, ale coś poszło nie tak.

Do szpitala pojechała sama. Zgięta bólem, spocona ze strachu i zawstydzona plamą, jaką zostawiła na skajowym siedzeniu w autobusie numer dwa. Najgorzej było pod górę od przystanku. Krok po kroku człapała Jadzia; bolący brzuch ciążył jej, krew płynęła po udach. Zatrzymywała się ze dwanaście razy, żeby odetchnąć, a upadła trzy. Pierwszy raz potknęła się przy wychodzeniu z autobusu, rajstopy podarła, na przystanku tłum i nikt nawet jej ręki nie podał. Że pijana, ktoś powiedział, że mordę baba załala. Pozbierała się i ruszyła, a zaraz za pasami wszystko jej się wysypało z torebki, w której szukała

chusteczki i nie znalazła. Jakaś babina z opatrunkiem na oku schyliła się, żeby pomóc, chustkę miała w malci jak Jadzi matka. Dziękuje jej wzruszona, co za miła kobieta! i dopiero potem zauważy, że starowina gwizdnęła jej puderniczkę i paczkę caro. Drugi raz upadła koło liceum i jakieś dwie uczennice, chichocząc, postawiły ją na nogi, bo myślały, że pijana. Jedna miała czerwone włosy i Jadzia w gorączce myślała, że płoną. Stała chwilę z nimi oparta o mur, dały jej chusteczkę, bo sobie całe kolana uwalala, przetała spocone czoło, aż całą wypaprała. W Jadzi głowie pędziły pośpieszne tudum-tudum i bredziła trzy po trzy do chichotek, że młode jeszcze, jeszcze wszystko przed nimi. Na pewno im się uda, bo ona to już na straty. Trzeci raz padła już na schodach szpitala, wrzucili ją na nosze, rozebrali do naga, drąc spódnice i bluzkę. Zajrzeli jej i poskrobali, naktuli kroplówką z antybiotykiem, niewiele mówiąc, bo nie byli od mówienia, a dwa gorsze przypadki niż Jadzia czekały pod noż. Zapakowali ją do łóżka w sali z sześcioma innymi, z każdego boku Jadzi po trzy, z których tylko dwie jęczały. Reszta była w miarę dziarska, bo nic im się wielkiego nie stało. małe zakażenie, wypalanka z komplikacją, poronienie. Niektórym nie spieszyło się do domu. Iwona spod okna uziemiona upartym polipem mówiła, że tyle jej, co sobie w szpitalu odpocznie, porozmawia, spokojnie popatrzy na telewizję. Czarno-biały śnieżący odbiornik był tylko w ich sali i z sąsiednich przychodziły pacjentki, ciągnąc za sobą metalowe krzyże z kroplówkami. Te z patologii przybywały z opowieściami o dwugłowych płodach mrugających czworgiem oczu, machających dwoma zestawami kończyn. Madonny z onkologicznego pokonywały

Everest dwóch piętér i dysząc, przysiadły na brzegach łóżek, zanim w ogóle coś powiedziały, bo były najslabsze i skazane na wymarcie. Zapalenie Jadzi okazało się poważniejsze, niż się wydawało, i nie puścili jej po dwóch dniach, jak obiecywali na początku. Coś tam mamrotali, głowami kręcili, że może perforacja, a jak tak, to operacja. Niech leży, jak jej dobrze, i nie podskakuje, ordynator Rosen, który pod zielonymi płóciennymi spodniami nie nosił majtek i pacjentki cuda opowiadały, co tam było widać, poklepał ją po udzie. Dowcipniś taki, zawsze na luzie. Po trzech dniach Jadzia знаła już drogi krzyżowe innych pacjentek. Widziała blizny i znała wymiary mięśniaków, torbieli i potworników. Niektóre padały więcej niż trzy razy; inne nie miały się już podnieść i nie groziło im zmartwychwstanie. Ruda Gabrysia z onkologicznego na przykład, która ciągle opowiadała o wyjeździe na wczasy do Bułgarii, to może i pojedzie, ale już tylko nogami do przodu. Po tygodniu były jak rodzina, klóciły się i podkrażały sobie papierosy, znały imiona swoich dzieci i przyszłość, jaką dla nich sobie wymarzyły, a co jedna, to była piękniejsza, bo żadna się jeszcze nie zdarzyła.

Akurat paliły w ubikacji, kucając pod ścianą, bo ciężko jeszcze było im utrzymać się w pionie, gdy ruda Gabrysia, zwana Bułgarią, wtoczyła się ze swoim krzyżem i wydyszała: Karol Wojtyła. Objęły się ramionami, z których sterczały ciernie wenflonów, pierś do piersi, brzuch do brzucha przytuliły się do siebie pobożowiska ran i blizn. Bo szesnastego października Polak został papieżem. Będzie lepiej, wszystko się zmieni! A Ruskie to się teraz wściekną, powiedziała Gabrysia Bułgaria,

puściła dym nosem i dodała, że co do niej, to i tak się latem wybiera na wczasy do Warny. Wieczorem po obchodzie były porzeczkowe wino domowej roboty, kruzon i rarytas, puszkowana szynka Krakus do chleba, którą wydobyla z szafki gruba bacylarka z mięśniakami, pierwszy raz dając dowód hojności. Palily papierosy przy oknie otwartym w rozgwieżdżoną noc, a koło północy zebralo im się na śpiewanie. Nalepiec szła im *Czarna Madonna* i żalowały tylko, że nie ma nikogo z gitarą. W pierwszy dzień pontyfikatu w Watykanie Jadzia poczuła się zdrowsza i spadła jej gorączka. Wkrótce wypisano ją nieco szczuplejszą i osłabioną, ale w stanie zdolnym do życia. Jak nowa, ale niech jeszcze przez tydzień nie bryka, powiedział ordynator Rosen spomiędzy jej ud i uszczypnął ją w pośladek. Ten to zawsze w humorze. Ja przez was kiedyś ocipię, mówił do pacjentek i cieszył się powszechnym poważaniem.

Od tej pory polski papież dołączył do grona figur religijnych darzonych przez Jadzię szczególnym szacunkiem i zachwytem. Bo jak on mówił pięknie! Jak ręką pięknie machał! I zawsze uśmiechnięty, z twarzy miły, do ludzi taki. A jak gołębia puszczał na Wielkanoc, po niebo mu leciał! I zawsze na biało, na złoto. Cokolwiek mówił, piękne to było, mądre. Łzy same płynęły, gdy człowiek te tłumy zobaczył. Coś w tym musi być, że taki tłum. A jak to podróżował, no! Tak jak on to żaden inny się nie najeździł. Do czarnych, do żółtych; dzikich nie znajdziesz, co by do nich nie pojechał. I wszędzie tłumy go witały, a on dzieci po główkach, bez różnicy, czy czarne, czy żółte, chore czy zawszone, albo nawet na ręce brał. Starcy, kalecy, a nawet do Żydów pojechał, się nie bał.

Każdemu rękę podał. I słodkie lubi, kremówki, a jak urlop, to na nartach. Daleki, jasny i czysty, mógłby papież Jan Paweł II być Jadzi ojcem, czuwać nad nią z daleka i błogosławić dłonią przejrystą jak oplatek. Nigdy nie zwracała mu głowy codziennymi kłopotami, z którymi szła do Czarnej Madonny, bo które dziecko leci do ojca z byle głównem, skoro wiadomo, że ma on poważniejsze rzeczy na głowie, których ona swoim rozumem objąć i tak nie potrafi.

Nie zrozumie Jadzia gniewu córki, która po latach zapyta, jak godziła skrobanki z Kościołem, który je potępia, a wyskrobane matki wykopuje w kierunku piekielnym. O co temu dziecku znów chodzi? Czemu tak wydziwia fiksum-dyrdum? A co oni tam wiedzą o życiu kobiety, ci księża. Dobrze chcą, ale gównem wiedzą! Żon nie mają, rodzin, to gadają, co się z ksiązek nauczyli, nieporadnie odpięła napaści Dominiki. Jadzia, podobnie jak jej matka, Zofia, i babka Jadwiga, modliła się ponad głowami księży do czegoś o wiele starszego i potężniejszego niż oni, a w kościele na Szczawienku panowała po prostu odpowiednia ku temu atmosfera. Każdy potrzebuje odrobiny romantyzmu, nieco kadzidla, a zwłaszcza w Wałbrzychu. Kościół Jadzi mógłby wstrząsnąć światem, podmyć fundamenty Watykanu i roznieść na strzępy krwią pisane archiwa, mógłby uratować pół Afryki od śmierci na AIDS, zakończyć wojny. Gdyby otworzyć w nim okna i wpuścić trochę powietrza, gdyby potrząsnąć nim jak puszką z poldejonowymi landrynkami, ruszyłby na spętanych żyłakami nogach, na popękanych piętach, które swoje już się nastaly, zagrzmiałby straszną muzyką, gdy miliony tyżek walnęłyby w patelnie.

Gdy stara i ślepawa Jadzia dostanie pod choinkę *Kod Leonarda da Vinci*, najgrubszą książkę w swoim życiu oprócz *Kuchni polskiej*, zacznie czytać bez przekonania, tylko po to, by nie robić przykrości córce. Jak zwykle pomyła jej się daty, nazwy i imiona, bo co to za imiona *parle franse*, że język sobie można połamać. Jednak po kilkudziesięciu stronach obrazy zapadną w Jadzię tam, gdzie to, co nienazwane, znajdzie w końcu swój kształt. Wpadnie w słodkie maryjnc herezje jak śliwka w kompot i uwierzy w nie całą skołataną duszą, tracąc ostatecznie szansę na katolicką wersję raj, gdzie zresztą i tak znalazłaby pewnie jakiś powód do narzekania. Znaczą się, pod tym *Linwrem* jest grób *Matki Boskiej!* ucieszy się Jadzia Chmura. Trochę jej się wszystko pomiesza, ale jedno zrozumie – to ona miała rację.

X

Sąsiedzi rodziny Chmura mieli pudła wystrzyżonego na lwa i cieszyli się jak dzieci, że im jaskółki w rogu okna ulepiły gniazdo. Jadzia obserwowała z balkonu, jak sypią okruszki na parapet i przemawiają czule do ptaków. Młodszy drobił chleb, a starszy tulił w ramionach białego psa o jazgotliwym głosie. Pudel wabił się Oskar. Oskar! Co to w ogóle za imię dla psa?

Gospodynie z Babela wiedziały, że na jaskółki najlepsze są plastikowe worki. Przytrząskiwało się brzeg framugą, tak by powiewał w kącie okna. Wiatr nadymał worki, które wyglądały jak pęcherze płucne olbrzymich

Cdy wiał wiatr, Oskar drżał, w mieszkaniach... dom próbował wzniesić... Jaskółki były jednak uparte, w... i próbowały założyć gniazda nad oknam. ... krążyły wokół południowej strony Babela, wzbijały się w powietrze i nurkowały z piśkiem. Tam gdzie nie było straszaka, w mgnieniu oka pojawiał się półokrąg fundamentów gniazda ulepionego z ziemi i śliny, a gospodynie łapały się za głowę, sio, wołały, otwierając okna, i machały rękami. Zastrącała się Jadzia, patrz, pokazywała córce, już są te zastrąca, i nie pozwalała jaskółkom nawet zacząć budowy. Tłumaczyła Dominice, że to bardzo brudne ptaszki, i kto będzie po nich gówna sprzątał. A tu dwóch chłopów gadających do ptaszków, z pudlem na lwa zrobionym, który raz jednemu, raz drugiemu twarz liże. Jadzia nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziała. Ukryta za ścianą swojego balkonu ślepiła w bok, udając, że poprawia suszące się pranie czy podlewa pelargonie. Zwabiona odgłosem skradających się kroków, przysysała się do judaszowego oka i patrzyła w wydłużoną perspektywę korytarza, by potem dziwić się z mieszaniną dziwnej zazdrości i niechęci, po co ten *Lepki* znów przylazł z rana do homoniewiadomo.

Homoniewiadomo, tak nazywano na Piaskowej Górze sąsiadów państwa Chmura, ale trzeba było powiedzieć to w odpowiedni sposób, a nie byle jak. Nie tak jak chleb, baba, facet, tylko tak, jakby się od razu między sobą a homoniewiadomo stawiało granicę, jakby się to, co wypowiedziane, odcinało parsknięciem, wywróceniem oczu jak na świętym obrazie, by żadną miarą

placka i dziewczyni za poświęcenie, które nie chciała pieniędzy. I poczuła, że jest u siebie. Drugi kawalek drożdżowego z... i krup... stała sąsiadom jej córka Iwona... Dominika po... pierwszy zobaczyła dziewczynę... jak ulepiona z waty cukrowej. Stała z uśmiechem, który zawsze spóźniał się i zostawał za długo, miała piersi i kobiece już biodra, a Dominika nie wiedziała jeszcze, że zjawiała się zamiast Dimitriego.

Gdy zaraz po powrocie znad morza popędziła w dół Krzakami, okazało się, że dom jest zamknięty, a schludne zwykle rabatki Marii Angelopoulos – wyschłe i zaniedbane. Wśród suchych liści wzdymały się poźółtkie odwołki kabaczków i cukinii, których oprócz nich nikt nie uprawiał w Wałbrzychu. Gdy Dominika przeszła przez płot, by zajrzeć do środka, wypadł jej na spotkanie doberman, w niczym niepodobny do przyjaznej Saby Angelopoulosów. Sąsiedzi powiedzieli jej, że Grecy wyjechali, zabierając wszystkie rzeczy i zwierzęta, nawet koty, kto by pomyślał, że chcieli sobie taki kłopot robić w podróży. Dom kupił ginekolog doktor Lipka, widać, że już nieźle dorobił się na prywatnej praktyce. Gdy w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego Dominika zobaczyła, jak zupełnie obcy ludzie otwierają drzwi i wnoszą do środka dziwny rozkładany fotel, zrozumiała, że Dimitri naprawdę zniknął bez pożegnania. Wrócili, gdzie ich miejsce, z satysfakcją powiedziała Jadzia. Czas, żebyś przestała wydziwiać i latać z chłopakami, bo do reszty spaprzesz sobie opinię. Dorastasz, wzdychała i patrzyła na zmiany, jakim ulegało z dnia na dzień ciało Dominiki, w poczuciu niezrozumiałej dla siebie utraty. Dorastanie Dominiki nie

szło dotychczas w parze z rozrastaniem się i wyglądała, jakby na siłę rozciągnięto ją wzdłuż. Jej kości, cienkie i ostre jak u ptaka, groziły przebicciem skóry upstrzonej plamami po zdrapanych strupkach. Nos z garbkiem, jakiego nie miał nikt w żadnej z dwóch rodzin, element jej fizjonomii nad wiek dojrzały i w pełni ukształtowany, linią krzywą przekreślał szanse Dominiki w konkursach piękności. W żadnej z dwóch rodzin, wzdychała Jadzia i żaliła się Krysi Śledziowej, że taka im Cyganicha na pajęczych nogach rośnie, podczas gdy ona, Jadzia, już w wieku lat dwunastu była kobietką, biuścik miała, bioderka i wszystko jak Iwona na swoim miejscu. Pytata jak buszmenka! żartobliwie czochrała głowę córki, odskakującą jak piłka odbita od ściany. Ja to w jej wieku, wypinała pierś w liliowym sweterku, dwójeczkę nosiłam. Maść na piegi, a nie stanik, zażartowała, gdy przyłapała Dominikę na nieudolnej przymiarce jej biustonosza, który miał co nosić, ale nie zniechęciła jej do buszowania po szufladach i szafkach. Matki różowe bluzeczki, o wiele dla niej za szerokie i za krótkie, połykały Dominikę jak miękkie paszcze śliskich i zwinnych zwierząt, spódnice w kształcie tulipanów przelatywały przez jej chłopyce biodra i oplątywały kostki. Buty matki już za małe, o dziwnym zapachu przypominającym wędzoną makrelę, sprawiały ból stopom córki i nie dawało się w nich chodzić. Nic na nią nie pasowało, nawet pierścionki namacane w miękkich pokładach pościeli były za duże. Przetrzasała foliowe woreczki z maściami i czopkami, wąchała konwaliowe perfumy, w których zmacerowane strzępki kwiatów podrywały się z dna butelki, pluła do pudeleczka z tuszem do rzęs, by go nałożyć, przewraca-

jąc oczami tak jak Jadzia. Zaglądała do kosza na śmieci w łazience, gdzie krwawe ślady miesiączek budziły jednocześnie jej zazdrość i odrazę, ale nie rozwiązała tajemnicy ich wzajemnej odmienności. Nie wiedziała, że matka z taką samą ciekawością zaglądała do jej tornistra i piórnika, kieszeni kurtki i szafek, gdzie pod byle jak wciśniętymi spodniami i spódniczkami też miała nadzieję znaleźć jakąś odpowiedź, a było tylko wycięte z „Bravo” zdjęcie Boya George’a. A co to za homoniewiadomo? zdziwiła się Jadzia. Kiedyś wybrała się na lody z Dominiką i Iwoną Śledź, a spotkana tam daleka znajoma z biura tę drugą wzięła za córkę Jadzi. Jaka podobna! zachwyciła się, a biedna pani Chmura omal nie umarła ze wstydu, mówiąc, to nie ta.

Dominika czuje, że między nią a Jadzią jest sznur, a jego końce wrosły w nie i ukorzeniły się, to coś mocniejszego niż pępowina, którą można przeciąć i zawiązać na supeł tak, że zostaje tylko blizna. Końce sznura, który łączy ją z Jadzią, mają korzenie mocne jak u topoli, które na deptaku pod Babelem wyrzuszają asfalt. Im bardziej matka ciągnie w swoją stronę, tym bardziej córka próbuje się oddalić. Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, mówi Jadzia, jeszcze chwila i pękne, strzele w kalendarz, a Dominika ciągnie z całych sił, bo matczy-na cierpliwość jest mocna, zakorzeniona i tłusta. Wy-chyla się przez okno z dziewiątego piętra, sznur szarpie ją do tyłu – nie wychylaj się! Kupuje w tajemnicy słonecznik od bab na placu, chociaż Jadzia przestrzega, że to brud-zaraza, te brudasy w nosie dłubią, potem łapami ziarno nabierają; Dominika zjada całą tutkę i robi jej się niedobrze, a sznur trzyma. Na dziewiątym piętrze

w piętnastej bramie Babela nieraz trzaskają drzwi, pięści walą w ścianę, aż skóra pęka na kostkach. Każde pociągnięcie sznura rozrywa im coś w środku, wyrwy wypełniają się krwią jak lśniące w ciemności jeziorka. Jadzia chce, by Dominika była taka sama, a rosnąca odległość podsyca tłącą się w niej złość. Istne fiksum-dyrduml! Im bardziej Dominika chudnie i wydłuża się, im bardziej jest spytłona, tym dalej ponosi Jadzie, jakby kościstość i pyłatość córki była obelgą skierowaną przeciw jej prostym, rzadkim włosom, krągłościom i krótkim odnóżom. Odmieńcu, szczurza mordo, kościotrupo! krzyczała na córkę przerażona jej innością jak śmiertelną chorobą. Jak może się tak różnić, skoro z niej wyszła i do niej należy? Ona ma na plecach kołderkę tłuszczu, który spływając układa się w dwie fałdki po bokach, u kościotrupy – każdy krąg kręgosłupa widoczny jak naszyjnik z paciorków, które mogą się rozsypać przy upadku z roweru i będzie do końca życia kaleką. Jej ramiona miękkie i krągłe, a u córki patyki rąk i nóg jakiegoś cygańskiego podrzutka, popękają jak zapalki w wypadku. Szczurza morda, niedobra, zacięta, czy jakiś wartościowy chłopak złapie się na taką twarz, bo na pewno nie Erlend von Sinnen, o nie, taki Erlend będzie wołał miłą, uśmiechniętą dziewczynę, jak Jagienka Pasiak. W błoto pójdzie matki staranie. Nie ma co się boczyć na matkę, gderala Jadzia do czerwonej od płaczu Dominiki. Matka, nawet jak ją poniesie, chce dla ciebie jak najlepiej. Poniesiona matka wracała na fali tsunami i brała Dominikę na litość, by nie wyrwała się z matczynego uścisku. Pochylała się nad córką, która czuła jej obfitą miękkość wiszącą nad nią jak lawina o lekko octowym zapachu. Mnie matka

nigdy nie kochała. Ojca swego nie znałam. Gdybyś ty wiedziała, co ja przeżyłam. Przy porodzie ciach-ciach prawie na pół mnie pocięli. Jodyną na żywca chlusnęli. Ukręć ci kogel-mogel z kakalkiem, zrobię krówek na patelni. I już Dominika zapada się między dwie wielkie piersi, wtapia w matkę, która mięknie, trochę jeszcze pociągając nosem. Matki ciało rozplaszcza się jak ciasto pod naciskiem dłoni, a potem jego brzegi zawijają się, przykrywając córkę, jak farsz w naleśniku. Napięcie sznura łączy, Dominika przez chwilę nie jest samotna, bo nie ma jej wcale, ale to nie może trwać długo. Niedługo pójdziesz w świat, a stara matka strzeli w kalendarz na tym bocianim gnieździe!

Gdy po wakacjach Dominika przyszła do szkoły, zauważyła, że brak Dimitriego jest jedną tylko ze zmian w jej klasie. Dołączyły do niej dwie nowe uczennice, Iwona Śledź i Małgosia Lipka, córka ginekologa, który zajął dom państwa Angelopoulos. Podobno rodzice przenieśli ją do podstawówki im. gen. Świerczewskiego z wrocławskiej szkoły prowadzonej przez siostry urszulanki. Szep-tano, że narodziła się, ale nikt nie wiedział co. Na powitałnym apelu Dominika śpiewała z innymi hymn szkolny o generale Walterze, co dzielnie szedł na bój, by coś tam coś tam, znój i truj, na straży stój, o los mój i twój. Obok niej stały Marzenka Grzebieluch i Edytka Kowalik, a Dominika widziała, że coś się stało z dziewczynkami przez to lato. Raczej napuchły, niż urosły, zakwitły na czołach i brodach krostkami z żółtym czubkiem. Ich usta były czerwieniejsze, wilgotne, wyglądały jak kawałki żywego mięsa. Szybкими ruchami języka zlizywały z nich kropelki śliny różowej od błyszczyka. Wybuchwały granatami chli-

chotów tak często, że trudno było zachować ostrożność i przewidzieć następną eksplozję, ale pozostawały w jednym kawałku, co najwyżej wewnątrz puszczały soki. Po dwie, trzy grupowały się na złość innym dwóm lub trzem, a w każdej trójce jakaś dwójka namawiała się przeciw jednej pozostałej. Okazało się, że wszystko przedtem to były wprawki, dziecinada. Dopiero teraz wiedziały, jak podzielić się na te lepsze i na te gorsze. Stwardniały im paznokcie, wyrosły wszystkie zęby, zniknął mleczny zapasek. Odcinały zbyt grube Bożenki, jękające się Beaty i Aldony z domu dziecka z taką łatwością, jakby wydumchiwały nos. Odcięte nie były nimi; to były syfy, bakterie i kupy. Ale najgorszym słowem był śluz. Śluz! krzyczały i rozbiegały się, piszcząc, ale nie uciekały daleko. Tworzyły krąg tak zwarty, że nikt z zewnątrz nie wdrze się do środka. Jak one umiały się wachlować, te lepsze, jak chwycić za noski z obrzydzenia. Śluz! krzyczała jedna, a inne podchwytywały i powtarzały, śluz, śluz, śluz. Ich mechanizmy nastawione na przyciąganie przeciwności zaskoczyły, ruszyły naoliwione trybiki kobiecenia. Te lepsze, te odcinające, na przerwach rozpinały obowiązkowe poliestrowe fartuszki, pokazując bluzeczki, pod którymi rysowały się pierwsze staniczki. Odcięte garbiły ramiona i opuszczały głowę, jakby chciały zwinąć się w kulkę jak liszka, by chronić miękki brzuch. Te najładniejsze mówiły wysokimi głosami i śmiały się, jakby ktoś przeciągnął styropianem po szkle, gdy w pobliżu pojawił się Zbyszek Lepki. Ich usta układały się wtedy w ssące dziurki, jak nakładki do odkurzacza. W nowych tureckich džinsach z obrazkiem piramidy na tylnej kieszeni, džinsach dekatach wytrawionych w białe zacieki on tak szedł

specjalnie dla nich, w ich kierunku, po nie, a one kupiły się, szczerzyły i wsysały powietrze na wyścigi. Mechanizmy nastawione na przyciąganie przeciwnościw przyspieszały, chlapiąc wokół; unosiła się nad nimi para. Takie dżinsy! Można je było kupić od tych, którzy jeździli na handel do Turcji, zamieniając kryształ na kozuchy, spodnie, bawełniane bluzeczki w pięknych różach i turkusach, na podróbki drogich perfum, palety do makijażu, na chałwę. Zbyszek Lepki czy Adrian Pypeć to był dylemat tylko dla lepszych, gorsze mogą obejść się smakiem, bo chyba już nie liczą na to, że ktoś dobrze obejdzie się z nimi. Dżinsy Zbyszka Lepkiego, jego grzywka na Limahla, Adriana imię przepiękne i motorynka seledynowa, na której po lekcjach jeździł wokół Babela prawie jak ten nowy, młody ksiądz Adaś. Zbyszek czy Adrian, Zbyszek. Zbyszek, szeptały na przerwach najładniejsze, ich chichot wybuchał, ciął szkło, nieostrożnym jego odpryski wbijały się w źrenice, pod paznokcie. W chińskich piórnkach te lepsze trzymały zdjęcia Limahla, do którego bardziej był podobny Zbyszek czy Adrian? Podczas lekcji otwierały piórniki ozdobione zwierzątkami i pokazywały sobie ich cieliste, jakby wilgotne wnętrza. Już wkrótce zamiast Limahla wejdzie w nie Zbyszek lub Adrian, Jagienka Pasiak, która nie nosiła już kitek, tylko rozpuszczała loki na ramiona i spinała po bokach błyszczącymi spinkami, spoglądała na ułożone przez Jadzię dzikie włosy Dominiki i zaszeptała coś do koleżanek, Marzenki Grzebieluch i Edytki Kowalik. Prawie tak samo ładne były, ale jednak mniej, za jej plecami wymieniły spojrzenia hien. To im Jagienka daje ugryźć swoją kanapkę, ale wokół jest wiele innych gotowych je wygryźć. Czujności nigdy dość, jeśli

atak, to stadny. Ich czujność budzi na przykład Małgosia Lipka obcięta na krótko, silna, patrzy w oczy i przeklina jak chłopak, co przerwie kupuje słodczyce w szkolnym sklepiku, ma ciuchy z pewexu. Ona krąży najbliżej, nie wiadomo, czego chce. Rzucić się czy przyciąć, odciąć ją czy zachować wewnątrz jako swoją – nie wiedzą jeszcze prawie tak samo ładne. Jest w niej coś, co je niepokoi. Podobnie jak w przypadku Dominiki długiej tyki, ale inaczej. Węszą, obserwują. Oto Małgosia częstuje Jagienkę Pasiak batonikiem prince polo, a teraz Jagienka ją wybiera, by zaniósła liścik Dominice. Kartkę złożoną we czworo, z sercem wymalowanym na wierzchu, różowym i przebitym strzałą niesie. Będę miała przyjaciółki? Będziemy jak siostry? Zapytaj mnie, chcesz gryza? Nic z tego. Do wieśniary z fryzurą jak wkurwiony Szopen po koncercie!!! Taki był nagłówek listu napisanego drukowanymi literami na papierze w kratkę. Z przodu plecy, z tyłu plecy. Pan Bóg stworzył cię dla hecy, taka była treść, a podpisano: Tajemniczy Wielbiciel. Najładniejsze, jak one się śmiały, zwłaszcza Edytka i Marzena, bo Jagienka ułożyła tylko usta w krzywy uśmiešek, że niby jest ponad takie zabawy i należy do świata, o którym one wszystkie nie mają jeszcze pojęcia. Ta Jagienka Pasiak nawet z sińcem pod okiem wyglądała jak gwiazda filmowa. Fakt, że spadła z roweru, miał zupełnie inny wymiar, bo rower był niemiecki z przerzutkami, a do tego cały różowy.

Dominika usiadła w ławce, którą od pierwszej klasy dzieliła z Dimitrim, i z rezygnacją przyjęła fakt, że magister Demon posadziła koło niej dziewczynę wbitą w pękający na piersiach fartuszek i tak czerwoną na

twarży, jakby zaraz miała eksplodować fontanną mleka i krwi. Iwona Śledź nie umiała grać w siatkę i dostawała dwóje ze wszystkich przedmiotów, pociła się obficie. Naprawdę przesadziła. Śledź! Najładniejsze prychnęły śmiechem i chwyciły się za nosy. Śluz i śledź! Śledzio-wy śluz! Może sobie schować uśmiech i kometę prawie białego warkocza odrzucaną w lodowatą przestrzeń kosmiczną klasy, tu jej się nie przydadzą. Uwaga, centrala rybna, omdlewały prawie tak samo ładne i wachlowały się przesadnymi gestami. Śledź śluzem jedzie! Pannie Śledź oleju dziś chyba brakuje, żartowała magister Demon, odpytując ją przy tablicy i pławiąc się w chichotach aprobaty po każdym kolejnym błędzie. Powolność Iwony Śledź pozwala jej nabrać szybkości, rozpędzała się pani nauczycielka jak na dętce spuszczonej po oblodzonym zboczach Piaskowej Góry. Podskakiwała na wybojach, sterowały w górę jej łydki, jeszcze chwila, a pofrunie. Ach, rozpiniała guzik bluzki, i jeszcze jeden, przypominając sobie ulubioną powieść o pani na Czachticach, Elżbiecie Bathory, która kąpała się we krwi młodych dziewcząt. Wysączała ją z nich do ostatniej kropli słodkiej. W żelaznej dziewicy, szafie najeżonej wewnątrz kołcami je zamykała, ach, panno Śledź, gdybym ja taką szafę miała. Magister Demon przybijała egzekucję Iwony, stawiając w dzienniku kolejną dwóję przy jej nazwisku. Uczniowie byli już za duzi na bicie po dupie i taki drugoroczny Tadeusz Wołocha albo większy od niej o głowę Adrian Pypiec, którego ojciec znów siedział w więzieniu, mogliby się zdenerwować i jej oddać, jak nie w klasie, to po lekcjach. Całą energię skoncentrowała więc magister Demon na znęcaniu się słownym nad tymi, którzy nie mieli nic do

oddania. Strzelała lotkami słów i badała, gdzie zanurzają się najgłębiej i najboleśniej, żadna to przyjemność, gdy ostrze odbije się od ściany albo, co gorsza, stępi. Iwona Śledź, która potrzebowała namysłu, nawet zanim powiedziała, jestem, przy sprawdzaniu obecności, wyglądając przy tym na zdziwioną, że oto ona, Iwona Śledź, jest. Co za cel. Nie uchylała się, jej ciało było niczym różowa mięsna tarcza, w którą magister Demon celowała z upodobaniem i po każdej lekcji dziewczynka wyglądała jak święty Sebastian.

Tej zimy Dominika i Iwona z Piaskowej Góry były szczęśliwe, gdy generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Wojna oznaczała dla nich, że nie muszą iść do szkoły, ta wojna ratowała je od ran. Na Babelu zawrzało. Wszyscy powychodzili z mieszkań, żeby się upewnić, że w telewizorach sąsiadów pojawił się ten sam wojskowy w ciemnych okularach. Co do Jadzi, to raczej uwierzyła w szczerość intencji generała, a fakt, iż nie był dobrym mówcą, wzruszył ją, bo widać, że się ten biedny człowiek strasznie denerwował. Stropiła się więc gniewem niektórych sąsiadów, którzy wyzywali na komuchów, ale swoje zdanie zatrzymała dla siebie, bo po co ono komuś, kto woli inne. Tym, co się nie wychylają, nic nie robią, uspokajał ją, a może siebie, Stefan. Dodał, że ten Jaruzelski trochę wprawdzie mułowaty, ale wygląda, że o porządek umie zadbać, bo narozrabiali na tym Wybrzeżu, oj, narozrabiali. Po co to komu tak się stawiać? Wychylić po co? Wyżej dupy nie podskoczysz. Ale nie było porządku, bo wysiadły kaloryfery i wyłączono prąd, a kran splunął lodowatą wodą i wysechł. Na sztach zakwitły kwiaty, lśniąc w świetle świec, a rodziny

z Babela ułożyły się do snu na wspólnym postaniu z psami i babkami, z dziećmiakami między matkami a ojcami, żeby nie pomarły. Rano pod drzwiami nie było mleka, a w piekarni zabrakło chleba. Jadzia zapłakała w kościele, gdy proboszcz Postronek zagrzemiał, że niczym Hunowie niewierniż świętą Urszulę i jedenaście tysięcy dziewic, tak Polskę, ojczyznę naszą, czerwonaż zaraza w pień wyrżnie. To przez czerwoną zarazę, powiedziała, podając na obiad kartoflaną zupę i chleb cienko posmarowany smalcem, a jej początkowa sympatia dla dzielnego generała, który tak się denerwował, ojczyznę ratując, poszła w niepamięć. Patrz na tego manekina, mój jeden, ślepowron, cedziła odtąd, zaciskając usta, ilekroć Jaruzelski pojawiał się w telewizji. Tylko by Ruskich po dupie lizał. Za dwa ruble nas sprzedał Wszyscy oni tylko patrzą, żeby się do żłobu dorwać i wyrolować porządnego człowieka. przytakiwał jej Stefan.

I tylko Dominika nie narzekała tej zimy, która zasypała Piaskową Górę śniegiem po pierwsze piętra, tak że ludzie musieli wykopywać korytarze, by dotrzeć do sklepu na róg; z lotu ptaka widać było tylko płaską biel, z której wystawały szare wyspy wieżowców. Tą samą drogą, co kiedyś z Dimitrim, mijając jeziorko lśniące jak wypolerowany bazalt, wspinała się po zboczach haldy. Tam gdzie nagromadziło się najwięcej śniegu stwardniałego z wierzchu, a miękkiego pod spodem, wygrzebywała jamę wystarczająco dużą dla jednej chudej dziewczynki. Sztuka polegała na tym, by potem zasłonić wejście, tak by wewnątrz pograżyło się w niebieskawym półmroku. Gdy świat znikał, pod śniegiem otwierały się korytarze wyłożone najpiękniejszymi kawałkami szkła, turkusowe

wprost na wyspę Bula-Bula, fiołkowe tam, gdzie należy się do najładniejszych w klasie, rubinowe do rachatlukum z syropem różanym; do ciepłych mórz. Z kolanami pod brodą i dłońmi ukrytymi w rękawach kurtki Dominika siedziała tam tak długo, aż grabiła jej palce, a wystające spod czapki kosmyki włosów w kolorze czarnej kawy lodowaciały od zamarznietego oddechu. Za każdym razem, gdy w końcu wychodziła z jamy, mrużąc oczy w jaskrawym świetle, miała wrażenie, jakby tam, po śniegu, zostawiła coś już nie do odnalezienia.

XI

Stefan nie i *do 223* i córki. Przemykał między nimi, odgrywał pastorał, kradł się na palcach, przygarbił z głową wysuniętą do przodu, z palcem przyłożonym do ust. Umieszczony w swoim gnieździe przed telewizorem, zasłaniał zasłony, uszał anteną, bo znowu psuł się obraz, a zaraz wynikał z niego lotka. W nieciele przez klejące się powieki oglądał poludniowy film przyrodniczy, białając piwno. W słoneczne dni zasłaniał zasłony i: słowy państwa Chłopa pograżał się w niezdrowym świetle, jak brudna woda. Stefan sięgał po butelkę ukrytą za kanapą, pociągał z niej pierwszy łyk topielca i po każdym łyku chował ją przed swoim pragnieniem za kanapę, by po chwili przegrać kolejną bitwę. Na ekranie tarantule strzykały trucizną, żółwie znosiły jaja na dalekich plażach, a Stefanowi przypominały się czasy musowania, pierwsza i jedyna Karczma

207
jej piękną bieliznę w czarnym krótkim, która kryła się body i zapina w kroku na zatrzaski. Musiał jej pokazać jak, bo nigdy nie podobuğu nie widziała, a potem – a potem strzeliły zacięte w poręch zatrzaski się Babel. Jadzia w body rozpękły, na podłogę galopowała już pewniej i do skutku, który miał być oplakany.

Jesienią Krasnalex przebrańzował się na hurtownię podpasek ze skrzydłami, na których, jak wykalkulował Kazimierz Maślak, dalej się zaleci, niż zajedzie na krasnalach, bo prywaciarze mieszkający bliżej granicy zrobili jego krasnalom i Śnieżkom konkurencję. Całe armie krasnali stały wzdłuż drogi ze Zgorzelca do Wałbrzycha, gotowe do wymarszu na Zachód. Przeszły z nogi na nogę, wystawiały lepszy profil w kierunku przejeżdżających samochodów z niemiecką rejestracją, prężyły pierś z nadzieją, że teraz przyjdzie ich kolej. Co bardziej zdesperowane Śnieżki podwijaly błękitne sukienki, pokazując kierowcom nagie gipsowe nóżki i trójkąty gipsowych cipek, a nawet rzuciły się na ulicę, ryzykując życie. Gutek Balcerzak stracił pracę i nie miał już po co przyjeżdżać na Piaskową Górę, gdzie rozpalona przez niego namiętność tliła się i pulsowała jak zepsuty ząb. Ja, ja, mein Schätzchen, obiecywał Jadzi, gdy się żegnali, ja nach Waldenburg zurück. Czekala z garem gołąbków i body świeżo wypranym, psikniętym w kroku dezodorantem Zielone Jabłuszko, ale Gutek Transport nie pojawił się już pod Babelem.

Dominika wysiada z pociągu na stacji kolejowej w Zalesiu; pyłtata głowa chwieje się na długiej szyi jak prawie czarna georginia, z tych, które rosną tylko w ogrodzie Zofii, dłoń wznosi się w geście pozdrowienia. Zofia, mała i krągła jak rosyjska babuszka, obciągnięta na tę najważniejszą okazję roku w nowy niebieski poliester, rozkłada ramiona na powitanie wnuczki, która dawno przerosła ją o głowę. Podobieństwo Dominiki za każdym razem wydaje jej się cudem, chociaż patrzyła przez lata, jak potwierdzało się i wyostrzało w sposobie chodzenia, podpierania brody. Przytula wnuczkę, która schyla się, by ją ucałować, i czuje jej zapach znajomy i bliski. Gdy Jadzia urodziła Dominikę, Zofia czekała ponad rok, nim w końcu przyjechała do Wałbrzycha, wbita w wyliniące futerko z przedwojennych jeszcze królików. Serce miała ściśnięte strachem. Łkając, stała w czerwonych śniegowcach przysłanych jej przez Jadzię, a na podłodze kuchni Haliny rozlewała się kałuża roztopionego śniegu i łez. Wszyscy myśleli, że przyjeżdżna babka płacze ze zgryzoty nad brzydotą i chudością Dominiki, a Zofia Maślak płakała ze szczęścia i powtarzała, co komu pisane, temu w wodę kamień, ku konsternacji niesклонnej do takich afektów i nieco zazdrosnej Haliny. Wpatrywała się we wnuczkę, co rusz wybuchając łzami, aż ją Stefan pytał, mamusia taka uczuciowa czy jej może co zaszkodziło na żołądek?

Teraz, przed przyjazdem Dominiki, Zofia specjalnie pojechała na targ do Skierniewic i tam kupiła sukienkę

od Wietnamczyków, pierwszych Azjatów, jakich widziała w swoim życiu – do końca będzie ich nazywać Chińczykami. W oczy prosto takiemu nie spojrzysz, ale uczciwy naród, nie można powiedzieć. Pojechała, chociaż nie lubi ruszać się z Zalesia. Wnuczka namawia ją na wczasy, sanatorium w Ciechocinku, ale ona mówi, że w podróży tyloma rzeczami trzeba się zajmować, o tylu pamiętać, że jej się w głowie miesza i już nie wie, co gdzie ma. Niczego jej w Zalesiu nie brakuje! Zofia Maślak woli siedzieć na rozsypującym się ganku albo pod orzechem i czekać na wnuczkę. Na taką chwilę, na spacer przez wieś z Dominiką, która należy do niej, warto czekać. Idą wtedy ramię w ramię, odpowiadają pochwalony pani Gorgólowej, staremu Cudzakowi, Makarze, Jankowi Kosowi i trzymają się za ręce. Co komu pisane, temu w wodę kamień, mówi Zofia, a Dominika śmieje się, moja babcia poetka, moja babcia Potęgowa.

Co komu pisane, temu w wodę kamień, mówiła Jadwiga Strąk, młynarzowa z Brzeziny, której imię używane tylko w wersji zdrobnionej Zofia dała jedynej córce. Miała na myśli mniej więcej tyle, że co ma się zdarzyć, to się zdarzy, ale człowiek może zawrzeć z Bogiem układ korzystny dla obu stron i przechytryć zły los. A przynajmniej tak zrozumiała to Zofia, bo Jadwiga nigdy nie tłumaczyła swoich słów i cała rodzina zgadywać musiała, o co tym razem, na Boga, jej chodzi. Na tych samych torach, którymi osobowy ze Skierniewic przywiózł właśnie jej wnuczkę, Zofia położyła się czterdzieści trzy lata temu w ostatniej i najbardziej radykalnej próbie pozbycia się niechcianej ciąży. Niebo nad nią było szkliste i straszne, pachniała macierzanka,

w lesie krzyknęła sowa, a tory już drżały pod ciężarem zbliżającego się pociągu. Zofia leżała tak, jak trzeba, na plecach, z głową w kierunku, z którego miała nadjechać lokomotywa, bo ważne by przetoczyła się nad ciałem od góry do dołu, a nie odwrotnie. Miała na głowie chustkę w kwiaty, a poniżej pełnych piersi wystawał niewielki pagórek brzucha, który wkrótce będzie innych kłuć w oczy. Czula już zapach dymu i rozgrzanego metalu, szyny zaśpiewały tuż przy jej twarzy i zasłoniła dłonią brzuch, choć przyszła tu przecież, by się go pozbyć. Potem wszystko stało się ciemnością i hukiem. Nad Zofią Maślak i jej brzuchem przetaczał się właśnie pociąg pełen ludzi ściśniętych w bydlęcych wagonach, ich strach nad podłogą był jej strachem pod spodem, strachy mieszały się i wsiąkały w piasek, i kto wie, jakie rośliny wyrosną z nich po latach. Zofia zsiłała się i wiedziała, że nie wytrzyma, musi podnieść się i spróbować uciec od tego huku i wycia, od ciemności, zanim ją zmiażdżą i pochłoną. Zaczęła więc podnosić głowę, z której podmuch zwał chustkę w maki, jej czoło było o włos od żelaznych wieżb podwozia. Poczula wtedy, jak kładzie się na nią coś delikatnego i silnego zarazem, okrywa ją i chroni, przykrywa sobą, unieruchamiając między torami. Nagle stała się malutka i bezwolna jak zarodek w jajku, poza strachem, bo nie wiedziała, co to znaczy się bać, poza światem, bo nie знаła jeszcze świata. Huk pociągu stał się daleki i nierealny jak podwodne odgłosy. Zofia już się go nie bała, między nią a śmiercią było coś, przez co ani ona, ani śmierć przeniknąć nie mogły. Co komu pisane, temu w wodę kamień – to był głos jej matki, młynarzowej z Brzeziny, i do niej należał pocałunek

złożony na czole ocalonej Zofii. Otworzyła oczy i znów było nad nią niebo, teraz spokojne i czyste, z postrzępionymi dziurkami wyciętymi na gwiazdy. Tył pociągu niknął w ciemności, pachniała macierzanka. Czarna od sadzy, lecz żywa, z brzuchem wciąż pełnym, który taki miał pozostać aż do rozwiązania, Zofia biegła do domu przez ciemną wieś i myślała, że słowa matki muszą coś znaczyć, dobrego i mocnego, zwiastować jakiś cud. Czuła się tak, jakby dopiero teraz zaszła w ciążę, która z niechcianej stała się upragniona i oczekiwana.

Jadwiga Strąk z Brzeziny, matka Zofii i pięciorga innych, które nie przeżyły, produkowała mnóstwo powiedzonek, których nikt inny nie używał ani nie rozumiał. Dowolnie kompilowała przysłowia, ucinając je w połowie, a do reszty dodawała kawałek, który został z innego, użytego też tylko częściowo. Ścinki zmiatała, zwijała w kulkę, chowała do kieszeni fartucha, a nuż się przyda. Jej język był szalonym patchworkiem, coś to był za pejzaż, co za wzór. Gdyby uszyć taką koldrę, od samego patrzenia bolałyby oczy, a jednak przyciągałaby wzrok, bo każdy zastanawiałby się, czy szwaczka oszalała, czy miała jakiś ukryty cel. O rzeczach zepsutych i starych mówiła Jadwiga, że wołają już kapusty z grochem, a najlepszą mąkę zachwalała, że biała jak stopy Matki Boskiej w niedzielę. Leniwemu chłopu i Salomon nie należy, narzekała na młynarczyków, których co rusz trzeba było wyganiać z warzywnika, gdzie wyżerali groszek i truskawki. Zofia truchlała, gdy matka, patrząc na nią z bujanego fotela, jedynego mebla, jaki wniosła w posagu, ostrzegała, pamiętaj, oliwa sprawiedliwa jak topielica wypływa, albo strofowała za jakieś przewinienie, grożąc

palcem, że diabeł tylko patrzy, żeby cię ogonem nakryć i pisz pan mogiła. Jadwiga, o wypukłym brzuchu i dużych dłoniach, miała oczy jak niedojrzały agrest. Mówiła swojej córce, co komu pisane, temu w wodę kamień, i bujając się na swoim tronie, przez całe lata haftowała obrus obiecany Panu Bogu za zdrowe i dokończone dziecko. Zofia bała się, że jeśli nie zrobi tego, czego oczekuje matka, dostanie się między dwa kamienie młyńskie, które zetrą jej kości na papkę zmieszaną z pszenicznym ziarnem. Taki wypadek przytrafił się którejś jesieni głuchoniememu Tadziovi, którego ojciec Zofii, Adam Strąk, z litości najmował do roboty, i dziewczynka, która lubiła obserwować młynarzy przy pracy, widziała, jak ramię chłopaka trzaska i tryska krwią w dziwnej ciszy. Tazio otworzył wprawdzie usta jak do krzyku, ale – jako że nigdy jeszcze nie wydobyl z siebie żadnego dźwięku – teraz też mu się nie udało, a ona była skamieniała z przerażenia. Ojciec wyniósł ich z młyna oboje naraz, pod jednym ramieniem Tadzia, pod drugim córkę. Jadwigaomal nie zemdlala, bo myślała, że jej dziecku też stało się coś złego, a Zofia była cała i tylko od tego czasu śniła czerwone, nasiąknięte krwią chleby. Adam Strąk kupił uszkodowanemu drogą protezę wykonaną z drewna i skóry, która jednak nie trzymała się zbyt pewnie na kikucie ramienia i Tazio nosił ją w pozostałej mu ręce, używając do odgania psów, naginania gałęzi mirabelki albo drapania się po plecach. W Brzezynie i Zalesiu uważano, że powodzenie w interesach uderzyło młodemu młynarzowi do głowy. Nie dość, że nawet na co dzień zakładał pilśniowy kapelusz i nosił w kieszonce kamizelki zegarek, nie wiadomo po co ciągle sprawdzając godzinę, to

Jeszcze żonę przywiózł sobie aż z Częstochowy, gardząc swatanymi mu córkami sąsiadów z Brzeziny, Zalesia czy Kocierzowy. Żeby chociaż ze Skierniewic, to jeszcze można by zrozumieć, wzdychały matki wzgardzonych córek, ale kto to widział, taki świat drogi jechać po babę aż do Częstochowy. Z zazdrością patrzono, jak młoda młynarzowa wraca wozem ze Skierniewic, gdzie w cukierni dostawała całe blachy ciastek z kremem jako dodatek do zapłaty za mąkę, i siedząc na koźle, powoziła jedną ręką, a drugą jadła eklerki z kremem i różowe pty-sie, jak kawałki puchatych chmur przytrzaśnięte daszkami z ciasta. Młynarz uwielbiał swoją żonę i kochał swój młyn. Czasem nocą brał Jadwigę do młyna i czekał, aż jej białe ciało pokryje się mąką, której drobinki wirowały w powietrzu jak śnieg. Potem zlizywał ją z ramion, brzucha i ud żony. Najchętniej cały czas widziałby ją właśnie taką, nagą, umączoną, z białymi rzęsami, białymi sutkami i kępą białych włosów między nogami, pachnącą jak chleb, na który dopiero się czeka. Po taką żonę warto było jechać aż do Częstochowy, mówił, gdy popił w Sosence, i niech mi kto powie, że nie. Jadwiga była drugą z sześciu córek urzędnika kolejowego, Alojzego Dziurskiego, który miał pewne szanse awansu na stanowisko kierownicze, o czym lubił rozmawiać ze swoją podobną do wiewiórki żoną, Kazią, snując wizje mieszkania z dwiema sypialniami, kryształowym żyrandolem w jadalni i kanciapką dla służącej. Niestety, w wieku trzydziestu dziewięciu lat Alojzy zmarł na nieznaną chorobę, która w ciągu kilku miesięcy wychudziła go i pozbawiła koloru, tak że trumnę musieli wystawić zamkniętą, bo wydawało się, że leży w niej pusty czarny garnitur i tek-

turkowe buty. Lekarze rozkładali ręce, mówiąc, że ktoś pewnie przywłókł choróbsko z zagranicy, bo innych przypadków w Częstochowie nie zanotowano, a żona Kazia omal nie umarła ze wstydu, bo doprawdy, jak to wyglądało. Po śmierci Alojzego Dziurskiego nie było co wybrzydząć na kandydatów do ręki panien, z których starsze miały nawet wykształcenie zdobyte na pensji, polegające na haftowaniu oraz pewnych umiejętnościach w zakresie rachunków, ale nie grzeszyły urodą, a w posagu mogły spodziewać się co najwyżej kompletu pościeli i jednego z kilku mebli niesprzedanych na chleb z zagrybionej kamienicy u podnóża Jasnej Góry. Dziewiętnastoletnia Jadwiga jako pierwsza poszła z domu, gdy tylko nadarzyła się okazja w osobie młynarza Adama Strąka – to był mezalians, Alojzy Dziurski wśród przodków miał szlachtę – trzeba mu wierzyć na słowo, ale lepszy młynarz niż pusta spiżarnia, zwłaszcza że pomógł pani Dziurskiej spłacić zaległy czynsz. Siostry Jadwigi rozpięchły się jak zdmuchnięte wiatrem ziarnka piasku i po śmierci matki Jadwiga straciła z nimi kontakt. Wiedziała tylko, że najmłodsza i najładniejsza z nich, Władzia, wyjechała do Ameryki, gdzie dobrze jej się powodzi. Gdyby tak mieć adres Władzi, niezależnie od siebie wzdychały siostry Dziurskie w ciężkich chwilach; żadna z nich nie dowiedziała się, że Władzia najbardziej obawiała się właśnie tego, że któregoś dnia zapukają do jej trzypokojowego mieszkania na nowojorskim Lower East Side, by zgłosić pretensje do zysków z dobrze prosperującej wytwórni parasoli i małżeńskiego szczęścia z poznanym na statku przedsiębiorczym Węgrem, którego imienia do śmierci nie potrafiła poprawnie wypowie-

dzieć, więc wołała nań Wacek. Wydana za Adama Strąka Jadwiga nie odziedziczyła płodności po matce Kazi, a raczej nie do końca, bo zachodziła w ciążę, jak tylko otarła się o spodnie, jak mówiła jej teściowa z Brzeziny, ale dzieci rodziła niedokończone, niegotowe do przyjścia na świat. Albo roniła je po kilku miesiącach, buchając ciemną krwią spod spódnicy, albo donaszała do siódmego, białe i kruche niczym wielkanocne baranki z cukru, tak że akuszerka od razu kazała wołać księdza, bo jak dziecko umrze bez chrztu, to żaden ksiądz go z piekła za uszy nie wyciągnie. Wcześniaki Jadwigi przez kilka tygodni wymiotowały zwarzonym na zielono mlekiem i umierały jedno po drugim, a ona chowała je na wiejskim cmentarzu, do którego było nawet niedaleko, najpierw wzdłuż Pelcznicy, która obracała koła ich młyna, a potem przez tory. Stojąc za kolejną trumienką wielkości pudełka po butach, przeczuwała, że już kielkuje w niej nowe życie, i myślała, że kolejny raz będzie musiała pokonać drogę z młyna na cmentarz, brnąć przez łopiany z obolałym brzuchem i pustymi rękoma. Za szóstym razem dopiero, w marcu, miesiącu pękających lodów i kielkujących w piwnicach kartofli, Jadwiga urodziła córkę tak donoszoną, tłustą i gotową do życia, że aż plotkowano, że może to nie ze Strąkiem, skoro tyle razy mu nie wyszło, tylko z młodym pracownikiem sezonowym, co potem znikł bez śladu i z którym ponoć ktoś kiedyś widział Jadwigę w lesie jesienią. A co może robić w lesie młynarzowa z młynarczykiem? Jadwigi nie zdziwiła promienna uroda córki i uznała, że Panu Bogu spodobał się po prostu zaproponowany przez nią układ, udane dziecko za obrus na ołtarz w zaleskim kościele, bardziej niż te, które

próbowała wynegocjować z nim wcześniej. Gdy tylko wstała z łóżka po poroku, zamówiła u Żyda Aronka, który przywoził towary ze Skierniewic, najbielszy i najdelikatniejszy kawał lnu o wymiarach trzy na dwa oraz piętnaście kolorów nici do haftowania i zaczęła swoje dzieło. Cokolwiek robiła, dziecko było przy niej. Najchętniej w ogóle nie wypuszczały go z ramion i karmiła bez końca piersią, z której płynęło mleko słodkie i gęste jak krem w eklekach. Jadwiga haftowała, a niemowlęciu przyssanemu do jej piersi smakowało mleko we wszystkich kolorach: niebieskie na niezapominajki, niebo i wodę, zielone na trawę i liście, czerwone na róże, serca, usta i krew. Takie piękne, tłuste dziecko w niczym nie przypominało tamtych wątłych i niedokończonych, i nie musiało, bo Jadwiga i tak o nich pamiętała. Wyhaftowała pięcioro swoich martwych pośredku obrusa, pódług starszeństwa Bronka, Marysię, Kazię, Henia i Krysię w postaci aniołków trzymających się za ręce wokół najświętszego Serca Jezusowego, roniącego krople krwi w dwóch dobranych odcieniach czerwieni. Obrus, prawie skończony po dwudziestu latach haftowania i tak piękny, że kobiety z Brzeziny cuda sobie o nim opowiadały, spłonął w trzecim roku wojny, gdy Niemcy, po zamordowaniu właściciela, młynarczyków i rannego partyzanta z AK ukrywanego wśród worków ziarna, podpalili młyn i dom Strąków. Jadwiga widziała pękające szyby, płonące pelargonie, Bronka widziała, Marysię, Kazię, Henia i Krysię, i ogień, co najpierw pożerał ciepłe kolory, a potem zimne, płonącego psa widziała, który wyl i szarpał się na łańcuchu. Gdy potem naga stała nad wykopanym w lesie grobem, żółtym jak wielkanocna babka, pomyślała o obrusie, w którym brakowało jednej girlandy liliowych

bratków w jednym jedniutkim rogu, i czy to znaczy, że w oczach Boga wywiązała się z przyrzeczenia, skoro to nie jej wina, że nie skończy, mimo najlepszych intencji i wystarczającego zapasu nici.

Po śmierci rodziców Zofia została zupełnie sama; jedna z wielu wojennych słomianych wdów w Zalesiu. Jej małżeństwo z Maćkiem Maślakiem, z którym spędziła tylko miesiące lata pełnego deszczy i komarów, nassegnane było wilgocią i kataklizmami. Wszędzie upały, ludzie w Skierniewicach padali od gorąca jak muchy, śmierdziało stopioną smołą i co rusz wybuchały pożary, a nad Zalesiem niebo wisiało ciężkie i nasączone wodą jak gąbka. Najstarsi ludzie nie pamiętali czegoś podobnego; stara Cudzakowa patrzyła w górę, plula przez lewe ramię i mówiła, że czas gromnice w oknach zapalić i modlić się, inaczej się nie poradzi. Najpierw wylała Pełcznica, jej wody, czerwone i mętne, zalały pola, popławiły bydło, podmyły piwnice i wydawało się, że rzeka oszalala, rozpuściła się i nie ma zamiaru wracać na miejsce. Po powodzi przyszła plaga ślimaków, które obłaziły jabłonie, przysysały się do krowich wymion, wpadały do studni i topiły się w zsiadłym mleku. Niektóre wyrastały wielkie jak szczury, pokryte łuską, a ich łupem padały nawet kury i króliki. Sprawdzone sposoby zawodziły, a ślimaki stawały się coraz żarłoczniejsze i matki bały się wypuszczać na dwór mniejsze dzieci. Cała wieś chodziła z kijami, którymi strącano bestie wpółzające na nogi. Słusznie starsi mówili, że taka zaraza źle wróży, ale do tego nie trzeba było mędrca, i gdy tylko obeschło trochę po powodzi i ślimakach, zaczęła się wojna. Zofia patrzyła, jak w oknie pociągu niknie rumiane oblicze Maćka,

z perkатыm nosem i zaczerwienionym przyszcem na brodzie, a ona, żona, zostaje – jak inne matki, siostry i żony. Zanim Maciek odjechał, przestrzegł ją, by na progu zostawiła jego buty do gnoju, niech stoją tam i obcym mówią, że jest chłop w chałupie. Wróci, buty będą czekać, powtarzał kilka razy, jakby jego powrót miał zależeć od pary starych gumiaków, a w nich pustych miejsc na jego stopy. Zofia została sama w starym drewnianym domu na skraju wsi, który odziedziczyli wraz z ziemią po bezdzielnym stryju Maćka i gdzie on sam zdążył jedynie wymurować na podwórzu nowy, bielony wapnem piec chlebowy, bo tak obiecał teściowi młynarzowi i dziwnej, gadającej trzy po trzy teściowej. Z własnej już woli zbił klatki dla królików, bo dwie parki dostali w ślubnym prezencie, i cieszył się z pierwszego miotu. Co chwila kuczał i przyglądał się kilkunastu szarym kulkom. Gdyby tak mógł zostać tu z Zofią i patrzeć, jak rosną króliki! Niczego więcej nie pragnął Maciej Maślak. Zofia postawiła buty Maćka na progu, jak prosił, i będą tam stać przez lata, butwiejąc na deszczach i marznąc na mrozach, aż w lewym wyrośnie spora brzoźka, a w prawym gniazdo uwiją myszy. Dostała od niego dwa listy napisane wielkimi literami na papierze w linie, w których donosił, że tęskni i całuje jej oczka niezapominajki, a gdy wróci, to tak sobie myśli, że dokupi króli i zacznie prawdziwą hodowlę. Będzie miała Zofia skórki na kołnierz albo i na całe futro, jak zechce. Potem listonosz na skrzypiącym rowerze mijal jej furtkę i nigdy już nie zawołał, pani Zosiu, list.

Po dwóch latach wojny Zofia, zajęta peklowaniem królików, które zabijała, odwracając twarz od ich łagod-

nych, głupich oczu, zbieraniem jagód i suszeniem grzybów, zaczynała zapominać twarz Maćka, bo nie zdążyła ani go pokochać, ani się do niego przyzwyczaić. Wyszła za niego, bo wydawał jej się najmilszy z kandydatów zaglądających do młyna, od kiedy skończyła szesnaście lat. A przychodzili w najlepszych ubraniach, z ojcami lub wujami, z twarzami ogolonymi tak dokładnie, że lśniły jak jabłka. Wycierali mokre od potu dłonie, wyszorowane na tę okazję, i pachli z przerażenia, gdy Jadwiga kwitowała ich opowieści o morgach tyłu a tyłu plus dwie krowy mleczne jednym ze swoich niezrozumiałych powiedzonek. Pierwszy był Janek Kos, który wyrwał się jeszcze przed piętnastymi urodzinami Zofii, i Jadwiga przepędziła go, zanim zdążył przestąpić próg w pożyczonych od ojca, za dużych kamaszach. Po tych nieudanych konkurach wypadł na dwa lata z kolejki z powodu polio, które lekko skróciło mu lewą nogę i napęliło goryczą tak dokładnie, że do końca trzymał jej kwaśne ciepło jak dobry termofor. Był przekonany, że Zofia go wyróżniała, i wspomnienie koszyka grzybów, który od niego przyjął ostatniej przed polio jesieni, obracał na języku jako dowód, że bliski był szczęścia. Takie grzyby! Same prawdziwki jej przyniósł. Polio Janka Kosa odegrało być może rolę, ale Maćkowi poszczęściło się z piękną córką młynarza przede wszystkim dlatego, że chłopak najbardziej zaciekł w swoich zalotach, Maniek Gorgól z Zalesia, budził w niej wstręt swoimi grubymi ustami i smrodem spalonego mięsa. Nie pomagała hojna ilość wody kolońskiej o nazwie Żorż, produkowanej przez aptekarza ze Skierniewic, którą się skrapiał, ilekroć szedł do młyna. Zofia czuła go, zanim dał się zauważyć, jak

idzie ścieżką, i chowała się między workami z mąką, które wchłaniały obrzydliwy zapach jak bibuła. Czekala tam, aż matka zawoła ją i powie, że poszedł już śmierzdel, który prędzej zobaczy gruszki w popiele, niż jej córkę dostanie za żonę. Widziała Zofia, jak w dzień jej ślubu z Maćkiem stał Maniek przy drodze z kościoła, ukryty w cieniu ulegalki koło swojego domu, ale zanim zobaczyła wpatrzona w nią oczka, niewyraźne jak dwie packi płwociny, do jej nosa dotarł nieomylny odór spalenizny.

Raz na parę miesięcy odwiedzał Zofię nie lubiany kuzyn męża, Kazimierz Maślak, który wpadał do wsi Bóg wie skąd, by nakupować żywności i zniknąć z plecakiem pełnym kielbas, jaj i suszonych grzybów. Ilekroć Zofia go widziała, miała wrażenie, że patrzy na nią, jakby rachował, i odruchowo krzyżowała ramiona na piersiach. Czuła ulgę, gdy zamykała za nim drzwi, choć nic nie mogła mu wprost zarzucić. Maniek Gorgól ożenił się z Marysią Kobiałką, córką najbogatszego gospodarza, i został granatowym policjantem. Ludzie we wsi mówili na niego dżuma i schodzili mu z drogi. Stary Kobiałka opowiadał w karczmie Sosenka, że ma za wnuki czarci pomiot i jak wdadzą się w Gorgóla, jak tylko u którego zobaczy cień Gorgólowej podłości, to własnymi rękoma jak kocięta potopi, a potem niechby nawet miał się obwiesić. Maniek Gorgól spacerował w mundurze drogą przez wieś i spluwał pod nogi, a gdy mijał Zofię, klaskał i cmokał, jakby chciał wyssać resztki z dziurawego zęba. Widziała go nieraz nocą, jak stał w ciemności, palił papierosa i patrzył na jej dom.

To najpiękniejsze pół godziny w moim życiu, mówi Jadzia i siadała przed telewizorem w gnieździe po Stefanie. Słodka herbata z cytryną, talerz słodczy, z którego sięgała, nie patrząc, bo wzrok miała przykuty do ekranu, aż łzały jej agrestowe oczy. W pełnych napięcia chwilkach obgryzała do krwi skórki przy paznokciach. *Niewolnica Isaura* w odcinkach wciągała w świat nieznany, a jednak tak bliski, jakby i ona, Jadzia Chmura z Wałbrzycha, na plantacji się urodziła pod słońcem palącym.

Isaura była niewolnicą piękną w dalekiej Brazylii, która bardzo różni się od Wałbrzycha. Ile tam czarnych Murzynów w tej Brazylii! W nocy to takiego Murzyna można tylko po oczach albo jak się uśmiechnie, bo zęby też białe. Jedna dziewczyna z Babela wyjechała na studia do Wrocławia i przywiozła Murzyna; ale śmiechu było, a jej rodzice mało ze wstydu nie umarli. Oczy miała Isaura ciemne, włosy z przedziałkiem, suknie z bufkami i skórę białą prawie jak murzyńskie zęby. Leoncio to jest właściciel Isaury i jej prześladowca, ale nie brzydki jest, nie, raczej tajemniczy. Ten Leoncio straszny cham, własną żonę spalił sam, a Isaura jak lilija błaga go, nie zabijaj, śpiewają dzieci w wałbrzyskich przedszkolach, bo też oglądają *Isaurę*. Jak to się nad nią znęcał, nad Isaurą, ten Leoncio. Jak to się nad nią znęca, zobacz, wołała matka Dominikę, bo ciężko było jej samej znieść cierpienia szlachetnej niewolnicy. Znęca się, upokarza, rani ją i kęsa ten Leoncio, do łez doprowadza drogą ciernistą.

A wąs ma jaki, jak pasta do butów czarny, jak noc bezksiężycowa. Do tańca Isaurę porywa, kibić jej szczupłą gnie jak łodyżkę tulipana, pierś miażdży o potężny tors, już niemal dziewczę pada w omdleniu. Ten Leoncio okrutny namietnością dziwną do Isaury pała. Jadzia takiej namietności bardzo by zażyć chciała! Alvaro jest dobry w przeciwieństwie do Leoncia i chce Isaurę poślubić, Jadzia poślubiła Stefana i proszę, jak to się skończyło, na co jego dobroć się przydała. Leoncio zły drażni ją tu i ówdzie, jakby z ekranu sięgał własnoręcznie, czuje Jadzia to uczucie drażniące jeszcze długo po najszcześniejszej półgodzinie tygodnia i aż ją dreszcz przechodzi. Isaura przeczołgana przez Leoncia w następnym odcinku pojawia się świeża jak stokrotka. Delikatna taka i skromna, każda matka chciałaby widzieć swoją córkę taką, chociaż z drugiej strony coś w Jadzi pragnie, by Leoncio chwycił Isaurę za łeb, rzucił w piach i zniewolił. Żeby ją rozczochrał, zbałamucił, zbrukał, zbeczczył, żeby jej tę kieckę schludną wybrudził, wyszarpał, zaślinił, zapaćkał, pokleił. Jadzia płonie, dostaje wysypki na piersiach, pije oranżadę musującą dla ochłody, ale jeszcze długo po kolejnej *Isaurze* wygląda, jakby w środku wybuchały jej fajerwerki, jej jasna skóra mieni się złoto, purpurowo, turkusowo. W tym napięciu jest dreszcz, jest gęsia skórka i życie jakieś dalekie, nieznane.

O *Isaurze* mówią kobiety w wałbrzyskich sklepach, windach, autobusach, w pracy nad biurkami, nad miotłami wzdychają, że ma coś w sobie Leoncio mimo niegodziwości okazywanej regularnie co odcinek. Nie mogą się zdecydować, czy samoobrona kopiącej i gryzącej Isaury sprawia im przyjemność, czy wolą, by spuściła

z tonu i została pokryta. Krysia Śledź po stronie Leoncia się ustawia i mówi, że jakby chciał, toby wziął, takie jego pańskie prawo, a wtedy w Jadzi, zwykle tak zgodnej, nagle coś się odwraca do góry nogami i staje Krysi okoniem, choć bardziej przypomina fokę. Ma prawo, Jadzi zdaniem, Izaura do oporu, taki opór tylko miłość rozpala. Od długości i intensywności męskiego nacierania rośnie temperatura nacierającego i nacieranej. Opór zwiększa męski szacunek, bo taki mężczyzna bardziej będzie cenił to, przy czym się namęczył. Ma się opierać Izaurę kobietą, żeby ulec mężczyźnie Leonciowi. Najpierw opieranie, potem uleganie. Ta kolejność musi być zachowana.

Nie wiadomo, czy z miłości do Izaury, czy z potrzeby wzbudzenia napiętności w Leonciu, gdyby czasem z hacjendy swej zjechał do Wałbrzycha, kobiety robią się na Izaurę. Czarne włosy do ramion nieco bardziej pasują smagłym brunetkom, ale jasne nie chcą zostać w tyle, gdy niespodziewanie blond jest w odwrocie. Odkują się przy Marii Celeście. Odchodzi taśmowe farbowanie i modelowanie na Izaurę w zakładach fryzjerskich na Piaskowej Górze, na Szczawienku. Odważniejsze chodzą do hotelu Sudety, gdzie na damskim mają fryzjera męską, to strzygące homoniewiadomo, młode i przegięte, prawdziwa nowość w Wałbrzychu. Jadzia waha się, zwycięża strach przed bakteriami homoniewiadomo, co za ostrożność, i to zanim ktoś w Wałbrzychu usłyszał o AIDS. W końcu farbują się na Izaurę sama niemiecką farbą Londa. Przez tydzień ma czarne palce i czoło, za każdym myciem ścieka jej Izaura z włosów delikatnych jak kaczki puch. Kobiety pragną Izaurę mieć, być Izaurą i ją zjeść, podają sobie przepisy na sernik Izaura i babkę

piaskową Izaura. Wystarczy trochę kakao i już jest brązowa jak Brazylijka z hacjendy. W niedzielę po obiedzie całe rodziny wypychają Izaurę do ust i popijają słodką herbatą. Gdy leci *Izaura* w telewizji, na ulicach Piaskowej Góry nie ma kobiet, pustoszeje promenada wzdłuż Babela i nawet lodów z budki nikt nie kupuje, choć to niedziela. Smętnie kapią z odbycików automatu krople waniliowe i kakaowe. Jadzia, Krysia i Bożena na dwiatym, wszystkie Teresy i Anie, Ewy i Urszule czują, jak wzbiera w nich słonawa rzeka i unosi się do góry. Gdyby wylała, porwałaby Babel jak piórko i poniosła w kierunku Brazylii, gdzie Jadzie, Krysie i Bożenie, Teresy i Anie, Ewy i Urszule wysypałyby się przez okna jak małe rybki przez oka sieci wprost na czerwoną ziemię, między czarnych Murzynów, pod słońce gorące. We wszystkich domach Babela Izaura już ma się wyzwolić z niewoli, już ma szczęście ją spotkać i dostatek, a tu nagle odwraca się fortuny koło i do następnej niedzieli czekanie. Ale jest na co czekać i wiadomo, że się doczeka na oczekiwane, i to o wiadomej porze, a to rzadko zdarza się w życiu. Gdy wszystko się kończy, pozostaje dziura w niedzielnych popołudniach kobiet z Babela. Mimo kolejnych telenowel długo się nie zbliznia, ciągnie jak blizna po cesarce, i gdy Lepka przynosi wiadomość, że Izaura i Leoncio przyjeżdżają do Polski, Jadzia czuje zew przygody, a nie jest to coś, co czułaby na co dzień.

Niestety Wałbrzycha nie ma na liście miast, które odwiedzają bohaterowie ze słonecznej Brazylii, ale jest Warszawa, stolica, a tam przy okazji Izaury można też oblecieć sklepy stołeczne, bazy. Decydują, że pojedą nocnym pośpiechem z Wrocławia i rankiem prosto

w warkoczyki, zmniejszała się w takim tempie, że mówiące ramiona jej męża raz po raz trafiały w pustkę. To może człowieka zdenerwować, zwłaszcza gdy jest zajęty poważnymi sprawami politycznymi i przygotowuje się w myśli przemówienia. Ile można słuchać piosenek o dziewczynce-malinie słodkiej jak szynka i miód, gdy trudno zlokalizować źródło śpiewu i nie wiadomo nawet, w którą stronę rzucić kapciem. Pomniejszona żona nie nadawała się do prac kuchennych, bo nie utrzymałaby nawet tłuczka, by zrobić mężowi ulubione bitki wołowe. Jadzia więc zajęła się karmieniem głowy rodziny, którą Kazimierz zawsze tak bardzo pragnął być. Barbara oddała jej swoje królestwo kuchenne; abdykowała bez słowa protestu, bo nigdy nie czuła się królową. Przez pierwsze kilka tygodni siadała czasem na stołku przy kuchennym stole, patrząc zza swoich poklejonych plasterem okularów, jak Jadzia obiera ziemniaki albo smaży cebulę. Moczyła sobie bułkę w słodzonym mleku i nucila o dziewczynce-malinie słodkiej jak szynka i miód, puszczać bańki białej śliny. Jadzia traktowała ją właśnie tak jak małą dziewczynkę, którą nigdy nie przestała być, zaplatała jej mysie warkoczyki i wiązała na końcach podwójne kokardy. Zbierała za nią wyplute packi bułki z wyszorowanej na glanc podłogi, narzekając ty paparuchu. Gdy wychodziła do sklepu, na wszelki wypadek przywiązywała Basienkę za nogę do kaloryfera. Któregoś razu, gdy od strony Piaskowej Góry wiało tak, że piasek wciskał się przez szpary w oknach, pomniejszona Barbara wymknęła się, kiedy Jadzia otworzyła listonoszowi, i mimo poszukiwań, w których brała udział milicja z psami, nie udało się już jej odnaleźć. Razem z nią znikł

pierścień z ~~złotym kamieniem, który~~ Maślak zdobył na ostatnim wojnie.

XV

W piątym roku wojny Zofia, uzbrojona w odwagę i kij, wyszła zimą na podwórze, zaniepokojona szczekaniem psa, i zamierzyła się na coś czarnego, przyczajonego w ciemności. A poszedł won, krzyknęła, udając, że się nie boi. Jeśli to Maniek Gorgól, prędzej ucieknie mu na zewnątrz niż w domu, do którego drzwi rozwaliliby jednym kopnięciem buta. Jeśli zwierzę, poradzi sobie, one nie atakują bez powodu. Proszę mnie nie bić, powiedziało ciemne coś i Zofia omal nie umarła, bo spodziewała się czegoś na pewno mniej ludzkiego i grzecznego. A kto tu? Czego chce? zapytała niepewnie i cień rozprostował się. Był mężczyzną, obcym, którego ciemna głowa wystawała z kokonu szmat. Mam na imię Ignacy, powiedział cień, dobry wieczór pani. Takie rzeczy nie zdarzały się normalnie, a co dopiero w wojnę, żeby znajdować obcego w ogrodzie, który nie podrzyna gardła, nie gwałci, nie pali chałupy, tylko mówi, dobry wieczór pani. Zofia stała z otwartymi ustami. A skąd się tu wziął? Mówi, czego chce, bo psem poszczuję. Jestem Żydem, powiedział cień, uciekam. Z getta, z Warszawy. O Matko Boska, nogi ugięły się pod Zofią Maślak, trwa wojna, jest sama na świecie i ma Żyda w ogrodzie, do tego z samiuńskiej Warszawy.

Jak tu trafił? zapytała w ciemność, z której świeciły oczy. Czego chce? To była zwykła historia, Zofia uwierzy-

ła w nią, bo podobna zdarzyła się parę miesięcy temu, gdy zabłąkanego Żyda Niemcy zastrzelili koło tartaku. Jeden taki zostawił Ignacego w lesie i znikł. Powiedział, czekaj, przyjdą po ciebie i ukryją, więc czekał, ale nie przyszli. Ruszył, bo jeśli umierać, to idąc. Idąc, jakby mniej się człowiek boi. Nie wiedział, ile dni i nocy tak szedł, pewnie chodził w kółko, jadł zmarznięte jagody, raz znalazł strumień, ale potem zgubił, jadł śnieg, który smakował dymem. Jej dom stoi na skraju wsi, jest głodny, nie ma już żadnych pieniędzy, nic nie ma, więc nic nie może chcieć. Popatrzył na Zofię ciemnymi oczami, które płonęły gorączką, wyszeptał, że przeprasza i już idzie dalej, zrobił pół obrotu i zemdlął, waląc głową w kamienną cembrowinę. Zofia pomyślała o smrodzie spalonego mięsa, wargach Mańka jak dwa ślimaki. Spojrzała na ścieżkę prowadzącą ze wsi do jej furtki i dalej w las – była pusta, biała, księżyc kapał na nią jak rtęć. Podobno tamtego pierwszego Żyda najpierw znaleźli chłopci z tartaku, leżał koło torów i o własnych siłach już by nigdzie nie zaszedł. Stali i patrzyli, ale w grupie strach jest silniejszy niż pojedynczo. Związał im ręce i nawet wody żaden nie odważył się podać. Cudzakowa mówiła, że Żyd i tak by nie przeżył, miał nogi tak odmrożone, że aż czarne. Prosił, dobijcie mnie, i któryś zawiadomił Niemców, może stary Kos, może Kukułka, jakby to dobijcie ich usprawiedliwiło, jakby rzeczywiście chciał umrzeć, a nie błagał o ratunek.

Zofia Maślak wezwała raz jeszcze Matkę Boską, która tego wieczoru zajęta była innymi sprawami, pochyliła się więc nad nieprzytomnym mężczyzną i wciągnęła go do domu. Zamknęła drzwi i klamka zapadła. Myła go na

podłodze w sieni szmatką nasączoną octem, wzdrygając się na widok poranionego ciała. Uspokajała, no cicho, cicho, jak dziecko, bo zaczął jęczeć, próbując coś powiedzieć aniołowi pochylonemu nad nim w blasku naftowej lampki. Miał na udzie zaropiałą ranę, którą Zofia oczyściła z paru białych robaków i przelała wódką, jasne też było, że od dawna głodował, bo wklęsty brzuch prawie mu przyrósł do kręgosłupa. Zdjęła ubranie z Ignacego, sztywne od brudu i krwi, rozciąwszy koszulę i spodnie nożycami, a gdy jej oczom ukazał się członek pozbawiony żółtego kołnierzyka i bezbronny, zaczerwieniła się aż po korzonki jasnych włosów i poczuła pulsowanie w dole brzucha. Słyszała, że coś takiego robią Żydom, ale dokładnie nie rozumiała co; sądziła, że w wyniku tej tajemniczej operacji różnią się oni o wiele bardziej od swojskich chłopów. Starczy takiemu parchowi w portki zajrzeć i wszystko wiadomo, powtarzał Maniek Gorgól. A mnie starczy, że w gębę spojrzę i wiem, co trzeba, odpowiadała Zofia, ucinając jego zaloty. Członek nieznanego nie dość, że znajdował się tam, gdzie się go można było spodziewać, to tak samo jak mężowski drgnął i zwiększył swą objętość w odpowiedzi na nie do końca przypadkowy dotyk jej dłoni. Matko Boska! W umyśle Zofii, który nie wypuszczał się na wycieczki dalsze niż na targ do Skierniewic czy pielgrzymkę do Częstochowy, pojawiło się przekonanie, że trzeba mieć we łbie kozie bobki z serwatką, jak mawiała jej świętej pamięci matka, by wedle takiej różnicy dzielić ludzi. Przyjrzała się jeszcze raz dokładnie. Nic, tylko chłopcy to musiały wymyślić, jak wiele innych niepotrzebnych rzeczy. Z tego, co ona widzi, kobiecie nie powinno to

sprawiać różnicy. Zofia założyła mężczyźnie portki i koszulę Maćka i zaciągnęła go do kuchni, gdzie przygrzała rozcieńczone wodą mleko, bo zostało jej tego dnia niewiele. Pił, tak jak piją dzieci, i płakał, a Zofia trzymała kubek przy jego ustach. Pierwszą noc przespał Ignacy w kuchni, na wąskim łóżku pod obrazem Chrystusa obnażającego serce w kolorze fuksji, podczas gdy Zofia przyglądała mu się w półmroku, czuwając na stołeczku do obierania ziemniaków. Trzeba mu będzie te klaki ogolić, pomyślała, gdy wśród gęstwy ciemnych włosów śpiącego dostrzegła wesz. Zdrzemnęła się dopiero nad ranem, z głową opuszczoną na pierś, a po przebudzeniu zobaczyła wpatrzone w siebie oczy mężczyzny, który wyszeptał, dziękuję pani. Co komu pisane, temu w wodę kamień, opowiedziała, gdy ostrzegł ją niepotrzebnie, bo każde dziecko z Zalesia to wiedziało, że zginie, gdy wyda się, że ukrywa Żyda. Ni ma co gadać, wzruszyła ramionami, kazała mu usiąść na kuchennym stolku, po czym wielką brzytwą, którą z wprawą naostrzyła na pasku, ogoliła go na zero. Bo wszy ma, odpowiedziała, gdy zapytał, po co, a Ignacy, który już jako mały chłopiec żądał codziennych kąpieli, poczuł się upokorzony i bardzo nieszczęśliwy. Skąd ja tu się wziąłem? pomyślał, gdy w lustrze w sieni zobaczył swoją głowę dybuka z głową pomazaną czymś na zielono. Na wszy tak trza, krótko wytłumaczyła mu ta kobieta o biodrach jak kołyska i miłych szorstkich dłoniach. Że z Warszawy, mówił, jest? zapytała.

Nazywał się Ignacy Goldbaum, miał dwadzieścia dwa lata i studiował w Warszawie medycynę, gdy przyszła wojna i zmiotła jego przyszłość jak garść popiołu.

Nie wiedział wtedy jeszcze Ignacy, że z jego trzydziestoosobowej rodziny, pełnej wysokich, kościstych ciotek i wujów o wzroku słabym od nauki, przetrwał tylko pięcioletni rudy kuzyn, przygarnięty przez polską rodzinę. Przemałowany nie do poznania w Januszka Lepiankę, który przez lata całe nie będzie miał pojęcia, skąd pochodzi i co mówią do niego obce, ciemnookie osoby w jego głowie, dopiero trzy lata przed śmiercią pozna starszkę, która jego pierwszą tożsamość zawekowała i zakopała na szczęście i nieszczęście. Wojna zastała Ignacego w Warszawie, gdzie mieszkał u siostry matki, Roisy Boiss, bezdzietnej i bardzo religijnej wdowy, unieruchomionej na wózku w czteropokojowym mieszkaniu pachnącym naftaliną i czosnkiem. Starsza pani w peruce z matowych włosów, pod którymi ukrywał się rudy jeź jej własnych, nigdy nie przyjęła do wiadomości imienia Ignacego i wołała na niego Icek, bo tak powinien nazywać się chłopak z dobrej żydowskiej rodziny, co i obrzezanie, i bar micwę miał, jak należy, więc ja się pytam, czemu Ignacy, ja się pytam, jaki Ignacy, zrządziła dobrotliwie, klękając wózkiem po drewnianych podłogach. Roisa wyszła za tradycję i pieniądze, jej siostra Sara, matka Ignacego, za tradycję i intelekt, i siostry czasem nie mogły się dogadać, bo jako mężatki ubierały się inaczej, jadły co innego i coraz bardziej upodabniały się do swoich małżonków. Wkrótce jednak te subtelne różnice między nimi miały okazać się bez znaczenia. Na szczęście dla siebie ciotka zmarła, podlewając pelargonie na balkonie w ostatnie przedwojenne lato, a Miriam, córeczka sąsiadów z naprzeciwka, do której Ignacy wysyłał czasem papierowe samoloty, gdy czytał na balkonie, na widok

zsuwającej się z fotela kobiety krzyknęła przenikliwie jak mewa. Tak samo krzyknie już niedługo, gdy przez otwór w suficie zamiast wody zasyczy gaz.

Ignacemu udało się wydostać z getta przy pomocy polskich przyjaciół, doktora Zatory i jego żony lekar-ki, oni też wywieźli go z płonącej Warszawy, bo wygląd miał wyjątkowo zły i najlepsze papiery z nazwiskiem Kowalski czy Wiśniewski takiego nosa i oczu by nie ukry-ły. W domu, w którym miał znaleźć schronienie, strach zwyciężył jednak opłacone z góry miłosierdzie i znów musiał uciekać. Ostatnią cenną rzeczą, jaką miał Ignacy, był złoty pierścionek ze szmaragdem po ciotce Roisie Boiss. W lesie między Brzezina a Zalesiem dał go mę-czyźnie, który obiecał wrócić po niego – jak nie on, to zaufany człowiek, tak mówił – ale szmyrgnął w krzaki i nie pojawił się więcej.

Zofia pościeliła Ignacemu na strychu, do którego wchodziło się ze spiżarki, i kierowana nagłym przypły-wem chłopskiej przebiegłości zostawiła drabinę, jak sta-ła. Zawsze mogłaby powiedzieć nieproszonym gościom, gdyby tylko nie zdradziły jej drżenie głosu i dłonie zaciś-nięte pod fartuchem, bo nigdy nie uważała się za oso-bę odważną, a idźta, idźta, tam u góry i tak nic ni ma. Dwa razy dziennie wspinała się na strych z jedzeniem i Ignacy widział najpierw jej głowę jaśniejącą w smu-dze srebrzystego światła, które wybuchało przez unie-sioną klapę jak fontanna. Stawiała tacę i wynurzała się cała – kremowa szyja, piersi i biodra ledwo mieszczące się we włazie. Pierwsze wrażenie, jakie odniósł, że oto anioł z jednego z warszawskich kościołów, które odwie-dzał z ciekawości, bo każdą religię uważał za opium dla

ludu, zstąpił na ziemię w tej zabitej dechami dziurze i go ocalił, umacniało się. Gdy Ignacy patrzył na Zofię, na chwi-lę przestawał się bać, a to była duża odmiana. Pierwszy raz od dawna trząsł się tylko z zimna, obkładając chude ciało króliczymi skórkami, których ta kobieta miała całe worki. Kłaczki wpadały mu do nosa przy każdym oddechu i z trudem tłumil mogące go zdradzić kichanie. Któregoś razu Zofia wspięła się na strych nadprogramowo, między śniadaniem a kolacją, by przynieść mu jabłko, tak krągłe i czerwone, jakby miało trysnąć krwią. Skąd takie jabłko w środku zimy? Anioł przybrał postać kusicielki o twa-rzy w kształcie serca i lekko chropowatych dłoniach, która powiedziała, a niech uważa ino na robaki. Zofia przez pierwsze tygodnie stawiała jedzenie i brała do wylania wiadro niemal bez słowa; odpowiadała półsłów-kami na pytania mężczyzny, który widząc cienki drucik złotej obrączki, domyślił się, że jest wojenną słomianą wdową. Rana Ignacego nie goiła się dobrze i przestał gorączkować dopiero po kilku tygodniach, krwawa masa na jego udzie przybrała wygląd stwardniałego surowego mięsa i nigdy już nie zarosła skórą. Mówił Zofii, jakich lekarstw potrzebuje, a ona kupowała je u aptekarza, o ile miał potrzebne składniki, chociaż uważała, że i tak naj-bardziej pomogły okłady z liści babki, które sama robiła. Ignacy czuł się coraz silniejszy i ćwiczył mózg, przypo-minając sobie wykłady czy treść czytanych książek, li-czył zamrożone pająki na suficie i mnożył przez liczbę schwytanych mrówek, gimnastykował zwiotczale mięś-nie, robiąc pompki, aż wapno sypało się Zofii na głowę. Zaczęła zostawać na strychu dłużej, patrząc, jak mężczy-zna je, i słuchając opowieści o Warszawie, gdzie nigdy

nie była, a on odtwarzał dla niej ulice, kawiarnie, teatry i parki, secesyjne kamienice z marmurowymi posadzkami i poręczami z drewna o połysku bursztynu, które właśnie obracały się w nicość. Zofia czekała niecierpliwie na pory posiłków i leżąc w łóżku, patrzyła w sufit porażona niestosowną myślą, że Ignacy śpi nad nią na swoim sienniku. Budziło się w niej coś jasnego i świetlistego, co mogło być zwykłym pragnieniem miłości, ale też czymś więcej – ciekawością świata.

Mimo marca za oknem padał śnieg i ryby zamarzały w Pelcznicy, a Zofia myślała, jak by to było tak siedzieć w kawiarni na Nowym Świecie albo z parasolką przechadzać się po Łazienkach, liżąc malinowe lody w wafelku. Ignacy był inny niż Żydzi, których знаła do tej pory, inny też z pewnością niż ci oprawcy niewierni, co zabili Jezuska, którymi straszył ksiądz Zdunek z ambony, a których osobiście poznać nie miała okazji. Jej matka wzdychała, że Pan Bóg daje kupca, a diabeł faktora z melasą, za każdym razem, gdy mały, tłusty Mosze, zwany z powodu fatalnej cery Krostą, przyjeżdżał do nich ze Skierniewic utargować parę kaczek czy cielaka, i zawsze miała potem wrażenie, że dała się oszukać. Jak to mnie użył ten Krosta, Jadwiga kręciła głową z żalem i podziwem dla jego handlowych zdolności. Do sympatycznego, gadatliwego Aronka, od którego kupowała kupony materiału i nici, czopki na przeczyszczenie i różowy krem do twarzy o zapachu najprawdziwszych poziomek, matka Zofii też nie miała pełnego zaufania i targowała się tak długo, że na koniec oboje niemal płakali, zaklinając, niech stracę, tyle a tyle i koniec. Aronek mówił głośno, śpiwnie przeciągając sylaby, jego języka Zofia prawie

nie rozumiała. Gestykulował przy tym tak żywo, że zawsze coś rozlał lub strącił. Jedni mają we krwi złoto, a inni buraczki z maślanką, przy akompaniamencie głębokich westchnień Jadwiga zamykała sprawę jednym ze swoich powiedzonek. Świadomość żydowskiej inności zatrzymywała się na przedprożu nienawiści i nigdy nie miała go przekroczyć, nawet gdyby była ku temu okazja. W chwilach największego gniewu, jaki ogarniał ją, gdy traciła kolejne dziecko, Jadwiga Strąk, bijąc się w pierś, mówiła, że największym Żydem, jakiego zna, jest Pan Bóg i ani Krosta, ani Aronek do pięt mu nie dorastają. Jak nie teraz, to po śmierci ona już sobie z nim pogada.

Tymczasem Ignacy w niczym nie przypominał faktorów i kupców. Jadł i nie bekał jak Maciek, a mówił jak proboszcz Zdunek. Zofia musiała się nieźle natrudzić, by nie zostać na którejś z bocznych ścieżek jego długich i meandrycznych zdań. Ale gada i gada! dziwiła się, skąd tyle gadania w takiej chudzinie? Co rusz prosił o trochę ciepłej wody i pachniał jak młody pies, jak Burek, któremu pozwalała spać w swoim łóżku, zanim urośl i poszedł do budy. Budząc się w nocy, Zofia przypominała sobie ten psi zapach Ignacego i targały ją wyrzuty sumienia wobec nieobecnego i kto wie, czy żywego męża. Którejś nocy otworzyła drzwi prowadzące ze strychu na dach drewnutni i Ignacy pierwszy raz od dawna zobaczył niebo, ciemne i jeszcze opuchłe po pierwszym wiosennym deszczu. Usiedli razem w progu, dotykając się ramionami, i Zofia Maślak z Zalesia poczuła tak dojmującą świadomość własnego istnienia, aż jej się odbiła zjedzona na kolację zalewajka. Gdy Ignacy ją pocałował,

wydawało się, że wiosna i wszystko jest po ich stronie. Zofia była ciepła, wilgotna i pachniała deszczem. Tak zaczęły się dwa tygodnie, podczas których nie było ukrywających i ukrywanych, a wojna trwała na jakiejś innej planecie, złej, kanciastej i zimnej. Drewniany dom z Zofią i Ignacym oddalał się od niej jak zbuntowany satelita; pędził ku gwiazdom. Zofia była pierwszą kobietą, jakiej Ignacy dotykał, i wydawało mu się niemożliwe, że ten cud nie jest pojedynczy i niepowtarzalny, bo czy wielokrotnione może być to, co wydaje się objawione tylko jego oczom? Pachy z kępkami jasnych traw, ich zapach twarogu i miodu, cudowna podwójność piersi o dużych morelowych brodawkach i pępek – ciepłe brzuszne oku, przez które Ignacy próbował zajrzeć do środka Zofii, by zrozumieć tajemnicę. Zofia mogła być tylko jedna, inne kobiety to zaledwie jej dalekie, zimne odbicie. Jedli ziemniaki o ostrym piwnicznym posmaku i pęcak dla kur, bo nic innego nie było już do jedzenia. Z zimnego strychu przenieśli się na dół, gdzie palił się ogień pod kuchnią. Zofia sypiała na kuchennym łóżku, a dwa pozostałe pokoje, parady z wysoko spiętrzonymi poduszkami i pokoik, o którym Maciek mówił – dla dzicków, całą zimę stały zamknięte. Teraz wąskie łóżko dzieliła z Ignacym. Ich satelita planety Ziemia nabierał szybkości i Zofia straciła czujność. Gdy była poza domem, biegła z powrotem tak, jakby jej się paliło. Któregoś dnia rano nie usłyszała szczekania i zobaczyła, że Burek leży przy budzie martwy na naprężonym łańcuchu. Zanurzona w tym, co dobre i czułe, Zofia zapomniiała, że żyje na świecie, na którym ktoś mógłby mieć cel w otruciu jej mądrego, czujnego psa.

Nie spotykała się z nikim i rzadko nawet wychodziła na podwórze, skoro nie musiała już karmić psa. Nie zauważyła, że Maniek Gorgól zawsze jest gdzieś w pobliżu, wodzi za nią wzrokiem i co rusz pluje pod nogi, jakby ugryzł coś gorzkiego. Nie był mądrym człowiekiem, ale wiedział, że budzi w ludziach strach jeszcze silniejszy niż nienawiść. Bez trudu zdobył informacje o dziwnych lekarstwach, jakie Zofia zamawia u aptekarza, a przecież zdrowa jak koń i na pewno nie ranna, wiedział o otwieraniu drzwi przez nią jakoś za długo, gdy Cudzakowa wpadła w porze obiadu pożyczyć kubek barszczu na zalewajkę. W nocy widział dziwny blask wokół jej domu, mimo iż okna były ciemne, a jednak coś przesączało się na zewnątrz i topiło śnieg, tak że pod oknami zaczęła wychodzić trawa, jeszcze zanim poszły lody na Pelcznicy. Najpierw myślał Maniek Gorgól, że to któryś z lasu, może Janek Kos, bo ten chodził za Zofią od lat i nieraz wchodził mu w paradę. Jednak mimo wielu nocy spędzonych pod jej domem nigdy nie widział, by ktoś wchodził lub wychodził. Mógłby na nią donieść, tak jak doniósł na jej rodziców idiotów, którzy nie chcieli go za zięcia. Gniłaby w zbiorowej mogile, ale co to byłaby za strata, gdyby takie cycki poszły do piachu. Maniek Gorgól potrzebował jeszcze trochę czasu, by się upewnić, i zaraz po Wielkanocy przyszedł do domu na skraju wsi już nie po prośbie, nie z czekoladkami, którymi kiedyś wzgardziła, a on je przywiózł aż ze Skierniewic i całą drogę polerował metalowe pudełko, chuchając nań i trąc polą marynarki, bo wydawało mu się nie dość dla niej piękne i błyszczące. Wiedział już, że to pod Zofii pierzyną przepadł warszawski żydek komuch, którego szu-

kał po lesie jak głupi, gdy zimą dostał cynk od swojego z lasu. Żydek złoto miał mieć na sobie, pieniądze, a jemu głównie się z tego dostało. Począł, aż zgasną światła, wypalił papierosa i rozwalil drzwi, bo na pukanie i czekoladki było już za późno. Byli w łóżku i to rozwścieczyło go tak bardzo, że omal nie pokpił sprawy, potykając się o leżący na podłodze but. Ignacy nie miał szans, gdy Maniek Gorgól strzelił go w skroń kolbą, aż echo poszło. Poczł krew lejącą się po oczach i zanim upadł, zobaczył jeszcze przez czerwoną zaslonę, jak mężczyzna w mundurze policjanta sięga po warkocz Zofii. Pożalował Maniek Gorgól, lepiej było zostawić przytomnego, związać i niechby patrzył, jak się postępuje z kobietą. Zofia krzyknęła, Ignacy! i ile dałby, żeby za nim tak krzyczała, ale potem nie usłyszał od niej ani krzyku, ani słowa sprzeciwu. Gryzła i kopała, pluła i wsadziła mu palce w oko, ale to tylko podniecało go coraz bardziej. Sięgała mu do piersi, miała stópkę jak dziewczynka, pulchny brzuch i pośladki całe w dołczkach, nie z takimi sobie radził. Chwycił ją więc mocniej za włosy, za rozwichrzony warkocz, owinał go wokół nadgarstka, tak że jej szyja wygięła się w łuk, rozgniół w ręce miękkie piersi. Maniek Gorgól zgwałcił Zofię tak, jak zaplanował, bez ściągania butów. Łudził się, że mokra jest dla niego, a nie po tamtym, że jej się spodobało. Podoba ci się, suko? sapal, powtarzając raz po raz. Skończył szybciej, niż by chciał, a Zofia usiadła na łóżku i bez żadnych wstępów zwymiotowała, tak że opryskała mu granatowe spodnie od munduru aż po jeszcze nie zapięty rozporek. Gdyby tam zwymiotowała! Ona nie przestawała rzygać, jakby odetkał jakąś rzekę pełną przetrzawionego pęcaku, krochmalu, zdechłych ryb i by-

czych oczu. Patrzył z przerażeniem na chlustający w jego stronę potop. Wytarł spodnie skrajem prześcieradła, co niewiele im pomogło, bo brudne były po kolana, i poczuł się oszukany. Ty suko, no, zamierzył się, ale wołał nie ryzykować bliższego kontaktu. Wymyślił sobie, że dzięki żydkowi nacieszy się Zofią i nasyci na swoich prawach; będzie ją miał w garści i nie spuści z niej oka, teraz on ją będzie wodził za nos. Karmił się obrazami jej podległości. Chciał ją gniesć i siniaczyć, zostawiając w strachu do następnego razu, a ona będzie błagała o litość. Będzie mówiła, proszę cię, błagam, będzie się opierać, ale tak troszeczkę, by przyjemnie mu się opór łamało. Ten należący kiedyś do żony, Marysi, dawno złamał wraz z nogą i dwoma żebrami, a bez oporu to dla Mańka Gorgóla już nie to. Każę Zofii wypiąć na stole ten wielki biały tyłek, założyć miejskie pończochy, albo powie, teraz zatańcz mi tu, a żydek będzie patrzył i skomlał. Tak to sobie wymyślił Maniek Gorgól, na tyle starczyło mu wyobraźni. Rozkosz, na którą czekał tak długo, została jednak nadpsuta i musiał chociaż zmienić zarzygane spodnie. Podkręcił knot w naftowej lampce, wyjął przygotowany sznur i korzystając z chwilowej przerwy w potopie, związał Zofii ręce i nogi, a potem kopnął odzyskującego przytomność Ignacego i zrobił z nim to samo. Zaczął odzyskiwać siły. Pomyślał i posadził ich tyłem do siebie na dwóch krzesłach, dla pewności związując jeszcze razem. Przez chwilę Zofia wydała mu się prawie brzydka, może w ogóle niewarta całego zachodu. Właściwie miał jej dość. Wyszedł Maniek Gorgól w srebrniejący przedświt i wszedł na rower. Pojedzie do dworu i wróci w towarzystwie Fryców, to stąd tylko dziesięć minut, wyciągną ją na podwórze

za klaki, żydka trzaśnie się na miejscu, a z nią się zobaczy. Może zabawić będą się chcieli. Taką rozkosz przyniósł mu obraz zemsty za pawia puszczonego na jego męskość, że poczuł wzbierającą erekcję i pędził na rowerze leśną ścieżką, nie rozglądając się ze zwykłą u niego czujnością. Nie zauważył więc sznura przeciągniętego w poprzek ścieżki i poleciał szczupakiem w ciemność, a gdy już miał się podnieść, plując piachem, ktoś walnął go w głowę. Maniek Gorgól stracił przytomność i zdążył tylko pomyśleć, że nie tak miało być.

Po wyjściu Mańka Gorgóla Zofia nie powiedziała już ani słowa, mimo że Ignacy prosił ją i zaklinał, przeproszał i obiecywał, nie rozumiejąc, że na tę noc i wiele następnych wyczerpały się jej słowa. Czuł, jak drży, myślał, że jej zimno, bo Maniek nie domknął drzwi i zgasł ogień pod kuchnią. Gdyby mógł ją przytulić i ogrzać! To jednak było coś więcej, to był chłód, który rozlewał się od środka i tworzył w Zofii martwe zatruć jeziora, tam gdzie dotąd były jasne polany, sosnowy las o poszyciu pełnym słonecznych plamek. Ignacy mówił, że jeśli umrą, a na to się zapowiada, to żeby wiedziała, że drugiej takiej jak ona nie ma ani w Warszawie, ani nigdzie, i odnajdzie ją wszędzie, nawet w zaświatach, w które właściwie nie wierzył, ale teraz nie jest już taki pewny. Im więcej mówił Ignacy, tym bardziej czuł, że jego słowa są zbyt małe wobec bólu Zofii, który kamieniał za jego plecami; słowa spadały na podłogę, wydając suchy odgłos jak rozsypyany groch. Zosieńka, prosił ją Ignacy i prośbę tę kierował też do czegoś ciemnego w nim samym, co szeptało mu: uciekaj! Zosieńka, w dobrym zle się rozpuści, rozplynie. Zobaczysz! Będziemy chodzić po lesie, jeść zalcwajkę,

posiejemy kwiaty, georginie wielkie jak dziecięce główki, o których mówiłaś, maciejkę, co chcesz. Ale Zofia myślała o karze, takiej karze, jaką straszył proboszcz Zdunek w zaleskim kościele. Ona spada na grzesznych ludzi i jest sprawiedliwa, do niej przyszła w postaci Mańka Gorgóla. Zofia sobie zasznużyła! Skuliła się, bo w ciemności poczuła wzrok strasznego oka, które wszystko widzi. Pukanie było nadzieją, bo śmierć by nie pukała, i Ignacy krzyknął, wejść. Zofia od razu poznała dwóch z trzech chłopców z lasu, którzy weszli do jej kuchni, z Antkiem Cudlakiem i Józkiem Makarą chodziła do szkoły w Zalesiu. Nie odwracając wzroku od jej nagości, przecięli sznury. Okryła się rzuconym jej kocem i nadal milczała, trzęsąc się tak, że aż Józek wyjął piersiówkę i wlał jej do ust trochę wódki. Od tej pory oni przejmą ukrytego mężczyznę, towarzysza Ignacego, który nie jest już tu bezpieczny. Spisała się, będą to pamiętać. Oj, nie zapomną, przewrócił oczami Antek Cudzak, blondyn z zaropiałymi oczami i twarzą tak okrągłą, że można by ją objechać na rowerze, a Józek Makara zaśmiał się jak z dobrego dowcipu. Wojna się kończy, powiedział trzeci partyzant; jego policzek przecinała byle jak opatrzona, świeża, krwawiąca rana i dopiero gdy się uśmiechnął, Zofia rozpoznała w nim Janka Kosa. Wojna się kończy, powiedział, mierzając wzrokiem jej pełną postać, i lepiej, żeby mężowie obcych portek w chałupie nie znaleźli. Ani małego Mojżeszka na podwórku, jeszcze raz rozśmieszył kolegów Antek Cudzak. Nie pożegnali się, Zofia stała z dłońmi zaciśniętymi i spuszczonej oczami, a Ignacy powiedział, dziękuję za wszystko, i już ich nie było. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, kobieta ukucnęła i objąwszy

ramionami kolana, kołysała się w bezgłośnym płaczu. Po udach wciąż płynęło jej świeże nasienie. Rano dowiedziała się od Cudzakowej zza płotu, że Mańka Gorgóla znaleźli powieszonoego na dębie przy rozstaju, z rękoma związanymi na plecach i kartką na piersi Śmierć zdrajcom Ojczyzny. Jego żona, Marysia, ponoć rzuciła się do Pelcznicy, ale ją stary Kobiałka za włosy wyciągnął, obil i zabrał do domu.

Zofia była pewna, że jest w ciąży, zanim jeszcze stara Makarowa pomacała jej brzuch i powąchała siki. Zgodnie z jej zaleceniami próbowała gorczycowych okładów, czosnkowych tamponów i gorących kąpeli z dodatkiem wódki i soli. Wszystko okazało się nieskuteczne. Jeśli płód wczepiony jest tak mocno, że nie pomagają domowe sposoby, trzeba położyć się na torach, koniecznie na plecach, i pozwolić pociągowi przetoczyć się nad brzuchem. Zofia wiedziała o tym, ale od dziecka bała się pociągów. Każda się boi, powiedziała Makarowa, bo lekarstwem miał być właśnie strach. Tuż przed wojną Solasię Cudzak, piętnastoletnią siostrę Antka partyzanta, znaleziono na nasypie bez głowy, a głowę dopiero dwadzieścia metrów dalej, wczepioną żółtymi włosami w gałęzie topoli, bo, przerażona, próbowała pewnie podnieść się w ostatniej chwili i lokomotywa trzepnęła ją w kark. Ponoć niektóre kobiety umierały z samego strachu i znajdowano je nieknięte z wytrzeszczonymi oczami i ustami ułożonymi jak do krzyku. Brzuch Zofii rósł wraz z pewnością, że zmarła matka kazała jej uciec z torów dlatego, iż wiedziała, że ta historia ma jakieś pozytywne zakończenie, jakkolwiek trudno było je dostrzec z perspektywy żywej, ciężarnej i często głodnej córki. Czekala więc Zofia Maślak na Ig-

nacego Goldbauma powolna, puchnąca i piękna, bo przecież żadne pozytywne zakończenie nie mogło obyć się bez niego, tego była pewna.

Gdy skończyła się wojna, chłopcy w Zalesiu i w Brzezynie popili się z radości, postrzelali na wiwat, zabijając przypadkiem bezrękiego Tadzia niemowę oraz dwie kury, a do drzwi domu na skraju wsi zapukał mąż Zofii, Maciek Maślak, nieco wychudły i śmierzdzący, ale w dobrym zdrowiu. Pokonując o świcie ostatni kawałek drogi, myślał na przemian o hodowli królików, białych udach żony i zalewajce z dużą ilością przysmażonej cebuli. Dopiero więc, gdy usiadł do stołu i pojadł, zauważył, że wpatrzone w niego oczy Zofii są zimne jak dwie bryłki lodu i w niczym nie przypominają tych, które widział w jej twarzy parę lat temu. Nie był człowiekiem gwałtownym, więc zamyślił się nad przyczyną tej przemiany, a przez lata wojny nauczył się, że nic tak nie pomaga na myślenie, jak napić się w męskim towarzystwie. Wstał od stołu, westchnął, a to napić się pójde, powiedział i tak też zrobił. Pouczony w Sosence przez kolegów, żeby nie martwić się, póki pewności co do winy Zofii nie ma, tylko wziął pod pierzynę, skroiwszy jej przedtem dupę wojskowym pasem tak na wszelki wypadek, Maciek wracał do domu w lepszym stanie ducha. Szedł drogą wzdłuż Pelcznicy i myślał, że jakoś to będzie. A jeszcze jak odkupi króliki, które Zofia zjadła! Był zmęczony i plątały mu się nogi, więc gdy zobaczył samochód, zatoczył się w kierunku środka jezdni i wyciągnął dłoń, by go zatrzymać. Zaczęło mu się spieszyć do domu, do żony. Kierowca, Kazimierz Maślak, akurat kalkulował zyski z ostatniego interesu. Cóż za wspaniałości można dziś za bimber utargować,

tylko na żydkach szukających schronienia dawało się więcej zarobić. Nie zauważył zdziwienia w niebieskich oczach żołnierza, który myślał, że skoro on widzi samochód, to i jego dobrze widać. Huknęło i poleciał Maciek w kierunku Pełcznicy, w ciemność zielonkawą i straszną, zdążył tylko kilka razy zamachać rękoma, jakby odganiał komary. Kazimierz zatrzymał się, obejrzał ślady krwi na wgniecionym zderzaku, ale oprócz blednących kręgów na wodzie nie było już nic. Trup względnie nieboszczyk, pomyślał i odjechał. Starszego szeregowca Maćka Maślaka, żołnierza, któremu przez sześć lat udało się nikogo nie zabić i który przez największą wojnę w dziejach świata myślał głównie o hodowli królików, gadał o niej bez przerwy nawet w sowieckiej niewoli, poniósł wiosenny nurt. Dopiero późnym latem znaleziono go koło spalonego młyna jego teściów w Brzezynie. Pokryty seledynową rzęsą i wczepiony w młyńskie koło, zniknął i pojawiał się, za każdym razem odrobinę bardziej objedzony przez ryby.

Zofia urodziła dziewczynkę w niczym jeszcze nieprzypominającą Ignacego, ale obdarzoną agrestowymi oczami babki. Dała jej na imię Jadwiga, wołała Jadzia, i mimo starań nie potrafiła pokochać. Dziecko, oficjalnie uznane za pogrobowca Maćka Maślaka, rosło ciche, bułkowate, mało bystre, a matka z przerażeniem w sercu szukała w nim śladów podobieństwa do Mańka Gorgóla. Dziewczynka oprócz oczu nie miała jednak żadnych wyraźnych cech. Raz Zofii wydawało się, że ma usta ładnie wykrojone i sercowate jak ona, kiedy indziej przypominały jej wąskie usta Ignacego i drżała w niepewnej radości, ale bywały dni, kiedy w buzi córki pojawiały się ślimacze

wargi Mańka Gorgóla. Wołała wtedy, chodź no mi tu do światła, mocno brała ją pod brodę i w blasku nowej elektrycznej lampy, której cud nie przestawał jej zadziwiać, oglądała pozbawioną konturów, zamazaną twarz swojego dziecka. Wąchała jej delikatne płowe włosy, miękkie jak świeżo wydarte pierze, z takim grymasem, jakby sprawdzała czystość wychodka, i miała wrażenie, że czuje w nich – ulotny, daleki, ale jednak – smród spalonego mięsa. Krzyczała wtedy, ty zawszony brudasie, i grzała wodę na kąpiel tak gorącą, że zanurzona na siłę Jadzia protestowała, mama, pazi. Kiedyś złapała Jadzię w ogrodzie, jak starą łyżką kopala grób dla kota zamienionego w kłęb szarej sierści i flaków, i w jednej strasznej chwili pomyślała, że oto ma już pewność, ma dowód, bo tylko córka Gorgóla mogłaby zabić własne zwierzę wychowane od małości. Uderzyła ją więc raz i drugi w błąd buzię, aż poszła krew z nosa, zanim okazało się, że kota zagryzł pies Cudzaków, któremu po pięciu latach starań udało się zerwać z wżartego w szyję łańcucha i odbijał sobie katusze niewoli w morderczym szale, aż w końcu go Cudzak zatłukł łopatą. Winna nie winna, będziesz miała na zapas, powiedziała córce, nieco zbита z tropu, i umyła jej twarz gorącą wodą, którą uważała za najlepsze lekarstwo na brud oprócz octu.

Gdy Jadzia dorosła, niewiele się zmieniło. Zofia marzyła skrycie, że jej cicha córka w pewnym momencie ujawni ukryte zdolności; wyskoczą z niej jak odpustowy diabełek na sprężynie i stanie się jasne, że dziewczyna tak wyjątkowa nie może być córką Mańka Gorgóla. Co to by miała być za wyjątkowość, Zofia nie wiedziała, ale rozpoznałaby ją od razu, sęk w tym, że się nie pojawiała.

Nie pojawiała się również zło o zapachu spalonego mięsa, które byłoby oczywistym dowodem ojcostwa Gorgóla, i matka patrzyła na swoją nieokreśloną córkę, nieświadomie wzruszając ramionami i robiąc taką minę, jakby pytała: ki czort?

Zofia wiedziała, że cudzoziemiec, który odwiedził je tak niespodzianie któregoś lata, był w jakiś sposób związany z Ignacym. W przeciwieństwie do Jadzi rozpoznała jego młodość pod zbyt dorosłym ubraniem i dopiero od niedawna gołą twarz pod kapeluszem. Rozpoznała te długie zdania, pełne bocznych furtek i nagłych zakrętów, jakimi nie mówił nikt we wsi prócz księdza, i kolor skóry przypominający lekko zarumieniony chleb. Patrzył na Jadzię tak, jakby w myśli rachował, a Zofia naciskała drylownicę, by zagłuszyć bicie serca. Czy cudzoziemiec odnajdzie w Jadzi ślad Ignacego pod miękką powłoką jej niepodobieństwa? Rozczarowanie cudzoziemca było jak policzek, bo Zofia widziała, że zobaczył w Jadzi nie to, co ona tak bardzo chciała znaleźć.

Jadzia Maślak rosta w przekonaniu, że jej ojciec utonął w Pelcznicy, co odróżniało ją niekorzystnie od innych wojennych półsierot z Zalesia, Kocierzowej i Brzeziny, chwalcących się ojcami zasztyletowanymi, zastrzelonymi, powieszonymi i spalonymi przez Niemców. Gdy już była dorosła, doszła do wniosku, że Maciek Maślak wrócił z wojny tylko po to, by ją pocałować. Zrozumiała, że brak matczynej miłości w jakiś sposób wiąże się z tym faktem, że to ona, Jadzia, przyczyniła się do śmierci tego puciołowatego chłopaka. Na jedynej fotografii, jaka po nim została, odstrojony do ślubu Maciek Maślak patrzył w obiektyw z takim przerażeniem, jakby to był pluton

egzekucyjny, i Jadzia nie umiała sobie wyobrazić, jak patrzyłby na nią. Zawsze wydawał jej się zbyt młody na czyjegoś ojca i dziwnie bezbronny. Od dziecka wymyślała Jadzia heroiczną historię wojenną, broniąc swojego martwego ojca przed nieistnieniem i brakiem miłości, przed którym sam nie mógł się obronić. Mój ojciec był bohaterem, opowiadała w szkole, zabił stu Niemców w pojedynkę. Latał samolotem i strzelał do nich z nieba, trup się gęsto siał, szkopy w gacie robiły ze strachu. Był wprost niesamowicie mądry i odważny!

Gdy Jadzia wyjechała do Wałbrzycha i wyszła za mąż, Zofia zdała sobie sprawę, że poświęciła życie dla dziecka, którego nie nauczyła się kochać; została jej samotność w domu pełnym drewnojadów i rozpadających się mebli. Tylko najwierniejszy adorator, Janek Kos z blizną na twarzy, która wyglądała jak rozkrojona kielbasa, nadal widział w niej najpiękniejszą we wsi kobietę, bo zobaczenie jej inaczej byłoby przyznaniem się do tylu lat zmarnowanych na odrzucane zaloty. Pierwszy raz oświadczył się Zofii pół roku po śmierci Maćka Maślaka, gdy była przy nadziei i Janek Kos też karmił się nadzieją, przygotowując koszulę i przemowę. Dostał od kuzyna ze Skierniewic butelkę jeszcze przedwojennej wody Żorż i skropił się nią obficie, choć uważał, że perfumy to babska rzecz. Łudził się Janek Kos nawet, że straszna blizna na policzku może w oczach kobiety dodać mu męskości, odjętej przez kaleką nogę. To nie było jaka blizna, lecz odniesiona w zwycięskiej walce z wrogiem ojczyzny. Gdy podeszli do leżącego na ścieżce Mańka Gorgóla, wydawało się, że jest skutecznie ogłuszony, jednak zanim skopali go tak, że błagał o śmierć, plując

zębami i sypiąc nazwiskami, zdążył sięgnąć po nóż. Zofia przyjęła Janka Kosa pod orzechem, gdzie obierała grzyby do suszenia, popatrzyła na źle wyprasowaną koszulę i pomyślała, że nie mógł wiedzieć, jak bardzo nienawidzi ona zapachu wody Żorż. Odrzuciła oświadczenia, ale poczęstowała adoratora z litości talerzem zalewajki ze skwarkami, który Janek Kos zrozumiał jako wahanie i zapowiedź jej zgody w przyszłości. Przychodził więc do domu na skraju wsi z praktycznymi prezentami w formie pęta kielbasy czy mostka cielęcego, co rok, dwa oświadczając się Zofii w tej samej wyjściowej koszuli i tymi samymi słowami. Dla Jadzi miał a to lizaka kogutka, a to parę landrynek w papierowej tutce i myślał, że ze swoimi jasnymi oczami i włosami jak kaczy puch jest nawet do niego odrobinę podobna. Mógłby być jej ojcem, gdyby tylko Zofia chciała. W którąś Wielkanoc przyniósł Zofii dar nie byle jaki, bo całą walizę tekturową pokrojonych w eleganckie plasterki szynek, salcesonów ozorkowych, baleronów, kiszki z wątróbką, kielbas rozmaitych, z pięknymi różami wyciętymi z marchewki i zieleniną. Kuzyn jego ze Skierniewic, robiący karierę w partii, żenił się z córką dentysty i wyprawił weselisko na dwieście osób z wynajętą orkiestrą, o którym później przez rok się mówiło. Niektórym to się żyje! Skarżył się potem Janek Kos w gospodzie Sosenka, że wdowa po Maślaku harda i zaparta. Nawet cały garnitur najprzedniejszego garmazu nie był w stanie odmienić jej serca. Tłumaczyli mu, że Zofia Maślakowa coś musi mieć tam nie tego, bo ani starego Cudzaka nie chciała, ani młodego Kukulki, co to kolejarz, dobra partia, wiadomo, że pociągi zawsze będą jeździć. Ba, ponoć nawet

zastępcę dyrektora fabryki ceraty z Kocierzowej odrzuciła, gdy przyjechał, by ją o rękę prosić, i zaraz, natychmiast z dzieckiem chciał brać, ale to wszystko nie mogło pocieszyć Janka Kosa.

Chwiejnym krokiem wracał do domu, kopał psa, który wypadł mu na powitanie z wciąż odnawiającą się psią nadzieją, i padał na łóżko, gdzie czekała wierna i czujna, trapiąca go od wojny bezsenność. Leżał z otwartymi oczami, pod językiem zbierał mu się piasek. W domu Janka Kosa niezależnie od pory roku było duszno, jakby zamiast powietrza wypełniał go kłęb waty. Śmierdziała benzyna do traktora, którą trzymał w kanistrze pod stołem, i mocz zaschnięty na rzadko pranych spodniach, bo spodnie niszczą się od prania. Poza tym, kto miał mu prać? Niedługo po wojnie Janek Kos najął do pomocy bliźniaczki z Brzeziny. Bezdomne, białowłose i chude zawsze były razem i patrzyły na świat czworgiem identycznych oczu w kolorze wody; jeśli ktoś chciał do pomocy nająć tylko jedną osobę, zgadzały się dzielić na pół zapłatę i talerz zupy. Latem tułały się od chałupy do chałupy w Zalesiu, Brzezynie i Kocierzowej, a na zimę znikwały, by wrócić w porze pęknięcia lodów. Lekko cuchnące pleśnią i wilgocią, z liśćmi w skołtunionych włosach, szły przez wieś ramię w ramię i pytały zza płotu unisono, czy nie ma dla nich roboty. Wyglądały na zaspane i co rusz targały powieki; może spały z borsukami w jednej z piaskowych jam nad Pełcznicą i obudziło je dopiero trzaskanie lodu. Siostry były nie do odróżnienia, więc nikt nie odczuwał potrzeby używania ich imion, które kiedyś pewnie miały, ale co komu po nieużywaniu imienia; imię to jedyna rzecz, która w użyciu się nie zużywa. Ludzie we wsi

mówili na bliźniaczki te albo białe i wołali po prostu, a podejdo tu do plotu! Albo – niech ido gđzi indzi, nie dla nich ni ma! Umiały hakać, siać i plewić, prały, dały pierze i farbowały, rąbały drewno i macały kury, umiały odebrać krowi poród i rozproszyć ludzką samotność. Nikt tak jak one nie ukisił kapusty i mówiono, że tajemnica tkwiła w deptaniu na cztery nogi w rytmie znanym tylko białym bliźniaczkom, które stopy miały duże i płaskie, z chwytnymi palcami. Gdy Zofia pogardziła garniturem garmazu przybranego marchwiowymi różami, Janek Kos wynajął do pracy bliźniaczki, by zajęły się jego zapuszczonym gospodarstwem i domem. Spały w stodole, a w dzień uwijały się w zgodnym rytmie i co rusz wybuchwały śmiechem, a przestawały chichotać też jednocześnie. Po jakimś czasie Janek Kos zaczął przyzwyczajać się do ich obecności i doceniać to, co cztery kobiece ręce uczyniły z jego obejściem. Patrzył, jak bliźniaczki myły się koło studni, i z daleka, w ostrym porannym słońcu i rozpryskach wody, wydawało mu się przez chwilę, że widzi jedną tylko kobietę, podobną trochę do Zofii. Na targu w Skierniewicach kupił bliźniaczkom dwa sznurki obwarzanków i tyleż sznurów plastikowych perełek, w które się od razu ustroiły, robiąc do siebie nawzajem miny, jakby przeglądały się w lustrze. Gdy tej nocy przyszły do niego, Janek Kos nie zdziwił się specjalnie, bo wieczorem popił w Sosence i myślał, że nadal śni sen, w którym kocha się z dwiema kobietami w różowych perełkach na szyi. Całe lato bliźniaczki spędziły u Janka Kosa, gdzieś koło sierpnia gotów był jedną z nich zatrzymać na dłużej. Nie był pewny, czy chce zrobić Zofii na złość i wzbudzić jej zazdrość, czy właśnie o niej za-

pomina i godzi się z losem. Gdyby to od niego zależało, żyłby nadal z dwiema siostrami, które przychodzą nocą i znikają przed świtem, bo taka miłość wydawała mu się nie do końca prawdziwa i niewymagająca, ale wiedział, że nie może trwać za dnia. Którą wybrać z dwóch identycznych sióstr, tego jednak Janek Kos nie wiedział. Próbował zdać się na los i wziąć tę, która pierwsza sięgnie po kubek ze zsiadłym mlekiem albo do miski z ziemniakami, ale sięgały jednocześnie i zderzały się łyżkami. Dręczyła go ta niemożność i już prawie był gotów poradzić się Zofii, ta czy ta, ale nigdy nie brał pod uwagę, iż siostry mogą być bardziej przywiązane do siebie niż do niego. Przecież on miał ziemię i chałupę, jaka by była, a one nie miały nic. Zanim w końcu podjął jakąś decyzję, jabłka zaczęły opadać w sadzie, a od pół powiało dymem i bliźniaczki powiadomiły go, że są w ciąży. Obie? Obie. Przez moment wyobraził sobie swoją rodzinę z żoną podwojoną i dwoma brzuchami, z których kto wie, ile mogłoby wyjść dzieci weselszych i bystrzejszych niż milcząca i powolna córka Zofii. Jaka tam córka, samych synów by miał. Urośliby, dobudowałby dom obok, cóż to byłaby za rodzina, największa w całej wsi! To jednak nie mogło się zdarzyć, a proboszcz Zdunek od kilku niedziel wylawiał Janka Kosa wzrokiem podczas mszy za każdym razem, gdy mówił o grzechu. Jedna tylko bliźniaczka zostać może z nim w Zalesiu, druga dostanie na zabieg, na pociąg do Skierniewic i niech tu nie wraca. Która, niech siostry między sobą to rozwiążą, rzucił Janek Kos na stół banknoty i poczuł, że odzyskał kontrolę nad sytuacją. Wychodzi, a jak wróci, ma być jedna w chałupie, a po drugiej ani śladu, powiedział, nie patrząc na żadną,

i trzasnął drzwiami. Gdy wrócił z Sosenki, dom był pusty, a bliźniaczki zniknęły razem z pieniędzmi, dwiema zmianami pościeli jeszcze po matce Kosowej i z zapasem cukru. Janek Kos rozejrział się po chałupie i zrozumiał, że popełnił błąd. Czekal z nadzieją, że siostry jednak wrócą, niechby już były nawet dwie, ale nie pojawiły się w Zalesiu ani tej, ani następnej wiosny. Próbował je znaleźć, pytał w sąsiednich wsiach i pojechał do Skiernewic, ale to na nic się nie zdało; przepadły. Po jakimś czasie Janek Kos zaczął więc znów pojawiać się u Zofii z mięsnymi darami, a jej odmowy nie podsycaly już miłości, lecz karmiły złość; tykał ją razem z zalewajką, którą go częstowano.

Stracone bliźniaczki, wesela synów, których nie wyprawi, przeciekający dach i brudna pościel, z której wypraniem wciąż zwlekał. Stonka! U niego najgorsza. To musi być czyjaś wina; tarł knykciem bliznę, a gorycz przelewała się w nim i gęstniała, wypełniając ostatnie miejsca, gdzie jeszcze było światło i powietrze. Zakłęsał się powoli do środka, jakby wszystko ciążyło w nim ku wewnętrznej ciemności. Jego twarz traciła rysy, zacierała się i coraz częściej go nie poznawano albo brano za kogoś innego. Barmanka w Sosence pytała, a pan to chyba chory czy coś, panie Janku, bo jakiś taki zmieniony na twarzy, jakby nieswój. Twarz Janka Kosa mogła teraz należeć do kogokolwiek, wyróżniała go już tylko blizna jak pęknięcie na kamieniu. Nadzieja Janka Kosa umarła tego lata, gdy Jadzia po raz pierwszy przywiozła do Zalesia swoją kilkuletnią córkę Dominikę. Zobaczył w ogrodzie Zofii, wśród monstrualnych georginii, chudą dziewczynkę niepodobną do nikogo ze wsi, a już najmniej do

Maćka Maślaka. Dziecko spojrzało na rozoraną twarz wystającą znad płotu, a Janek Kos poczuł, jak gorycz zmienia się w nienawiść palącą jak najlepsza wódka. Żydowskie dziecko w ogrodzie Zofii? Żydowska wnuczka? Po Jadzi przecież nic znać nie było i ludził się, że jak nie mężowska ona, to może chociaż Gorgóla, który choć zdrajca, to przynajmniej był tutejszy, polski. Już mu Kazimierz Maślak mówił, że z tymi Żydami w wojnę to trochę nie tak. Nie tak znaczy, żeby tacy biedni, skrzywdzeni niby, a Maślak to ma łeb. Bo raz, że wiadomo, że pieniądze mieli. Podobno w tym Oświęcimiu to całe góry złota z walizek wysypywali. W kolejce stali i wysypywali, po niebo rosta kupa złota, a jak lśniła w słońcu. Kamieni w pierścionkach ile tam było, sreber z prawdziwego srebra, obrazów cennych, powozów konnych malowanych. A jak są pieniądze, to wiadomo. Zresztą tam głównie Polacy zginęli, co ich Żydzi wydali Niemcom, jeśli już, a nie odwrotnie. Całe rodziny ginęły, dzieci, matki, babcie do gazu, a co po nich zostało, to kto teraz ma, jak nie Żydy. Nawet sam Hitler zresztą na Niemca nie wyglądał i kto wie, kto za tym stał, bo Niemiec to Fryc ma być wysoki, postawny, blondyn niebieskooki. A teraz, po wojnie, Polacy będą klepią, on na przykład – woda w chałupie na głowę mu się leje i nie ma komu załatać, stonka żre ziemniaki, jakby z nieba spadała, że nie wybierasz. Czy taki Żyd ma stonkę? Nie ma! Oni w Ameryce, te Żydy, w Ene-refie czy Palestynie jakiejś szynki mają, pomarańcz, papierosów z filtrem po uszy, a w każdej chałupie łazienka, lodówki napchane na co dzień jak przed świętami, że nawet jego kuzyn pierwszy sekretarz tak nie ji. Obżerają się, sztabki złota liczą, a Jezusa kto zabił? Swojego by

nie zabili, więc tam gadanie takie, że niby Jezus też Żyd, jakiś Żyd, prędzej Polak. Nasi to wszędzie wejdą. To dobrze, że ich stąd wypędzono, mośków, gudłajów, chociaż najwyraźniej nie wszystkich, bo ten na przykład nowy nauczyciel z Brzeziny to ani do kościoła, ani do Sosenki, i baczki takie jakby kręczone. Czy ta z pocztą. Żeby baba w tym wieku bez męża, dzieci. Nie zdziwiłby się Janek Kos, gdyby wyszło na jaw, że to przez nich, przez Żydów ta bieda, dziura w dachu i stonka. Oni umią tak gadać jak w telewizji, tak w głowie zakręcić jak ten Ignacy, co to jeszcze chwila, a by się wydawał jak inne chłopaki z lasu, a nie obcy. Ci od Kukulki się nie cackali, nie. Trafiał im się Żyd w lesie, dostawał czapę i tyle. Widział ktoś? Słyszał? Gównu tam słyszał! A jak nawet, to się wyprą. Że niby co, bohaterów za żydka będą sądzić? Akurat. Ale ich dowódca się uparł, że jak który rękę podniesie na Ignacego, to sam zastrzeli, choćby od dziecka znał. Sowa na niego mówili, niby taki mądry. Mądry! Ślepy prędzej jak sowa w dzień. I przez Sowę puścili Żyda na jego, Janka Kosa, udrękę, na jego życie zmarnowane. Jak pytał potem Żyd w liście z Ameryki, to co, miał mu prawdę powiedzieć, że Zofia żyje? Niedoczekanie jego. Co do niego, Janka Kosa z Zalesia, to on swoje zdanie ma – oni sobie wszyscy tak to wykombinowali, te Żydy, jak Ignacy. To spisek taki był żydowski, żeby dupę w troki i do Ameryki, Enerefu czy Palestyny, a tu dzieci sobie porobić, wnuki zostawić, żeby cały świat zająć. Żydowski potop zrobić. Polskę, co powinna być dla Polaków i polskich dzieci z polskich matek, chcą zżydzić. Jego Zofię zżydzić, jego ziemię. Janek Kos nadal przychodził do Zofii, ale karmił jej widokiem male czarne zło, które urodziło się w jego środku i rosło.

wydawało na świat przerzuty. Litość nie pozwoliła Zofii go dostrzec, bo łudziła się, że zło jest zawsze oczywiste i śmierdzi spalonym mięsem, że skacze wprost do gardła i nie je zalewajki przy stole, chwając, że pyszna. Zło nie przynosi grzybów w koszyku wyłożonym liśćmi, nie mówi pochwalony. Dziwiło ją, że mała Dominika obserwuje Janka Kosa zza georginii, zawsze z bezpiecznej odległości, a podrośnięta nie umie ukryć grymasu niechęci. Nie bój się, on brzydki i pośmierduje, ale pocziwina, thimaczyła wnuczę, którą przerażała nie blizna, lecz fakt, że twarz znajomego babki coraz bardziej przypominała polny kamień, gładki i martwy.

XVI

Obietnica Haliny się nie spełniła i Dominika nie wyjaśniała na słońcu jak praciotka z albumu starych z pościagu. Przeciwnie, to, co w niej kiedyś było złotawe, szerniało, ostre wyostrzyło się, dziwne zdziwniało. Jej walka z nadmiarem ciemnych włosów dopiero się zaczynała. Co kilka dni rozrywała pensetą linię brwi zrastającą się uparcie nad nosem, a czerwone ślady po wyrwanych włoskach krwawiły jak ukłucia cierni.

Wykazywała rosnącą z wiekiem skłonność do opowieści, ale o ile te, które kochała Jadzia, mówiły o przyszłości i dotyczyły przede wszystkim Dominiki, o tyle Dominikę interesowała przeszłość każdej rzeczy i żyjącej istoty. Gdzie rosło, jakie soki пило drzewo, z którego zrobiono jej krzesło? Był to las dobry czy zły, jaki

wzór wycinały w nim ścieżki? Jakie pola porastał, pod jakim wiatrem ugiął się len na zasłony z opartowskim wzorem? Czy były to pola górskie, czy nizinne? Siał len ktoś szczęśliwy czy smutny? Do jakiego życia wracały po pracy tkające go tkaczki? Do dobrego, z uśmiechem, do takiego sobie, z siatkami pełnymi ziemniaków i kapusty? Jaki ciąg zbiegów okoliczności i objawień, przypadków i konieczności złożył się na jej, Dominiki Chmury, bycie tu, na Piaskowej Górze? Jakiego drzewa jest gałązką? Czy wśród prababek i praciotek był ktoś, w kim jej dziwność po raz pierwszy wykiełkowała i wyrosła tak, że mogłaby poprowadzić linię, niechby kręta była, porwana, i pokazać – to zaczęło się wtedy i wtedy. Stąd pochodzę, oto mój początek, mój ród. Czy były tam, w przeszłości, biegle w liczeniu siostry przesiewające mak, znachorki od ziół i księżycy, czy były babki pobożne, babki, które liczyły grzechy bez liczydła? Babki Potęgowe czy były? Domy, do których można wejść, zrzucić buty i zostać, bo są dobre, czy domy pełne przeciągów i krzyku? Okna były otwarte na park? Mansardy? Czy białe firanki jak żagle nadymał wiatr? Cyganki z taboru, które wróżyły z rąk? Cyganki w spódnicach, kolczykach jak słońca, co pojawiały się i znikaly, bo nie musiały nigdzie być? Cyganki nieosiadłe, którymi straszili – przyjdą po ciebie, zabiorą – a Dominika czekała, czekała i nic. No więc jak to było? Były matki karmiące, otoczone dziećmi wtulonymi w nie jak ziarnka w kłosie, czy szalone jakieś wędrowniczynie, samotne na statkach, z włosami na wiatr, przemierzające pustynie, piszące coś w notatnikach oprawionych w skórę? Gonily ogon zjaw? Warzyły mleko? Były bliźniaczki nie odwrotne, lecz identyczne, o ciemnej skórze

i oczach tak czarnych, że tęczówek nie sposób odróżnić od żrenic? Byli ojcowie niepijący, żywi, były matki, które nie dają ani za dużo, ani za mało?

Dominika przekopała mieszkanie Haliny i ubogie pamiątki matki, ale nic nowego nie znalazła ani w ponie mieckiej szafie, ani w tekturowej walizce, z którą Jadzia przyjechała przed laty z Zalesia, by zamieszkać na Piaskowej Górze. Szukała tajemnicy swojego niepodobieństwa w rozpadającym się domu Zofii, u której spędzała wakacje. Zanurzała dłonie w otchłani szuflad wypchnych króliczymi skórkami, zaglądała za powieszzone po wiejsku obrazy, gdzie Zofia upychała co roku bukietiki święcone na Matki Boskiej Zielnej i od pół wieku nie wyrzuciła żadnego. Wyszły na pieprz rośliny rozpadały się w palcach wnuczki. Rozwarstwiała pleśniejące papiery do pakowania chomikowane przez babkę, tak jakby w niedalekiej przyszłości szykowała się do wielkiej przeprowadzki, i ploszyła mole o przejrzystych skrzydłach, te żyjące w ciemności duchy owadów, które giną w słońcu. Nie bójcie się, uspokajała myszy czmychające z gniazd uwitych w króliczych skórkach, gdzie zostawały tylko ich bezwłose piszczące niemowlęta. Po co babci te stare skórki? Babka wzruszała ramionami i uśmiechała się swoim dzieciennym uśmiechem, który Dominikę wzruszał i denerwował. Gdy Dominika była w Zalesiu, uśmiech właściwie nie schodził z twarzy Zofii. Nieraz wnuczka wołała ją bezskutecznie, szukała po domu i w końcu znajdowała w jakimś kącie z mokrymi oczyma i uśmiechem szerokim jak do zdjęcia.

Zofia nie mogła mówić o uldze, jaką czuła za każdym razem, gdy patrzyła na Dominikę, bez opowiedze-

nia wszystkiego, i miłość sączyła się z niej bez słów, tak że zostawiała za sobą złote smugi, jak brokat osypany z choinki. W kurzu, który wzbijał się przy każdym ruchu powietrza w rzadko zamykanym domu, tańczyły lśniące drobiny i osiadały na zniszczonych sprzętach. Zofia Maślak stała się na powrót kobietą, pod której ręką chleby rosły okrągłe i złote, z misternym żyłkowaniem liści kapusty odcisniętym na spodzie, kury niosły się dwa razy dziennie, a jabłonie owocowały najobficiej w Zalesiu. Jej ogród odzyskał dawną świetność, ale wkraśl się do niego twórczy nieład i fantazja. Grządki straciły czworokątny kształt, rozmywały się falistymi strugami truskawek, spośród których wystrzeliwały pióropusze marchewkowych liści i fontanny różowych orlików. Dynie wielkie jak cieleta wygrzewały się w słońcu wśród kwiatów. Maślakowa zdurniała do reszty, kręcili głowami sąsiedzi, mówiono jej wyrośnięcie w takim burdelu. Ale rosło, rosło dziko i szaleńczo, jakby rośliny chciały sobie odbić lata półsnu albo wiedziały, że nie mają dużo czasu. Aby nazbierać ogórków na mizerię, trzeba było ich szukać w gęstwinie georginii wielkości ludzkiej głowy, a gdy już się znalazło ogórczane pędy oplątane wokół łodyg, ich owoce okazywały się ponad miarę wyrośnięte, o różowawym miąższu i smaku melonów. Obu rąk wymagało wyrwanie marchewki, a jej korzeń, większy niż normalnie i doskonale prosty, paelniał pomarańczową skórą. Winośl oplótł drewniany dom Zofii, związując go jak paczkę sznurkiem i ratując przed rozpadem. Pędy wchodziły przez szpary w oknach, zapuszczały się do pokoiów, a ich bladezielone listki zaskakiwały Dominikę w szufladach z pościelą albo rękawach nienoszonych ubrań.

Babka i wnuczka nauczyły się komunikować w sprawach błahych w taki sposób, jakby mówiły o rzeczach ważnych, a siła tego porozumienia leżała bardziej w gestach i intonacji niż wypowiedzianych zdaniach, które pełniły funkcję zastępczych opakowań. Chodziły do lasu zaczynającego się zaraz za ogrodem, by zbierać sosnowe szyszki na rozpalkę, albo wybierały się dalej po maliny rosnące koło krzyża i kamienia, na którym wśród pięćdziesięciu siedmiu innych zostały wyryte nazwisko Strak oraz imiona: Adam i Jadwiga. Babkę i wnuczkę rzadko ktoś odwiedzał. Najczęściej pojawiał się Janek Kos, który przynosił im koszyk grzybów albo jeżyn i stał chwilę przy furtce, nigdy nie zwracając się wprost do Dominiki, jakby była tylko jednym z kwiatów w zwariowanym ogrodzie babki. Gdy nie miał Zofii nic do dania, nawet nie podchodził do furtki, tylko zatrzymywał się przy płocie. Pozdrowiał je uniesioną dłonią i stał przez dłuższą chwilę bez słowa. Dominika widziała go nawet nocą – samotną, nieruchomą postać wpatrzoną w ciemność. Zofia z wnuczką zaglądały tylko do pani Gorgółowej, samotnej płochliwej staruszki w wieku Zofii, która nosiła sztuczną szczękę na sznurku na szyi i sprawiała wrażenie porośniętej mysia sierścią. Trzeba było bardzo uważać, by jej nie przestraszyć, bo nawet kiedy upadła łyżeczka, podskakiwała, chwytając się za serce, i mówiła, ale się złakłam! Częstowała je herbatą w wyszczerbionych szklankach i czekającym pośrodku stołu tęczowcem, weselnym wiejskim ciastem z kremem w pięciu kolorach, słodkim, że cierpły zęby, przygotowanym w oczywisty sposób na ich cześć. Zjadały więc po kawałku i godziły się na dokładkę.

Tym bardziej były zdziwione, kiedy w któreś wtorkowe południe, gdy siedziały pod orzechem, drylując wiśnie na konfiturę, Dominika z wiankiem z rumianków na głowie, a jej babka w starym słomkowym kapeluszu, przed ich domem zatrzymał się samochód, a jego kierowca zawołał od furtki, pani Zofia Maślak? Jaskółki krzyczały na burzę, ale słońce wciąż kapalo jak płynne szkło i trzeba było mrużyć oczy, by zobaczyć krępego mężczyznę z torbą na ramieniu. Zofia przyjrzała się swojskiej twarzy gościa, która przypominała ziemniaka modraczka, zaciekom potu na koszuli w kratę i pomyślała, że w niczym nie przypomina cudzoziemca, który w tym samym miejscu i tak samo nagle pojawił się ponad dwadzieścia lat temu. Sprawa, jaką ma do niej, musi więc należeć do gatunku pospolitych i co najwyżej trzeba będzie wyłożyć parę groszy na to czy owo. Albo posłać w diabły jak tę młodą parę z aparatem fotograficznym, która pytała zeszłej wiosny, czy Zofia nie chciałaby sprzedać domu, i którą pogoniła miotłą tak, że na pewno nie wróci. Miastowe zasańce jedne! Nieznajomy nazywał się Marek Czerwiński, historyk, podał Zofii wizytówkę, którą niezdarnie schowała do kieszeni fartucha, bo nie nawykła, żeby jej kto tak poważnie jak mężczyźnie tu ścisnął rękę, a tam dawał wizytówkę, że czort wie, jak się zachować i co z tym papierkiem zrobić.

Nie przyjechał, by namawiać Zofię do sprzedania domu, co do tego może być spokojna, bo ma do niej zupełnie inną ważną sprawę. Przybysz usiadł naprzeciw babki, wnuczki i miski wiśni, przy stole pod orzechem, bo skoro przyjechał w ważnej sprawie, to proszę bardzo, niech siada, gość w dom, Bóg w dom. Wypił

szklankę zimnego kompotu rabarbarowego i pochwalił, że pyszny, dziś rzadko już takiego można skosztować, zwłaszcza w mieście. Uśmiechnął się raz jeszcze uspokajająco i powiedział, że jest przyjacielem pana Ignacego Goldbauma. W ciszy, jaka zapadła nad stołem przykrytym brzydką ceratą w kratę, historyk Marek Czerwiński zastanawiał się, czy dobrze ocenił tę starą nimfę ogrodową o twarzy pełnej wątrobowych plamek, wyczuwając w niej od pierwszej chwili coś twardego i jasnego jak diament. Pisał książkę o Polakach ratujących Żydów podczas wojny i chętnie ruszył wątkiem śladem Zofii Maślak z Zalesia, o której pamięć zachował wdzięczny żydowski lekarz poznany w Berkeley. Ten pierwszy zamorski wyjazd Marka Czerwińskiego, możliwy dzięki zaproszeniu od kolegi z podziemia zwanego Bocianem, pozwolił mu spotkać ocalonych, bo ocalający częściej zostawali tam, gdzie byli. Marek Czerwiński nieraz już odnajdywał zmarłych w dobrym zdrowiu i żywych martwych za życia, a po ośmiu latach spotkań z jednymi i drugimi nic go nie dziwiło. Z takim samym spokojem pukał do drzwi w blokach z wielkiej płyty, kamienicach pokrytych liszajem i nowych strzeżonych osiedlach z placami zabaw, na których nigdy nie bawiły się dzieci. Bywało, że ludzie wypierali się ratowania Żydów i nie chcieli z nim rozmawiać w obawie, że sąsiedzi dowiedzą się i będą zazdrościć, bo pomyślą, że się na tym obłowili, albo, co gorsza, nabiorą podejrzeń, że ci, co pomagali, to pewnie też jakoś nie do końca swoi. Bo czy swoi by dla obcych karku za friko stawiali? Usta niechętnie zaciskały się w kurzą dupkę. Niech pan już stąd idzie i nie wraca, słyszał nieraz od synów czy siostr bohaterów. Jeśli nawet,

to było dawno i w ogóle nieprawda, a my nic z tego nie mamy. Ale może mieć moglibyśmy coś? Złe oczka rozbiegane między chciwością a strachem wybiegały mu na spotkanie w blokach z wielkiej płyty, zasikanych kamienicach i ogrodzonych osiedlach z budkami strażników i kodami, które zaczęły wyrastać w dużych miastach Polski i wyglądały jak szpitale psychiatryczne albo więzienia na Zachodzie, choć miały wyglądać elegancko i drogo. Był ciekaw Marek Czerwiński, czego może spodziewać się po Zofii Maślak i dziwacznej dziewczynie, nie do zdecydowania, ładnej czy brzydkiej, patrzącej na niego w napięciu. Ignacy umarł? wyszeptala Zofia i zasłoniła usta ręką, jakby bała się, że pytania, które nurtowały ją przez ponad czterdzieści lat, wystrzelą z nich jak pestki z wiśni. Jaki Ignacy, babciu? zapytała Dominika. Na pytające spojrzenie dziennikarza Zofia kazała wnuczce zostać przy rozmowie, ho pomyślała, że co komu pisane, temu w wodę kamień, i skoro tajemnica dojrzała tego właśnie lata jak wiśnie na konfiturę, nic się nie da zrobić. Zdjęła poszarpany słomkowy kapelusz i poprawiła warokoczek, by prezentować się godnie w obliczu przeznaczenia w osobie historyka Marka Czerwińskiego, który dla niej pozostanie Modraczkim. Nie, Ignacy Goldbaum nie umarł, ma się dobrze, a wizyta Marka Czerwińskiego wiąże się z życiem uratowanym przez Zofię, a nie śmiercią. Jaki Ignacy, babciu? ponowiła pytanie wnuczka w wianku. Ignacy Goldbaum, odpowiedziała jej babka i westchnęła westchnieniem ulgi, które się naczekało. A więc znała pani pana Ignacego Goldbauma. A znała, potwierdziła Zofia. Od września 1944 do kwietnia 1945 roku przechowywała go w tym domu, ona sama, nikt

o tym nie wiedział. Pokazała ręką na swój dom, jakby w grę mógł wchodzić jeszcze jakiś inny przez nią posiadany. Na strychu? Na strychu. Na strychu? powtórzyła Dominika, Ignacego Goldbauma na strychu? Historia nikomu nieopowiadana zaczęła płynąć z Zofii jak Pelcznica w marcu, jak pięknie było ją w końcu opowiadać, gdy złe wyszło na dobre, a po smrodzie spalonego mięsa nie został nawet ślad. Pamiętała dzień i godzinę. Takich dni i godzin się nie zapomina. Tylko pół kubka mleka miała, przygrzała, rozrobiła z wodą, nawet barszczu na zalewkę nie miała. Żałowała, że akurat nie nastawiła. Tak to jest, niby zawsze miała w spiżarni, a jak trzeba, to nie. Wieści czy miała? Zofia opuściła oczy i wątrobowe plamki utonęły w wiśniowych rumieńcach. Ostatnio trzy listy. Listy, babciu? Czy wiedziała, że ryzykuje życie, pomagając Żydowi? Nie myślała o tym? Co komu pisane, temu w wodę kamień? To bardzo ciekawe, Marek Czerwiński nigdy nie słyszał takiego powiedzonka, ale mu się podoba. Proszę bardzo, może go używać! Zofia uśmiechnęła się i Marek Czerwiński przez moment wyobraził ją sobie sprzed czterdziestu lat, z rumianą twarzą w kształcie serca i biodrami jak kołyska, spojrzał jeszcze raz na Dominikę, jej opaleniznę i włosy w kolorze czarnej kawy. Został lekarzem? Zofia zadała pierwsze pytanie z taką nieśmiałością, z jaką przez pierwsze tygodnie zwracała się do Ignacego, zanim przekonała się, że potrafi on nie tylko opowiadać, ale i skłonić ją do mówienia, tak że nie czuła się głupią dziewczyną po paru klasach wiejskiej szkoły. Tak, Ignacy Goldbaum przez całe życie pracował jako lekarz i uczył przyszłych lekarzy. Teraz przeszedł na emeryturę, mieszka w małym miasteczku w południowej

Kalifornii. Miasteczko nazywa się Pasadena. W Ameryce? W Ameryce, nad oceanem, babciu, Dominika uprzedziła Marka Czerwińskiego. Ma dorosłych synów, Davida i Joshua, jeden też został lekarzem, a drugi matematykiem, i młodszą córkę Ruth, studentkę astronomii. Czy Zofia chce zobaczyć zdjęcia? Matematykiem? Marek Czerwiński spojrzał na podłotkę o za dużej głowie i szyi żyrafki i zrozumiał. Zadośćuczynienie, to słowo wyłowila Zofia z dalszej przemowy Marka Czerwińskiego i jej nakrapiana twarz poczerwieniała tak, że znów nie było widać wątrobowych plamek. Ja tego dla pieniędzy nie robiła i nic nie weznie, rzuciła i zawstydzila się jeszcze bardziej, zdawszy sobie sprawę, że jej wypowiedź zabrzmiała po chamsku i głupio. Babciu, Dominika przykryła jej dłoń swoją z wyjątkową u niej czułością, posłuchajmy pana dalej, babciu. Marek Czerwiński miał świeżo w pamięci przypadek wnuka z podwarszawskiej willi z dwiema basztami, który przedstawił mu w formie drukowanej, ile, jego zdaniem, należałoby się na dzisiejsze pieniądze z uwzględnieniem kursu dolara i inflacji za Żydówkę z dzieckiem, której życie uratowała jego dawno zmarła babka na tej samej ziemi, ale w chałupie, nie w pałacu. Ma pani bardzo odważną babcię, powiedział, patrząc na wnuczkę. Babcię bohaterkę. Takie duże słowa, zdziwiła się Zofia na tę odwagę i bohaterkę. Ja go wzięła z litości, bo jak to tak było człowieka chorego na progu zostawić, Żyd nie Żyd, tłumaczyła niezdarnie. Dopiero fakt, iż każdy, kto uratował Żydowi życie, ma swoje drzewko oliwne w Izraelu, przemówił jej do wyobraźni, mimo że oliwki kojarzyły jej się tylko z dziwnym w smaku zielonkawym olejem, jaki kiedyś kupiła przez pomyłkę zamiast rze-

pakowego, bo cholera wie, co teraz w tych sklepach sprzedają. Co drzewko, to drzewko, a zwłaszcza takie, które może żyć tysiąc lat i więcej. Szkoda tylko, że to taki świat drogi z Zalesia, bo gdzie jej tam na stare lata jeździć po świecie, nawet gdyby kto za to zapłacił. A do samolotu to już na pewno nie wsiądzie! Marek Czerwiński zostawił Zofii dwa zdjęcia, na mniejszym był sam Ignacy, prawie tak samo chudy, jak pamiętała, ale z włosami białymi jak mleko, a na większym ten sam Ignacy z rodziną, żoną w eleganckiej sukience i okularach słonecznych, córką oraz dwoma synami. Wyższy i starszy był cudzoziemcem, który kiedyś, ile to już lat, pomyślała Zofia, usiadł na chwilę pod tym samym orzechem i jadł wiśnie maczane w cukrze. Młodszy, o wiele bardziej podobny do ojca, miał jego oczy i usta, a córka wyglądała jak starsza i wypolerowana wersja Dominiki. Gdy niespodziewany gość znikł za furtką ogrodu, wnuczka i babka zostały przy stole i siedziały tam, trzymając się za ręce w milczeniu, tak długo, aż pierwsze krople deszczu zaszumiały w liściach orzecha.

Tej nocy Dominika czytała trzy listy, jakie do jej babki napisał jej dziadek Ignacy. Wpatrywała się w podobieństwo i w zarys domu, w którego oknach odbijało się słońce Kalifornii, i do krwi obgryzała paznokcie, bo na zdjęciu rodziny Goldbaumów znalazła coś, czego nie było nawet w albumie starych z pociągu. Córka Ignacego mogłaby być jej starszą siostrą, a była przyrodną siostrą Jadzi. Dominika ustawiała swoją nową rodzinę, szukając własnego miejsca. Między nią a tą rodziną, do której pasowała, była Jadzia, i Dominika, lękając ły, próbowała wyobrazić ją sobie pomiędzy Davidem a Joshua,

w garsonce bukle lilaróż uszytej przez Modestę Ćwiek z Piaskowej Góry.

To się Jadzia doczekała! Po co ty się, córcia, tak w tej przeszłości lubisz babrać? pytała Jadzia córkę od chwili, gdy ta zaczęła jej opowiadać o ciotkach i kuzynkach z albumu starych z pociągu. Jadzi wystarczała historia rodzinna o dziadkach Strąkach, co byli młynarzami, i ojcu o imieniu Maciek, który wrócił z wojny i zginął tragicznie przed jej urodzeniem. Nad Pełcznicą go znaleźli, w mundurze wojskowym, wyglądał pięknie, jakby spał, kwiatami jabłoni obsypany, gwiazdkami śniegu, liśćmi jesieni we wszystkich odcieniach złota. Drugi szczegół dodany przez Jadzię do historii Maćka, po którym inna niż ta wymyślona nie została, dotyczył niezwykłego bohaterstwa, jakim zasłynął podczas wojny. Niewydarzony, chłopięcy ojciec, znany tylko ze zdjęcia na domowym ołtarzyku Zofii i od dawna młodszy od swojej córki, przez lata obrósł w medale i zaszczyty. Twój dziadek, mówiła Dominice, twój dziadek Maciek był prawdziwym bohaterem i podczas jednej bitwy gołymi rękoma zabił niemieckiego oficera i dwóch jego adiutantów, a nawet psa, wściekłego owczarka niemieckiego zadusił, że tylko trach, trachnęły kości. Okoliczności się zmieniały, ale odwaga dziadka Maćka za każdym razem lśniła pełnym blaskiem, podczas gdy niemiecki oficer okazywał się tchórzem i szubrawcem, który w spodnie narobił ze strachu, zanim wydał ostatnie tchnienie. Dawno zmarli dziadkowie Dominiki w linii męskiej zostali w opowieści Jadzi zredukowani do pary miłych staruszków z chałupy pod lasem, a przyciśnięta pytaniami córki dodawała jedynie krzaki bzu, rosnące pod ich oknami wyjątkowo

bujnie i liliowo. Stąd jeszcze krok i Jadzi wyobraźnia na szczyt się wspinała, a tam babka, po której nosiła imię, była piękną szlachcianką wydaną za pospolitego Strąka z Brzeziny w wyniku bliżej niesprecyzowanych, lecz tragicznych okoliczności natury romansowej. Ja to tak trochę skończyłam jak twoja świętej pamięci prababka młynarzowa, wzdychała Jadzia tajemniczo. Ją tam mieli za trędowatą, jak Izaurę poniewierali, krzywdzili, ale się nie dała. Gdy opowiadała córce o swoim dzieciństwie, Zofii tam niemal nie było, bo tylko tak mogła się zemścić. Jadzia nawet przed sobą nie przyznała się nigdy, że jest zazdrosna o spóźnioną miłość, którą Zofia przechowywała z dala od niej i w całości dała wnuczce. Nie starczyło dla Jadzi i nie udało się Zofii dokochać córki za lata niekochania. Stefan, dla którego przeszłość była koszmarem przejawiającym się atakami lęku i głodu, patrzył na swoją ciekawską córkę z gniazda przed telewizorem i zbywał pytania o dzieciństwo, mówiąc, co, znów jakieś fiksum-dyrdum? A lekcje odrobione? Moje życie to same pikassy i trele-morele, pomyślała Dominika słowami matki, która czasem przychodziła do jej pokoju, brała na chybił trafił jakąś książkę i nie znalazłszy nic dla siebie ani w malarstwie Witkacego, ani w poezji Stachury, ani tym bardziej w podręczniku do matematyki, mówiła, jak ty coś z tego rozumiesz, córcia, przecież to same pikassy i trele-morele. Wszystkie te książki ci do nauki potrzebne czy to jakieś fiksum-dyrdum? Ignacy Goldbaum patrzył tymczasem na Dominikę z fotografii zrobionej polaroidem, a listy opowiadały historię, jakiej nie wymyśliłaby nawet babcia Halina.

Ignacy nigdy nie wrócił do Warszawy i spotkawszy na swojej drodze mniej więcej jednakową liczbę przyzwolonych ludzi i kanalii, co nie zawsze dało się rozpoznać na pierwszy rzut oka, po kilku miesiącach od rozstania z Zofią był już w Stanach. Po wojnie szukał kobiety, która go ocaliła, ale listy jego pozostawały bez odpowiedzi, a według danych Czerwonego Krzyża w okolicach Zalesia, Brzeziny i Kocierzowej zginęły co najmniej trzy Zofie Maślak, w tym dwie w wieku, który mógł być wiekiem jego Zofii. Polska po wojnie nie była krajem, w którym chciałby żyć, a ta przedwojenna nie istniała. Na miejscu domu cioci Roissy została kupa gruzu, po jej grobie nie było nawet śladu; po innych krewnych przetrwał być może abażur albo trochę włosów, nie do odróżnienia wśród innych za szybą oświęcimskiego muzeum. Ignacy napisał w końcu do Janka Kosa, bez wielkiej nadziei adresując list – Jan Kos, Zalesie – i już po miesiącu otwierał kopertę, na której jego nazwisko i adres wypisano niewprawnie kopiowym ołówkiem. Jan Kos pisał, że Zofia nie żyje, w ostatnich tygodniach wojny zmarła na tyfus. Nic poradzić się nie dało, a on sam ma się dobrze, czego i Ignacemu życzy, mimo iż wybrał kraj wyzysku ludu pracującego. Skoro nie było Zofii, zniknął ostatni powód, by wrócić. Ignacy skończył studia medyczne, w czasie których poznał przyszłą żonę, a pamięć o Zofii hołubił w tym miejscu serca, które zarezerwowane było dla jego pierwszej ojczyzny, najważniejszej, ale utraconej. Starszy syn Ignacego Goldbauma, David, pojechał do Polski w podróż, o której marzył od dziecka, kuszony wspomnieniami ojca jak ryba błyszczącą, niejadalną przynętą. Miał zobaczyć Warszawę, zanim pójdzie na studia, i przy-

wieźć ojcu potwierdzenie wspomnień. Im Ignacy był starszy, tym te wspomnienia były piękniejsze, rozrastały się i wplatały nawet tam, gdzie nie powinny. Gdy Ignacy mówił – wtedy, przedtem, zanim – dzieci wiedziały, że ma na myśli Polskę, i podejrzewały, że do Polski wracał, kiedy siedział ze szklistymi oczami nad ulubioną siekaną wątróbką, a David trzy razy powtarzał, tato, zanim ojciec zwrócił na niego uwagę. Syn Ignacego przyjechał z Polski po miesiącu chudszy o pięć kilo i starszy o dziesięć lat, przywoząc opowieść o brudnych miastach i ścianach ze śladami po kulach, na których czytał świeże napisy Żydz do gazu i oglądał rysunki gwiazdy Dawida wiszącej na szubienicy. Ze świeżą zmarszczką na wysokim czole syn Ignacego mówił o znajomym ojca z młodości, profesorze niewinnej niczemu ornitologii, którego wyrzucili z pracy i który, płacząc, pakował walizki w mieszkaniu na betonowym osiedlu, w jakich w Ameryce żyją biedacy i nielegalni imigranci. Winda, którą David jechał na dziesiąte piętro do mieszkania ornitologa, była ciemna i musiał po omacku nacisnąć guzik; bał się, że na palcu zostanie mu ślad po świeżej krwi. Ten młodzieniec, który w wieku osiemnastu lat lubił nosić dodające mu powagi marynarki i kapelusze, bo zawsze czuł się starszy, niż był, nie znalazł w Warszawie ulic, które w letnie popołudnia miały nabierać lekkości paryskich bulwarów, tylko szerokie przecinki w szarości bezkształtnych domów, wycięte nie wiadomo po co, bo nie prowadziły do żadnego centrum, lecz na przedmieścia niepostrzeżenie przechodzące w pola kapusty i błoto. Wsiadał w autobusy i wysiadał na ostatnim przystanku, gdzie była już wieś; pod sklepem mężczyźni pili piwo, kobiety podchodziły do nich

szybkim krokiem, jakby chciały ich uderzyć, ale zatrzymywały się i wyrzucały z siebie tylko bluzgi słów, które nie przynosiły żadnego rezultatu, wsiąkały w błoto. Odchodziły więc i wracały, i tak w kółko. Jechał tym samym autobusem do miasta bez centrum i szukał przeszłości ojca na ulicach getta, które spłonęły, w kawiarniach, których nie było, pod obcym uniwersytetem. Synowi Ignacego Goldbauma podobał się tylko Pałac Kultury, bo przypominał mu budowlę Nowego Jorku, przesadne, buńczuczne, strzelające w niebo, którego tło litościwie łagodziło ich brzydotę, zacierało kontury, otulając czubek mgłą, tak że gdy człowiek zadzierał głowę, wydawało mu się, że płyną. David pojechał do Zalesia samochodem pożyczonym od doktora Zatrzyba i opowiedział ojcu o dwóch przestraszonych kobietach z drewnianego domu na skraju wsi, pod którego okapem roilo się od jaskółek, o grubej starszej pani palącej papierosy bez filtra i niezbyt rozgarniętej dziewczynie o oczach w kolorze agrestu, na oko w jego wieku – żadna nie przypominała aniola ani kusicielki. Rozczarowanemu krajem przodków Davidowi nie wydawało się możliwe, by Zofia, z plackami niezdrowego rumieńca i w brudnym fartuchu, lub Jadzia, wiejska panna o urodzie bulki na parze, mogły mieć coś wspólnego z jego ojcem i z nim. Jednak przede wszystkim nie wydawało mu się możliwe, by on, David Goldbaum, miał coś wspólnego z tym krajem, który okazał się jakąś straszną pomyłką na mapie jego świata. I przez wiele lat będzie myślał, że najgorsze, co mogłoby go spotkać, to mieszkać w Warszawie i jeździć do pracy jedną z tych ulic, wyrąbanych między brzydkimi domami przez jakiegoś szalonego Goliata.

Ignacy Goldbaum wiedział więc, że Zofia żyje, ale na obrazie jej życia przywiezionym mu przez syna nie było dla niego miejsca. Żyła i miała dorosłą córkę niepodobną ani do niego, ani do niej, w progu jej drewnianego domu stały męskie buty. Jan Kos okłamał go i wspomnienie niechęci partyzanta z blizną na policzku, który zabrał go z domu Zofii, wróciło do Ignacego tak wyraźne, jakby to wczoraj siedział z nim w zaleskim lesie. Może wyszła za Janka Kosa? Czasem doktor Goldbaum zamyślał się tak, że żona musiała go szturchać w ramię, by wrócił z Zalesia do Pasadeny. Znała jego historię i wiedziała o Zofii. Jak umrę, odnajdziesz ją sobie, powiedziała mu kiedyś bez złości, z pewnością, z jaką przez całe życie wycinała ślepe kieszki i organizowała przyjęcia na dwadzieścia osób. Doktor Ignacy Goldbaum miał rosnącą z wiekiem obsesję wyrównywania rachunków, o której dużo rozmawiał z Bogiem i rodziną, przy czym wszyscy wymienieni mieli zwykle ważniejsze sprawy na głowie. Początkowo wyrównać chciał przede wszystkim tym, którzy mu zabrali, i uczestniczył nawet w jednej wyprawie do Argentyny, gdzie schronienie znaleźli zbrodniarze o nalanych gębach i małych, bladych oczkach – grali teraz w golfa z byłymi dyktatorami. W miarę upływu czasu rachunek wychodził mu inny, bo gdy siedział na tarasie swojego domu, słuchał kantat Bacha i patrzył na ocean, okazywało się, że dostał bardzo wiele i może nie zdążyć się wypłacić. Śmierć żony, która po trzech miesiącach choroby zmarła na raka, dostarczyła Ignacemu nowego powodu do dyskusji z Bogiem, ale nie zalała go goryczą. Życie z nią było jasne i uporządkowane, a ślady, które zostawiła, pozwalały mu wracać do wspól-

nie spędzonych lat z uśmiechem. To Zofia nie dawała mu spokoju. Śnił, że patrzy na niego z jabłkiem w dłoni albo rodzi króliki, które wyskakują spod jej spódnicy, a on nadaremnie próbuje je schwytać. Gdy poznał Czerwińskiego, zrozumiał, że znalazł odpowiednią osobę, kogoś, kto pomoże mu wrócić do tej innej przeszłości, która uwierała go jak piasek pod powiekami. Teraz informacje szybciej pokonywały granice, z których część przestała w ogóle istnieć, i wkrótce Ignacy wiedział, że Zofia żyła, miała córkę i wnuczkę, jej mąż zginął zaraz po wojnie w tajemniczych okolicznościach, nigdy nie wyszła powtórnie za mąż. Bogatszy o tę wiedzę Ignacy usiadł przy komputerze i napisał pierwszy od lat list do Zofii Maślak z Zalesia.

Po dwóch miesiącach przyszła odpowiedź na papierze w linie, wyrwanym z zeszytu. Szanowny Ignacy, w pierwszych słowach mego listu, pisała Zofia, zawiadamiam Cię, że jestem zdrowa i zapytuję o zdrowie Twoje i Twojej rodziny, a doktor Goldbaum czytał i płakał, do czego z wiekiem coraz bardziej był skłonny. Przepraszała za litery rozchwiane jak krzesła w jej domu, bo oczy miała już popsute, a on nagle zobaczył ich jaskrawą niebieskość sprzed lat i aż zakłuło go serce. Pisała, że pogoda tej wiosny jest ładna, w lesie pełno przyłasczek, że aż fioletowo, a ona, tak, pamięta – nie ma za co dziękować. W odpowiedzi na trzeci list wysłała Ignacemu zdjęcie Dominiki zrobione w jej ogrodzie. Na pierwszym planie Dominika nad koszem jabłek z liściem topianu na głowie, za nią Jadzia, a dalej niemal niewidoczna wśród georginii Zofia. Ignacy Goldbaum już wiedział, że przeszłość, którą uznał za straconą, wróciła, bo dziewczynka

na zdjęciu wyglądała tak jak jego amerykańska córka, choć polska córka nie przypominała mu nikogo. Marek Czerwiński miał przygotować Zofię na przyjazd Ignacego, który nie powiedział mu jednak o Dominice, chcąc, by znajomy historyk sam potwierdził to, co mogło być tylko nieświadomym życzeniem. Twoja wnuczka jest piękna i ponoć liczy, jakby miała w głowie kalkulator, napisał mu Marek Czerwiński tego samego wieczoru i już wszystko było jasne.

Szperałaś, szperałaś, to się gówna takiego doszperałaś, i jak ja teraz wyglądam? rozplakała się Jadzia, gdy wyszło na jaw, że drzewo genealogiczne rodziny Chmura jest bardziej rozgałęzione, niż się wydawało. Jadzia nie dość, że owdowiała przedwcześnie, to jeszcze pozbawiona została ojca, którego nawet nie poznała. Co za strata, której nijak się nie da oplakać, bo na miejsce ojca Maćka, bohatera, wskoczył zupełnie jej nieznany ojciec, Żyd ze strychu. A do tego z Ameryki zamorskiej. Z jakiejś Pasadeny. Czy to możliwe, żeby ona, Jadzia, niczego nie podejrzewając, była pół-Żydówką? Że tego nikt nie zauważył? Że taki doktor Rosen, to każdy wiedział, po twarzy było widać, że nie nasz, bo jakby taki niepolski z wyglądu, jakby włoski bardziej. I do tego lekarz. Oni zawsze – jak nie lekarz, to prawnik czy kupiec. Ale ona, Chmura Jadzia?

do 349

778

nek już rozumie, że największy jego sojusznik w walce o duszę Adasia siedzi przed nim i pociąga go w swoją poliestrową garsor. W tej chwili trzeba działać rozważnie. Nie ulega wątpliwości, że to co się dzieje między Adasiem a tą, jak nazywa nieznana sobie dziewczyną Leokadia, trzeba rozerwać. Z tą sprawą mogą przecież zajść nawet tak daleko, że ta zajdzie w ciążę, a wtedy zwiąże Adasia na dobre. Leokadia matka jest więc za rozerwaniem natychmiastowym i gotowa jest zrobić to własnoręcznie, choćby miała połać się krew. Potrząsa ondulacją, aż sypie się lupież jak zarodniki spod kapelusza starego grzyba. Stary ksiądz wie z doświadczenia, że to może się nie udać, i sugeruje ostrożność. W rzadko odwiedzanym kącie pamięci ma pewną Urszulę sprzed trzydziestu lat, przez którą zesłali go do Wałbrzycha z milego rodzinnego miasta we wschodniej Polsce. Przypomina sobie czerwoną sukienkę Dominiki i topniejący śnieg kasztanowych kwiatów; czuje, że matczyna miłość może nie przeważyć tej szali. Ma więc plan, by Adasia oderwać od tej i odesłać na trzymiesięczne studia do Włoch. On tak marzył o Watykanie! O tych muzeach wszystkich, kościołach. Jeśli się go oderwie bez jednoczesnego związania daleko od tej, rozerwanie może nie być całkowite i trwałe. Leokadia kładzie na jednej szali konieczność czekania i ryzyko ciąży tej, na drugiej splendor syna księdza na studiach we Włoszech rzucony w twarz sąsiadom z kamienicy. Sojusz zostaje zawarty. W salonie plebanii na Adasia marnotrawnego proboszcz Postronek czeka z Leokadią Wawrzyniak i obojgu tykanie zegara wbija się w ciało jak drzazgi.

Gdy Dominika i Adam wyobrażali sobie swoją przyszłość, siedząc w palmiarni, Ignacy Goldbaum wyruszał w drogę do przeszłości. Stał na lotnisku LAX i żegnał się z dziećmi, a w kieszeni miał list od Zofii, w którym radziła, by ciepło się ubrał, bo lato nie lato, wieczory bywają w Zalesiu chłodne, od Pelcznicy ciągnie chłód. Wdychał zapach papieru i wydawało mu się, że czuje rozgrzany słońcem strych i jabłka w drewnianych skrzyniach. Mieli za sobą dwie rozmowy telefoniczne, podczas których Zofia krzyczała z kabiny na pocztę w Zalesiu do nie słyszającego jej Ignacego, a cała wieś podsłuchiwała, kto to do starej Maślakowej z Ameryki dzwoni. Starszy syn Ignacego, podobny do swojej zmarłej matki, mówił, tylko uważaj w tej Polsce na siebie i pamiętaj o lekach. Młodszy był jego odbiciem i miał lzy w oczach, a córka, zakochana w matematyku z Polski zwanym Bocianem, wpadła w ramiona Ignacego w ostatniej chwili jak jo-jo na gumce i zaraz poleciała z powrotem.

Samolot Ignacego odrywał się od ziemi, a Dominika i Adaś nie mogli oderwać się od siebie i intensywność ich spotkań rosła kosztem ostrożności. Dominika wybierała się do Zalesia za kilka dni, by poznać dziadka, a gdy wróci, walizki na nowe życie będą spakowane. Jadzia nadęła się i była poznawaniu przeciwna, z uporem powtarzając od ubiegłego lata, że jej ojciec bohater poległ na wojnie, kwiatami jabłoni obsypany. Na brzegu Pelcznicy leżał, a wyglądał, jakby spał, twarzą wszyscy się dziwili, że nie napuchła, że tak świeża. Innego ojca nie potrze-

bując, dziękuję bardzo. Ignacego nazywała tym Żydem z Ameryki i poświęcała mu tyle czasu niechętnego, co Dominika chęci. Chęć Dominiki, by poznać Ignacego, i niechęć Jadzi przyciągały się i co rusz wpadały na siebie, bliski kontakt prowadził do zderzenia i odskoku na bezpieczną odległość, z której po chwili ruszały znów ku sobie. Niech Dominika jedzie, jak chce, ale jeśli już, niech pokaże się z jak najlepszej strony i uczesze jakoś te włosy buszmeńskie. Niech się jakoś ogarnie. Żeby tylko w tych buciorych męskich nie jechała, bo co ten Żyd z Ameryki sobie o Jadzi pomyśli, w jakimż to świetle niekorzystnym takie buciory czarne ją postawią, teraz, gdy nie wie nawet, na czym stoi, bo grunt usunął jej się spod stóp. Czółenka, sukienka jakaś z falbanką jest Dominice potrzebna, jeśli chce tam jechać matce na złość. A zresztą może ten Żyd z Ameryki, jeśli już, by ją do siebie kiedyś zaprosił? Zawsze to lekarz, w życiu ustawiony, a bez pleców człowiek jest nikim. Tylko te włosy buszmeńskie jeszcze żeby jakoś. Bardziej żeby kobieco, a nie jak homoniewiadomo. Babka Halina, sama tak obojętna wobec swojego wyglądu, że zapomniała o nim i do sklepu wychodziła w wełnianej czapce, którą nosiła niezależnie od pogody na wylysiałej głowie, i nieśmiertelnym fartuchu w małpy, tygrysy i słonie, troszczyła się po swojemu o wygląd wnuczki. Z wyczuciem, którego brakowało Jadzi, podawała Dominice spodnie i sukienki, tak jakby były czymś nic niewartym, mówiąc, a zobacz, czy to gównu do czegoś się nada? Dominice spodobała się czarna skórzana kurtka, która przyszła w ostatniej paczce z Enerefu. Nie rozstawała się z nią, nie wiedząc, że kupił ją dla niej mąż Grażynki Rozpuch, Hans Kalthöf-

fer, własnoręcznie wybierając najdroższy model i gładząc materiał palcami.

Grażynka Kalthöffer de domo Rozpuch nie zapomniała o tych, którzy okazali jej serce, a że niewielu takich było, nie musiała zanadto pamięci obciążać. Halina miała w niej miejsce starszej siostry i za każdym okazanym jej aktem miłości dziwiła się, że to naprawdę o nią chodzi. Gdy Grażynka znikła z kamienicy na Szczawienku, Halina nigdy już nie zaprzyjaźniła się z nikim innym i w samotne wieczory wspominała stukot obcasów biegnących do przymiarki, które wybijały w jej kuchni rytm najmodniejszych przebojów. Grażynka pod przymusem znalezienia stałej pracy trafiła do sanatorium w Szczawnie Zdroju, gdzie posada na zmywaku miała jej pomóc utrzymać przy sobie dzieci, na które opieka społeczna ostrzyła sobie zęby. W podwałbrzyskim Szczawnie kiedyś królowie i cesarze leczyli wrzody i nerwy, po promenadzie w parku Zdrojowym spacerowali, sącząc wodę mineralną, grecki król z rumuńskim czy carem bułgarskim, ale po wojnie dawny splendor przygasł, a kuracjusze mieli brud pod paznokciami i nicowane koszule. Elegancja dęptaka i hali zdrojowej spoczywała na barkach Jeremia-sza Muchy, który po latach nieobecności wrócił w okolicę Wałbrzycha z nowym garniturem zębów i tupecikiem pod kolor farbowanej na brąz korony własnych włosów. Śpiewał z zespołem na dancingach w Białej Sali, a panie kuracjuszki zachwycaly się, że ten to zawsze jak spod igły, kwiat co wieczór świeży w butonierce i ten głos, ten głos, nie to co te młodzieżowe wyjce. Poniemieckie sanatorium rozpadało się, karaluchy wielkości myszy panoszyły się w mokradłach kuchni i magazynów, a przy-

dzielone Grażynce mieszkanie w podzielonej dla wielu rodzin poniemieckiej willi nie było wiele większe od szafy. Nie opuszczał jej jednak dobry humor i na dwunastu metrach kwadratowych rozłożyła od ściany do ściany wyciganione skąś materace zamiast łóżek, szafy i innych sprzętów, na które nie było jej stać. Aż po sufit skakała po tym królewskich postaniu z dziećmi niepodobnymi ani do niej, ani do siebie nawzajem, a w kłębowisku ubrań, butów, zeszytów szkolnych i kosmetyków tylko upór albo szczęśliwy traf pozwalały znaleźć akurat to, czego się szukało. Wieczorem przynosiła jedzenie, które z kuchni sanatorium wynosiło się na prawo i lewo, i na materacach zaczynał się piknik. Wabieni zapachem kurczaków i kotletów dołączali do niego mieszkańcy innych pokoi willi, łącznie z Jeremiaszem Muchą, który był jedyną osobą mówiącą do Grażynki panno Grażyno. Grażynka zasypiała potem z dziećmi przytulonymi do niej pośród obgryzionych kostek kurczaka i papierków po cukierkach, a jej sny były zawsze pełne tego dobrego, co jeszcze może się zdarzyć.

W białym fartuchu z fioletową pieczętką Państwowe Sanatorium nr 1 w Szczawnie Zdroju grała Grażynka na kotłach, trzaskała do rytmu patelniami i wystarczyło, że wychyliła się z okienka, by zebrać brudne naczynia, a twarze wrzodowców, nerwowych i okulałych rozjaśniały się jak spryskane nabłyszczającym sprayem. W niedzielę chodziła na spacer po hali zdrojowej ubrana w swoje najlepsze kurewskie rzeczy uszyte jeszcze przez Halinę, bo potem nie było jej już stać na nowe, a w sobotnie wieczory ruszała na dancing do Białej Sali i to tam zauważył ją Hans Kalthöffer.

Co roku przyjeżdżał do Szczawnia Zdroju podreperować zdrowie i popatrzeć na dom, który przed wojną należał do jego rodziny, od czego mu wrzody na żołądku aż pieniały się ze złości, bo na miejscu gospodarstwa nowoczesnego i schludnego był pieprznik i rozpiździaj wie bei Hempels unterm Sofa. Hans nie chciał odbierać, przeciwnie, chciał pomóc, rękę wyciągnąć chciał, ale na jego widok mieszkająca tam rodzina spuszczała psa z łańcucha i barykadowała się w domu, zerkając na szkopa zza zasłon. Gdyby tylko dali mu wytłumaczyć, co i jak, gdyby tylko na chwilę wpuścili, zamiast grozić z daleka siekierą, za darmo pokazałby, jak zrobić Ordnung. Po kolejnej takiej wizycie siedział Hans przy stole, rozpamiętując marnację, bo jak to tak piasku nawieźć, desek nazwozić i pozwolić, by zielskiem zarosło, pogniło, gdy na Białą Salę weszła Grażynka. Sukienka czerwona w grochy białe, włosy wysokie jak tort cały z czekolady, na powiekach jakby tęcza. A jak tańczyła! To był sam ruch i rytm, biodra, piersi i białe grochy rozsypane po parkiecie jak sznur koralu, że tylko zbierać, zagarniać. Hans Kalthöffer przełknął gorycz, poprawił okulary w złoconych oprawkach i się odważył poprosić Grażynkę do wolnego, a po wolnym było parę szybkich i Hans Kalthöffer z wolna zapomniał o wrzodach. Mimo iż była wyższa od niego o głowę, a z bliska jej wiek nie mógł ukryć się w całości pod grubą warstwą pudru, wiedział już, że chce tej i tylko tej kobiety na swoim gospodarstwie nowoczesnym w pięknej Bawarii. Nie zraziła Hansa Kalthöffera plotka, która jak zawsze dotarła wraz z Grażynką na nowe miejsce niczym guma przyklejona do podeszwy, a nawet jakby umocniła w mi-

łości. Nie zraziła go też informacja, że dzieci Grażynka ma troje, a fakt, że żaden ojciec nie zgłasza do nich roszczeń ojcowskich, uspokoił Hansa Kalthöffera. On je usynowi, ucórczy, dokarmi je on i pokocha swoim niemieckim sercem. W osobie Grażynki Rozpuch cała rodzina mu się trafiła jak promocja w supermarkecie Aldi i płasał po Białej Sali, jakby ubył mu lat, aż okulary zachodziły mu mgłą. Był kawalerem lekko przeterminowanym, ale wciąż zdatnym do użycia, i świń hodowcą, w domu miał Küche sehr nowoczesną i łazienkę wyposażoną nawet w das Bidet. Grażynka będzie tam miała jak w raju, bo chlewnie nieśmierdzące zupełnie i czyste, tylko niech powie ja.

Po trzech miesiącach Grażynka była w Bawarii, a po dwóch latach mówiła po niemiecku tak, jakby ten język wyszła z mlekiem matki, i na coroczny festyn piwny przebierała się za pasterkę, sprzedając ze straganu szynkę krojoną na grube plastry, i to do niej ustawiała się najdłuższa kolejka. Na samym początku zresztą dała wyraz zdolnościom językowym, bo zrozumiała Polnische Schweine i przylała na odlew Frau Korn pod kościołem, aż ta poleciała w schludną rabatkę. Odtąd nie tylko nikt jej się nie czepiał, ale nawet poproszono ją do komitetu organizującego lokalny festyn piwny. A do tańca nie trzeba było jej namawiać. Ze słuchawkami walcmana na uszach tańczyła między rzędami świnińskich ryjów w zalanej jaskrawym światłem chlewni i płakała czarnymi łzami, gdy Hans wysyłał transport do rzeźni. Jej dzieci odpasione na sznycłach i szynkach coraz bardziej upodabniały się do Hansa i najpierw nieśmiało, ale wkrótce z większą pewnością zaczęły mówić do niego

Vater, smakując nowe słowo na językach. Gdy Grażynka w wieku czterdziestu sześciu lat, i były to tylko te lata, do których się przyznawała, urodziła syna, który wyglądał jak miniatura Hansa minus okulary, mąż zrezygnował z wypłacania jej comiesięcznego kieszonkowego i powierzył całe finanse. Frau Kalthöffer na początku po kilka razy liczyła cyfry w liczbach, nie wierząc, że można posiadać aż tyle i że to jej dostało się coś, na czym innym tak zależało.

Grażynka nie łudziła się, że ten nerwowy mężczyzna o krótkich palcach i piwnym brzuszku pragnie się nią zaopiekować bezinteresownie, bo takich cudów nie ma nawet w Enerefie. Przez całe życie mężczyźni chcieli czegoś od Grażynki, choć najczęściej nie wiedzieli, co to jest, i w rękoczynach wyrażali pretensje, że ona też nie wie albo, co gorsza, wie, ale trzyma to przed nimi w tajemnicy. Hans wiedział. Hans czuł się winny, a Grażynka była tam po to, by go rozgrzeszać za każdym razem, gdy winą przekraczała stan krytyczny i jej mąż wyciągał z szuflady zdjęcie ojca w mundurze gestapo. Patrzył najpierw na rodzica, który pozował na tle zakopiańskich gór tak zadowolony z siebie, jakby właśnie powiesił lub rozstrzelał kilka osób, a potem podnosił czerwone oczka na Grażynkę i mówił, przez tę świnię nasze dzieci nie mają dziadka, tylko wstyd. Gdy pierwszy raz rozplakał się w sypialni, prosząc Grażynkę, by go uderzyła, ucałowała go w czubek łysawej głowy i przylała jak Frau Korn pod kościołem, choć z czasem ich zabawy przybrały bardziej wyrafinowaną formę dzięki imperium Beaty Ushe. Dość szybko przekonała Grażynka Hansa, że owszem, może go i związać, i wychłostać, proszę

bardzo, siły jej w rękach nie brakuje ani wyrozumiałości, ale na pewno jego wina zelżeje, gdy od czasu do czasu wyśle też paczkę do Polski dla jej mocno przez wojnę pokrzywdzonej siostry Haliny. Hans zdziwił się trochę, skąd nagle siostra, skoro Grażynka jedynaczka, ale czego by dla niej nie zrobił. Gdy któregoś lata okazało się, że teraz wnuczka siostry potrzebuje pomocy, i to szybko, Hans Kalthöffer urósł z radości parę centymetrów.

Gdy listonosz pierwszy raz przyniósł Halinie wielki karton, ta mało zawału nie dostała ze strachu, zanim zobaczyła nazwisko nadawcy. Nigdy nie mówiła ani synowi, ani synowej, że utrzymuje kontakt z Grażynką, bo jej jaszczurcze ciało w o wiele większym stopniu niż inne organy poznawcze czuło jakąś nieprzyzwoitą tajemnicę w fakcie, że to siostrzeństwo od początku sprawiało jej większą przyjemność niż bycie żoną i matką. O Grażynce wiedziała tylko Dominika, która na początku myślała, że przyrodnia siostra babki z Enerefu jest zmyślona tak samo jak hrabina Wielkopańska. Gdy przychodziła kolejna paczka, razem odpakowywały szeleszczący papier, by dostać się do czekolad Milka i Toblerone, żelowych misiów, paczek marlboro, puszek z pomarańczową fantą, strzelających pianą jak słodkie małe fontanny. Nawet Dominika jednak nie wiedziała o pieniądzach, które przychodziły ukryte w kartach świątecznych i między zdjęciami rosnącej w dostatek rodziny Kalthöffer, których kolejne podobizny trafiały do albumu starych z pościągu. Halina pisała do Grażynki długie listy, a pieniądze za niemieckie świnię ukrywała w szafie pod workiem z cukrem, który nadal trzymała na wypadek jakiejś woj-

ny. Przysyłane jej przez Grażynkę eleganckie sukienki i bluzki spieniężała na bazarze Niskie Łąki we Wrocławiu, gdzie potajemnie jeździła raz na parę miesięcy ku radości stałych klientek, z których tylko niektóre dotrzymywały jej kroku w targowaniu się. Halina niekiedy pytała wnuczkę, a ile by to było na nasze na ten przykład takie sto pięćdziesiąt marek, ale Dominika, przyzwyczajona do tego, że jej matematyczne zdolności rodzina traktowała jak sztukę cyrkową, nie podejrzewała, że marki istnieją rzeczywiście, a babka dla niej gromadzi zapłatę za winę klującą Hansa Kalthöffera.

Gdy Dominika dostała się na studia, Halina przeznaczyła pierwszą ratę na mieszkanie do wynajęcia dla ukochanej wnuczki. W przeciwieństwie do Jadzi wiedziała, że Dominika pojechała na egzaminy do Warszawy, a nie do Wrocławia, bo sama zapłaciła za bilet kolejowy i zrobiła kanapki na długą drogę dla wnuczki i Małgosi Lipki, o której w domu nikt nie pomyślał. Małgosia dostała się na medycynę, a Dominika na matematykę i nigdy nie miała się dowiedzieć, że jej oryginalnie rozwiązane zadanie egzaminacyjne oraz zdumiewające uwagi wypisane na marginesach wykładowcy pokazywali sobie, z niedowierzaniem kręcąc głowami. Halina była jedyną osobą oprócz Małgosi, która wiedziała także, że w Warszawie Dominika ma zamiar zamieszkać z Adasiem. Daleko od sypiących się plotek Piaskowej Góry; daleko od wrocławskiej kamienicy, którą tak rozdymała rosnąca złość Leokadii Wawrzyniak, że doniczki z pelargoniami spadały z parapetów i przechodnie omijali dom szerokim łukiem. O zakazanej miłości wnuczki dowiedziała się Halina od Jadzi, która czuła, że z czymś ta-

kim nie może iść ani do Krysi Śledź, ani tym bardziej do Lepkiej, od dawna uśmiechającej się do niej znacząco, ilekroć spotkały się przy windzie. Same kłopoty z tymi młodymi, wzdychała, niedawno w pieluchy srało, a tu już matkę babką robi. Jadzia czuła, że Lepka ma na myśli nie tylko swojego Zbyszka, który zapłodnił łwonę Śledź, bo historia Dominiki i Adasia była najciekawszą rzeczą, jaka wydarzyła się ostatnio na Babelu oprócz upadku komunizmu. Szeptano się o niej w kolejkach do pustych sklepów, gdzie ochłapy plotki plaskały o ładę jak wymarzone karkówki, polędwice i schaby. Zaczynały dwie pierwsze, czekające już o czwartej rano z papierowymi przepustkami do mięsopustu, że podobno ta taka wysoka pytlata z Babela, co jej ojciec się udławił pączkami, z księdzem. Nie pączkami, nie pączkami, tylko mi jedna mówiła, że pieróg mu w gardle stanął, dodawała swoje trzecia, która przyszła i zajęła kolejkę dla czwartej. Ale żeby z księdzem? To trzeba sumienia nie mieć. Taki grzech! To już tylko z Babela się rzucić. Taki wstyd! Gdy tuż przed otwarciem mięsnego ze sto było stojących, zanim plotka doszła do końca kolejki, tam rodziła się już nowa. Gdy ta z przodu i ta z tyłu zderzały się pośrodku, następował krwawy wybuch, jakby eksplodowała furgonetka z wieprzową wątroba, którą ku madonn kolejkowych zgryzocie przywieźli zamiast mięsa. No i z tym księdzem po kątach, pani mówię, a w ciąży już podobno, z brzuchem już. Jakiej ciąży, tam pani gada. Była, ale się zbyła. Skrobanka? A jak, u Lipki. Jak wychodziła, widziała jedna i mojej szwagierce mówiła, a tak szła, pani, jakby zgięta z Lipki córką, co to też, pani powiem, wstyd. A inna słyszała od kogoś, komu wierzyć

można, że ta czarna pytlata to nie tylko z księdzem, ale właśnie też z tą doktora Cipki córką schłopakzała. Z Cipki córką?! Że niby ona homoniewiadomo? To baba też może być nie tego? Ale jak? A niby tak, ha ha. Za późno zauważyły Jadzię, która swoim zwyczajem ustawiła się z boku kolejki do mięsnego, by w odpowiednim momencie rozerwać jej najślabsze ogniwo i zająć miejsce między czymś brzuchem a pośladekami z takim wyrazem twarzy, jakby stała tam od wieków, wciśnięta ciało w ciało. Wątrobowe plamki pokryły twarz Jadzi, która nie zauważyła jeszcze, że w chwilach zdenerwowania robi się coraz bardziej podobna do swojej matki. Mój Boże, jaki przed ludźmi wstyd, i mięsa na niedzielę nie będzie!

Jadzia wypadła z kolejki i drogą przez Krzaki potoczyła się w stronę Szczawienka. Postanowiła nawiązać sojusze z teściową, bo są chwile, gdy przede wszystkim liczy się rodzina, a zwłaszcza kobiety, które się ze sobą dogadują jak mało kto. Halina zdziwiła się niespodziewanej wizycie synowej, bo zwykle widziały się tylko na niedzielnym obiedzie raz u jednej, raz u drugiej i obu to wystarczało. A już ły Jadzi, która zanim się uspokoiła, mamusiu, do niej zapłakała i na szyję się rzuciła, to naprawdę za wiele było. Nie wpłynęłaby jakoś mamusia na Dominikę? Nie przekonała jej jakoś, że życie sobie i matce własnej marnuje? I to z księdzem, jak zawsze fiksum-dyrdu, zamiast z normalnym chłopakiem. Prima Aprilis nie udausia, chacieu pierdnuć, a usrausia! Musi ten Adaś przestać być księdzem, jeśli mu się miłości zachciało, skwitowała Halina rewelacje Jadzi, wydmuchując cumulus dymu. Plan Jadzi, by przy pomocy

teściowej rozerwać grzeszny związek Dominiki, spalił na panewce.

Halina odwiedzała kościół tylko z okazji chrzcin, ślubów i pogrzebów, mając nadzieję, że uda jej się własną śmierć wyczuć na tyle wcześnie, by zdążyć jeszcze przed nią pochodzić i zarobić na życie wieczne. Odkładała ten moment, bo wolala siedzieć w domu, palić papierosy i układać zdjęcia w albumie starych z pociągu albo pisać długie listy do Grażynki, a nic na razie jej nie dolegało prócz uporczywego drapania w krtani. Poszła jednak specjalnie na mszę wielkanocną, by zobaczyć młodego wikarego, i gdy tak obracał się przed ołtarzem, przebiegał się, machał rękoma, Wowka, dawno zapomniany akrobata, wyłonił się z zadymionej pamięci Haliny. Wowka jak żywy, jaki urodny – przez lata zdążył w ukryciu wypięknąć, urosnąć i nabrać oglady, a oczy rzeczywiście mieli z Adasiem podobne. Zamiast więc spróbować ramie w ramie z Jadzią oderwać Dominikę, wyciągnął ją z tej historii jak rzepę z ziemi, Halina skupiła się na rozerwaniu związku Adasia z Kościołem i gdy wnuczka dostała się na studia, plan był gotowy. Ona i Adaś uciekną do Warszawy, marek spod worka z cukrem na początek wystarczy.

Na ławeczce przy oczku wodnym w palmiarni, którego dno połyskiwało fenigami po ostatniej grupie niemieckich emerytów, Dominika Adasiowi mówiła o Warszawie. Mieszkanie jest małe, pokój i kuchnia ślepa na Chomiczówce, ale przecież, że razem, najważniejsze. A pod domem sklepy, zieleni trochę. Będzie jeździć na zajęcia autobusem 116, on znajdzie sobie jakieś zajęcie z łatwością. W Warszawie tylko czekają na śpiewa-

jącego pięknie Adasia, już on im zaśpiewa tak, że oniemieją z podziwu. Może zespół jakiś założy? Może coś w szkole? A w wolnych chwilach teatry, parki, wspólne pieczenie ciasta. W niedzielę Łazienki koniecznie, kawka, kaczki. Warszawa to przepiękne miasto. Tylko czy ty się nie rozmyślisz, Adasiu? Jakimś cudem, na który wpływ miało być może wino wypite z Małgosią na część dobrze zdanych egzaminów, Dominika zobaczyła Warszawę taką, jaką kochał Ignacy Goldbaum. Straszne ulice nieprowadzące do żadnego centrum kusiły ją obietnicą, ocalałe kamienice w śródmieściu o bramach nasiąkniętych moczem i porowatych jak stary pumeks wydawały się romantyczne, bo ileż te mury widziały. A Starówka to wprost jak z bajki, lody w gałkach waniliowe, czekoladowe, truskawkowe, muzyka i ten aktor, co grał Czterdziestolatka, spacerujący jakby nigdy nic.

Podczas gdy Dominika umacniała się w pewności i kupowała w Cepelii siwaki na kwiaty, obrusy pod niedzielne obiady warszawskie, Adaś walczył z sumieniem, nabierając przekonania, że tajemnica od dawna jest znana wszystkim, łącznie z jego matką. Przez telefon czuł jej złość i oczyma wyobraźni widział, jak jej usta matczyne, zawsze obrysowane dookoła i wypełnione perłową różowością, zwijają się w kurzą dupkę i wciągają powietrze, gotowe wessać go w słuchawkę. Słyszał Adaś, jak grad matczynych paznokci pod kolor ust stuka w blat stolika i twarde kulki trafiały go z impetem burzy. Gdyby siłą nie oderwał ucha, Leokadia wciągnęłaby go jak kiedyś kawkę mrożoną przez słomkę w koktajlbarze Witaminka, gdzie mały Adaś rozhabrywał ciastko,

patrzac, jak plyn zwieńczony czapą bitej śmietany znika w matce. Adaś modlił się o znak i nic nie mógł poradzić na to, że pragnął dwóch rzeczy, a żadnej mniej, bo chciał być z Dominiką i pozostać księdzem. Gdy był sam, modlił się i gryzł palce, a raz podjął nawet nie do końca udaną próbę samobiczowania. Mając w pamięci dyscyplinę autorstwa swego ojca inżyniera, sklecił jej kopię, rozebrał się do pasa, wziął zamach i lup, stłukł gipsową figurę Matki Boskiej. Huku narobił i sprzątaniamiał na pół godziny, bo głowa Matki Boskiej potoczyła się za kanapę. Za drugim razem poszło mu lepiej, co przyniosło chwilową ulgę. Proboszcz Postronek coraz częściej poruszał przy Adasiu temat celibatu. Po kolacji siedzieli zwykle w stołowym, gdzie Adaś brzdąkał na gitarze, a proboszcz przysypiał nad żywotami świętych męczennic albo czasopismem poświęconym ogrodnictwu. Ich rozmowy dotyczyły rzeczy praktycznych, dachu, który przecieka, albo sposobu na złodziei kwiatów, które nocami znikają z grobów. Od jakiegoś czasu jednak proboszcz Postronek nabierał powietrza i bez ostrzeżenia wypuszczał w stronę Adasia strumienie słów, które pachniały jak powietrze wydychane przez odkurzacza. Celibat to naśladowanie Chrystusa, który nie miał żony i w ogóle od kobiet stronił. Naśladować Chrystusa, otóż cel Adasia. Beżennym zostać dla Królestwa Niebieskiego, jak pisze święty Mateusz. A święty Paweł też gdzieś, ten zaś, kto wstąpił w związek małżeński, zabiega o sprawy świata, o to, jak by się przypodobać żonie. I ma te, rozterki. Owocem celibatu, nawet jeśli późno dojrzewa, jest nieziemski wręcz pokój w sercu. To nie jest taki pokój, jaki dają żona, dzieci. Celibat to

coś, co pozwala zakosztować na ziemi życia aniołów. Aniołów! To jak w niebie, gdzie nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, o czym pisze święty Mateusz. Taki spokój jest wspaniały. Celibat to dar cennyż jest, a nie pokuta, niech Adaś sobie to zapamięta. A diabeł kusi, oj, kusi. Ku zatracień zwodzi pod postacią niewiasty. Bronić się trzeba. Jak? Unikać pokus niepotrzebnych. Unikać! Nie rozmawiać o sprawach nieczystych. W telewizji, w książkach nie oglądać, nie czytać niczego, co czystości zagrozić może. Ani w gazetach. Nie myśleć o rzeczach czystości kalających. Trudne? To jest zmaganie z naturą! Z ciałem grzesznym. Każda pokusa to próba, na którą Bóg nas wystawia. To się skończy po sześćdziesiątce, więc Adasiowi zostało jeszcze tylko niewiele ponad trzydzieści lat.

Adaś miedł pod wpływem słów proboszcza i już widział siebie na jego miejscu w spokoju czytającego żywoty świętych męczennic i uprawiającego ogródek, a może nawet zostałby biskupem, jak marzyła jego matka. Musi to skończyć, z tym postanowieniem szedł zmiękczoney Adaś na spotkanie z Dominiką, a ona pojawiała się i już z daleka czuł zapach bananowego błyszczyka do ust, które mówiły na jego widok, jesteś, Adasiu. Ona nie zgadza się na bycie próbą i pokusą. W logice matematycznie uzdolnionej nastolatki dobry Bóg nie może mieć mentalności wuja Kazimierza. On nie liczy z ołówkiem w ręce, nie kombinuje, nie wrzuca do świnki skarbonki podstępem zdobytych dobrych uczynków. Ta miłość to nie próba jest więc, lecz dar. Bóg pokazuje Adasiowi inną drogę, na niej jest Dominika, ich dom, Warszawa. Spójrz, Adasiu, na Boga jak na mamę, która cię tuliła i śpiewała

z tobą w łóżku na dwa głosy, a nie jak na ojca z dyscypliną. Razem przecież zrobimy więcej dobrego niż ty sam. Każde wakacje w Bieszczadach, odwiedziny w domach dziecka, w wiejskich szkołach, będzie cudownie. Ty i gitara. Ja mogę uczyć matematyki. Będziesz miał rodzinę, sam powiedz, czy dobry Bóg chciałby, abyś był nieszczęśliwy? Postanowienie zerwania jeszcze przez chwilę uwierało Adasia, ale wkrótce znikało pod dotykiem rąk Dominiki i ramię w ramię wędrował z nią po Warszawie, o której opowiadała tak, jakby spędziła tam pół życia, a nie trzy dni egzaminów na studia.

Gdy na Piaskową Górę przyszło lato tak suche, że drzewa były szare od pyłu, a z nieba sypały się iskry w kolorze siarki, zapadła decyzja. Pojadą od razu we dwoje. Najpierw Zalesie, potem Warszawa i nowe, wspólne życie, które czeka na nich jak biała wykrochmalona pościel. Za trzy dni, dziesiątego lipca.

XX

Janek Kos poznał go od razu. Mimo iż był po paru głębszych w Sosence, nie miał wątpliwości, gdy stał pod ścianą swojej chalupy i patrzył na drogę prowadzącą od stacji. Czas, który jego zeżał i wyrzygał, obszedł się łaskawie z Ignacym Goldbaumem.

Jaki to prosty, jak świeca. W dzień powszedni jak na niedzielę wystrojony, w kapeluszu, z laseczką. Tam gdzie Janka Kosa zgięło i wgniotło, tamtego wyszlifowało. Co jemu odebrało, dało tamtemu i teraz w końcu wiadomo,

gdzie się to wszystko podziało. Ignacy Goldhaum to ma, jemu przypadło to, co Janekowi Kosowi przez palce przeciekło. Gdyby nie ten Zdzisław, to wszystko byłoby, jak nie. Istota, co teraz tam jest, to wszystkiego. Jak to idzie drogą od stacji, walczy skórzaną, a w niej pewnie majątek, a nie mysie gniazdo, jaka ciężka, aż go na bok przegina. Tak w kapeluszu przez wieś iść przeciw wszystkim tym, co jak Janek Kos nigdy kapelusza nie mieli. Tym wszystkim bez kapeluszy wbrew, na złość. Taki kapelusz to jest z innych wyśmiewanie się i patrzenie z góry. Idzie, choć obcy, jakby po swoim szedł, a tak pewnie, jakby dopiero co wczoraj tę drogę przemierzył. Jakby zostały na niej jeszcze ślady jego stóp, a prawie pół wieku minęło.

Odczekał chwilę Janek Kos i ruszył za Ignacym, kryjąc się w cieniu i trąc bliznę knykciem. Był tam, gdy skrzypnęła furtka, zapaliło się światło na ganku, a w drzwiach ukazała się Zofia i stała przez chwilę naprzeciw Ignacego w złotym prostokacie blasku. W niebieskiej sukience, jakby do kościoła szła ze święconym, ile by dał, żeby to dla niego, a nie dla obcego taka wyszła niebieska. Gdy na podwórku zapadła ciemność, Janek Kos wszedł przez niedomkniętą furtkę i przykucnął pod oknem w gąszczu floksów. Nie słyszał ich dokładnie przez ledwo uchylone okno, ale to, czego nie zrozumiał, dopełniła nienawiść. To on założył pętlę na szyję Mańka Gorgóla, to on przynosił kielbasy, mostki cieleńce, po najpiękniejsze rydze aż za Brzezinę o czwartej rano gnał, a buty zawsze wyczyścił, zanim przyszedł. A ten bez niczego, w kapeluszu, z laseczką jak panisko, do środka wlaź. Ponad czterdzieści lat go nie było, a teraz wchodzi, jakby przed chwilą

mu tylko pisnę słówko? *od 430 do 443* *→* słuchawce, gdy powiedział, posłuchaj, ówi, temu głupiemu trepowaniu, a hywa, że krwi miesięcznej, on, moja córeczka, yk. I zaraz potem, ku. że ty mnie też, nyś ze mną. To kon, ucil ze sto czteró, głą. Co za popieprzone, jego żony, dziecka łapy w, co powinno zostać rozdzielone, na, wiek ma tego naprawdę dość i pojechałby w końcu na jakąś wojnę, by zapomnieć.

Gdy proboszcz Postronek dostaje anonim z datą i godziną ucieczki Adasia i Dominiki, wyjazd młodego księdza do Włoch jest załatwiony. Nawet autokarem pielgrzymkowym tłuc się nie musi, bo matka, Leokadia, wysupłała na bilet lotniczy. Brakuje tylko zgody zainteresowanego, który jeszcze o niczym nie wie. Adaś ma oczy nieobecne, całe noce pali się światło w jego pokoju, ale nie zaniedbuje swoich obowiązków. Jego kościelne koncerty tłoczne są, jakby sam Krzysztof Krawczyk do Wałbrzycha przyjechał. Cały czerwiec ślubu, jak zawsze w miesiącu z r, a każda para tylko pytała, czy ksiądz Adaś zagra, żeby tylko ksiądz Adaś, prosili ci, którzy chrzcili, i ci, którzy chowali. Proboszcz Postronek przygląda się młodemu księdzu i widzi siebie sprzed lat. Ten, którym był, i Adaś skazani są na wybranie tej samej drogi, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Bilet, to, co potrzebne

na drogę, dobre słowo, już Leokadia Wawrzyniak wie, co i jak. Bo kto ma wiedzieć, jak nie matka?

Gdy Adaś w stroju cywilnym, z policzkami ogolonymi do pierwszej krwi wychodzi ze swojego pokoju, zostawiwszy na stole dwa listy, które nie trafią do adresatów, drogę zastępuje mu smok dwugłowy. Mama tutaj? Głowa matczyna tryska łzami i śluzem, głowa proboszcza wypluwa sztylety słów, grozi ogniem piekielnym. Zdwojony impet odrzuca Adasia z wytyczonego szlaku, ale nie pada od razu. Podnosi się, gotów stawić czoła smokowi, ale zamiast włóczni ma tylko tępą turystyczny widelec. Dźga na oślep, nie trafia, ledwo jedna z kończyn smoka, draśnięta, sączy czarną krew. Byle tylko przedrzeć się do drzwi, może siły mu nie starczy na walkę wręcz, ale gdy już wyjdzie, uciec zdoła, będzie biegł, co sił, zdąży. Smok wietrzy jego zamiary i zmienia taktykę. Zamiast grózb obietnice; już nie smok, ale łaszący się pies o wielkich, silnych szczękach. Głowa-matka memła, proboszcz-głowa szczeka. Włochy! Watykan! Kariera! Papieża z bliska zobaczy. Niech nie zaprzecza, nie odtrąca niechże. Czy łzy matki widzi? Jej serce złamane? Na dłoni matczynej leży jakiś krwawy strzęp i drga. Serduszko z piersi wyrwane! Miejże litość, Adasiu. Leokadia czuje słabość jak posokowiec ustrzeloną kaczkę, a jak pojedzie do Włoch! Rzymu! Watykanu! bo jakże nie jechać, serce, serce jego prawdę mu podpowie, pomoże właściwą drogę wybrać. Młask, chłast jęzorem, przecież jak tam – we Włoszech! W Rzymie! W Watykanie! – dojdzie do wniosku Adaś, że z drogi tak świetnej chce zawrócić, po matki sercu przejść, zdeptać, to wróci. Ona go nie powstrzyma. Niechże jednak

teraz pochopnie, w gorączce, w żądzy cielesnej og-
niu, decyzji nie podejmuje. Niech jedzie – do Włoch! Do
Rzymu! Do Watykanu! – i tam na spokojnie, tam daleko,
nad życiem swym się zastanowi. Jakież tam kościoły,
Berniego święta Teresa, papież polski tamże, to miej-
sce wymarzone do modlitwy. Głowa-matka już pewna
jest zwycięstwa, nie od dziś zna swoje dziecko. Gdy Do-
minika wychodzi z Babela z plecakiem, Adaś jest poko-
nany. Głowa mu zwisa na pierś, w oczach łzy, w walizce
komplet nowej bielizny i mydelko Zielone Jabłuszko,
żeby czyściutki był tam w Rzymie. Zwycięska Leokadia
przypina syna pasami i uwozi go ładą w kierunku wroc-
ławskiego lotniska.

Jagienka Pasiak jest zawiedziona, że przyszła tyl-
ko Edyta. Edyta jest nastawiona na potakiwanie, Irena
wydawała się ostatnio wymykać, to ją martwi. Poza
tym Jagienka potrzebuje publiczności, by powiedzieć
o zerwaniu ze Zbyskiem, ujmując to w odpowiednich
słowach i gestach. Rzecz w tym, by nie wypadło zbyt
dramatycznie. Nie, trzeba to powiedzieć tak od niechce-
nia, że – ach, znudziło mi się, mi tak szybko wszyst-
ko się nudzi. Ja wciąż potrzebuję nowych wrażeń, ja
wprost karmię się wrażeniami, które muszą być mocne.
Taka już jestem! Można zasugerować, że ma coś no-
wego na oku, coś, och, wyjątkowego i absolutnie nie-
przeciętnego.

Jagienka i Edyta piją na tarasie wódkę z sokiem ma-
linowym i palą carmeny; dym i różowy płomień w gard-
łach, wiatr, który dym wypycha z powrotem w malinowe
dzióbki. Plują z tarasu Babela bańkami różowej śliny.

Jagienka czuje, że mogłaby polecieć, gdyby chciała,
wznieść się ponad dachy Piaskowej Góry, nuci, wyrwij
murom zęby krat, a Edycie jest trochę niedobrze. Gdy
widzi na dole Dominikę z plecakiem, nie jest pewna tak
do końca, czy to nie odwrotnie, ona jest na dole, a Do-
minika i jej plecak u góry. Jagienka ma lepszy wzrok,
mówi, patrz, na przystanku nie ma Adasia. Nie przy-
szedł. Wiedziałam, że nie przyjdzie! A może umówili się
na dworcu? Biegniemy!

Jagienka zatacza się ze śmiechu, ciągnie Edytę, któ-
ra nie wie, co jest takie śmieszne, ale też zaczyna się
śmiać i już nie może przestać. Wsiadają do malucha Ja-
gienki, która każe koleżance wejść do tyłu, jesteś pijana,
nie możesz prowadzić, mówi Edyta albo tylko chce po-
wiedzieć, lecz nagle szarpnięcie samochodu sprawia, że
połyka słowa niewypowiedziane. Edyta widzi w lusterku
oczy Jagienki, są różowe jak ślina, którą pluły z tarasu,
i ogarnia ją strach. To tylko kilkaset zygzakowatych me-
trów od Babela, Jagienka zatrzymuje się na przystanku
i woła, Dominika.

Jadzia nie może usiedzieć na miejscu; drepcze po
mieszkaniu i wciąż wyciąga coś, co na pewno Dominice
się przyda, jeszcze jedno jabłko, o jakie ładne, czerwone,
chusteczki do nosa, w końcu jeden z pierścionków
chlowanych na czarną godzinę. Niech weźmie, tylko
żeby nie zgubiła, żeby jej nie ukradli. A te nowe czó-
łenka wzięła? A sukienkę letnią od babki Haliny? Może
niech w pociągu przed Zalesiem przebierze się, prze-
czesze, bo pierwsze wrażenie ważne. Niech nie wysiada
jak buszmenka.

Jadzia chce jechać z córką na dworzec, ale Dominice udaje się to jej wyperswadować. Wychylona przez okno Babela macha córcę tak długo, aż ta niknie jej z oczu. Już lepiej, że pozna tego Żyda z Ameryki, niż miałyby się dalej z księdzem Adasiem łajdaczyć. Jadzia zostaje w opustoszałym mieszkaniu i ogarnia ją dojmująca pewność, że jej dziecko nigdy tu nie wróci. Siada na jej tapczaniku i widzi czekające ją lata takiego przysiadania w tym samym miejscu, w tej samej pozycji, rok po roku. A więc to tyle? dziwi się Jadzia.

Dominika nie myśli o Jadzi, biegnie, biegnie, bo na przystanku pewnie już czeka Adaś. Tak się grzebała, że jeszcze pomyśli, że nie przyjdzie, trzeba się spieszyć. Świtem będą w Zalesiu, ale poczekają, aż wstanie dzień, i dopiero wtedy pójdą do domu Zofii. Nie przez wieś, ale okrężną drogą przez las będą szli, niespiesznie. Babcia zrozumie, na pewno. Dominika pokaże Adasiowi kamień z nazwiskami pradziadków Straków. Pewnie już dojrzały maliny, które tam najśłodsze, wielkie i lśniące jak posklejane krople. Ludzie ze wsi ich nie rwą, ale Zofia mówi zawsze, że wszystko, co żyje, z martwego wyrasta, i jedzą te maliny ciepłe od słońca. Będą mieli z Adasiem maliny na śniadanie. Nazbierają, zaniósą babci i dziadkowi. Wiatr, silniejszy niż rano, porywa włosy Dominiki. Adaś tak lubi ich gąszcz. Czy to on? Czy do niego należy kawałek ramienia przyczepionego do reszty skrytej za wiatą przystanku? Nie. Ramię jest obce, podobnie jak jego krępy posiadacz o oczach obramowanych kreską węglowego pyłu.

Dominika czuje dreszcz, jest coś nieprzyjemnego w tej pomyłce. Podjeżdża autobus, odjeżdża. Zo-

staje na przystanku sama. Mogłaby pobiec do budki, zadzwonić, ale jak Adaś wtedy przyjdzie i pomyśli, że jej nie ma, że się rozmyśliła? Ciągłe go nie ma. Ona ma bilety na pociąg, kanapki z serem dla dwojga, gotową wizję spotkania z babką Zofią i dziadkiem Ignacym, na dnie plecaka życie warszawskie też wymyślone dla dwojga plus odwiedziny Małgosi, która zamieszka w pobliżu. Co się z tym wszystkim stanie, gdy Adaś nie przyjdzie? Czas mija, odjeżdża drugi autobus. Powinna do niego wsiąść. Żle, że nie wsiadła, głupio. Może Adasia coś zatrzymało i pojechał prosto na dworzec taksówką? Następny autobus dopiero za kwadrans, już prawie dziesiąta wieczór, ma jeszcze dwadzieścia siedem minut do odjazdu. Nie zdąży na pociąg, co robić.

Dominika! Za kierownicą małego fiata w kolorze turkusowym siedzi Jagienka Pasiak, przechyla się przez siedzenie pasażera i otwiera drzwi. Wsiadaj, podrzucimy cię na dworzec, on tam czeka, szybko. Mówiła Dominice lwona, że Jagienka zupełnie się zmieniła, pewnie miała rację. Czy to możliwe, że miała rację? Plecak na tylne siedzenie, szybko, trzaskają drzwi, samochód rusza i pytania, dlaczego ty, skąd wiesz, pozostają niezadane. Jagienka odwraca twarz w kierunku pasażerki, śpiewa, wyrwij murom zęby krat, jej twarz jest opuchnięta, dziąsła wyglądają jak żywe mięso i Dominika już wie, że popełniła błąd.

Janek Kos porusza się bezszelestnie. Leje benzynę wśród floksów, malw i maciejki, której zapach w tę noc jest silniejszy niż zwykle.

Benzyna wsiąka w spróchniałe ściany domu Zofii, przecieka do środka przez szpary, których od lat nikt nie zatykał, jej tęczowe, rozdwojone języki liżą podłogę, próbują, jaki smak mają stare meble, szuflady pełne króliczych skórek, dwoje starych ludzi śpiących na kuchennym łóżku i śniących jeden z najpiękniejszych swoich snów. Wystarczy jedna zapalka. Żaden z chłopaków z lasu nie potrafił tak rozpalić ogniska jak Janek Kos, który stoi w świetle płomieni i rusza dopiero wtedy, gdy ogień wybiega mu na spotkanie. Gdy dach zaleskiego domu Zofii zapada się, jakby był z tektury, na Piaskowej Górze mały fiat przebija ogrodzenie z napisem Nieupoważnionym wstęp wzbroniony i zsuwa się po stromiźnie do jeziora topielicy-pajęczycy, które błyszczy, czarne martwe oko.

Dominika krzyczy, zatrzymaj się, Edyta wymiotuje na tylnym siedzeniu, a Jagienka śpiewa, wyrwij muom zęby krat. Zęby krat, jej zęby, żyłka, połam bat. Tylko ktoś zupełnie wyjątkowy może tak szaleć, tak śpiewać i ten ktoś wymyka jej się spod kontroli, zwraca przeciwko niej samej, jakby od początku o to chodziło.

Do Dworca Miasto skręca się w prawo, ale nie przy prawie stu kilometrach na godzinę, a poza tym Jagienka nie wybiera się na dworzec, dziś nikt nie wybiera się na dworzec, a mury runą, runą mury i pogrzebią stary świat. Uderzenie w płot nie boli, odpadł tylko zderzak i pękła szyba, ale samochód nabiera szybkości, staczając się w kierunku wody, wprost na pomost, po którym przelatuje z hukiem. Uderza w resztki metalowej wieży na końcu pomostu, na którą kiedyś Dominika wspinała

się z Dimitrim, i to on właśnie pojawia się na mgnienie oka w jej pamięci, czarnowłosy chłopiec z tornistrem pełnym rachatlukum.

Samochód rozpada się niemal na pół, a Dominika wylatuje przez przednią szybę i ląduje w wodzie ciemnej i gęstej jak smar. Jej niebywale włosy, włosy buszmeńskie, łagodzą uderzenie, ale ostry odprysk przecina policzek od skroni do kąca ust, głęboko. Zapada cisza, ale rozdarta reflektorami samochodu ciemność nie zdąży powrócić na dobre, bo wrak malucha wczepiony w resztki pomostu zapala się z hukiem wybuchającego paliwa. W jeziorze topielicy-pajęczycy wybuch jest tylko głuchym pyknięciem otwieranej butelki szampana, ślizgający się po powierzchni ogień jak fajerwerki, ogniste konfetti, wśród których Dominika opada na dno. Ma złamany obojczyk i rękę, rozbitą głowę i pękniętą miednicę. Ma otwarte oczy i widzi czarną wołgę, białe kości, ławicę neonowych rybek, pierścionek z rubinem, który wypadł z kieszeni jej džinsów, widzi dwie zakonnice z czarnej wołgi, które machają do niej, zapraszają, wyciągają ręce, białe kości. Próbuje nabrać powietrza, dlaczego tak trudno jej oddychać, krztusi się, widzi białe schody jak z kości, które zbiegają wprost nad morze, są piękne, i nagle jej ciało przypomina sobie, że umie pływać. Odbija się od dna, od białego stopnia w kierunku ognia, którego blask rozlewa się po powierzchni jeziora topielicy-pajęczycy.

Drugi początek

Gdy Dominika przyjechała po matkę, Babel dożywał swych dni. Kolos na piaskowych fundamentach, jego kontur na tle nieba wciąż wyraźny, jak wycięty nożem, ale od spodu grząsko. Przebiegające pod miastem chodniki kopalni zalano wodą, a wzgórze zgniło i zapadło się w ziemię jak przydeptane.

Jak to nam narobili, sarkali mieszkańcy Babela. Kiedyś to się żyło na Piaskowej Górze jak w Eneresie. Wszystko było, jak się trochę zakombinowało. Że człowiek czasem nie przejadł i nie przepił, tyle tego było. A jak górnikiem się było, to hoho. Potąd się miało. Talony na samochody, wczasy, sklepy na kartę G. Górnik to był pan. Mundur, pióropusz, honor swój miał. Na balkonach Babela, pomalowanych na żółto, różowo, seledynowo i pełnych tego, co szkoda wyrzucić, stoików, szafek, starych nart rozwarstwionych jak francuskie ciasto, powiewają straszaki na jaskółki, a ludzie stoją, patrząc na podnoszącą się linię horyzontu. Czekają. Na czwartym piętrze Lepka opiera biust o balustradę i nieruchoma jak kariatyda, nie do ruszenia z miejsca, które do niej należy i nikt inny by go nie chciał, czeka na syna. Starszy szeregowy Zbyszek Lepki, uznany oficjalnie za martwego z powodu kuli w głowie, może przecież wrócić z Jugosławii, której już nie ma, żywy i niepodziurawiony, a nazywa się to cud. Krystyna i Zdzisław Śledź z wnuczką Patrycją oddaną pod opiekę na chwilę, która się przedłużyła o kilkanaście lat, wyglądają swojej córki Iwony. Obiecała, że jak się wyrobi ze strzyżeniem, kręceniem,

to na obiad zajdzie, a jak nie, to wpadnie i chociaż na chwilę przysiadzie. Za ścianą Jadzia wzdycha, że co do niej, to na nic już nie czeka i niedługo strzeli w kalendarz na tym gównianym bocianim gnieździe, bo nic jej nie wyszło w tym życiu prócz żylaków.

Z fałszywym westchnieniem zniecierpliwienia, choć nie było pod ręką nikogo, kto mógłby odkryć prawdę jej uczuć, podnosiła Jadzia słuchawkę w końcu założonego telefonu, pragnąc usłyszeć głos córki. Nieodmiennie zadziwiona, że z obcych krajów tak dobrze słyhać Dominikę, tak wyraźnie, jakby była obok, krzyczała w słuchawkę, nie wierząc, że ten cud działa w dwie strony. Od czasu gdy piętnaście lat temu Grażynka Kalthöffer de domo Rozpuch zabrała ją do niemieckiego szpitala, Dominika wracała na Piaskową Górę tylko na chwilę. Zwykle wiosną jak jaskółka, fru, i tyle ją Jadzia widziała. Pochód oddalających się pleców, długich nóg, buszmeńskich głów. W coraz dziwniejszych ubraniach, pachnąca nieznаныmi matce zapachami, dzwoniła gdzieś i mówiła w językach, których Jadzia nie знаła, do ludzi, których nigdy nie widziała, a potem zaraz pakowała się i żegnała cierpkim pocałunkiem. Już lecis, latawcu, podfruwajko, mówiła z przekąsem matka. A leć, a piej. Zamykała drzwi i ich ciche kliknięcie było końcem sarkazmu, a początkiem czekania, i czekała Jadzia, wyobrażając sobie wszystkie nieszczęścia, jakie spadają na Dominikę, gdy nie ma jej pod ręką. Dominika tymczasem zbiegała po schodach i otrząsała się z nieszczęść, które mogłyby jej się zdarzyć, gdyby została na Piaskowej Górze.

Upłynęły jednak lata, zanim Jadzia zgodziła się, by Dominika zabrała ją do siebie, i teraz córka wspina

się do matki po ciemnych schodach. Jak ciężko jej się idzie. Wie, że blizna na jej policzku, normalnie niemal niewidoczna, srebrzysta nitka babiego lata, na pewno poczerwieniała, jak zawsze podczas wysiłku. Na klatce nie ma światła, a spękane ściany pomalowane na kolor ciała sprawiają wrażenie, jakby za chwilę miały zawalić się i pogrzebać ją na zawsze. Poręcze są lepkie, śliskie, Dominika brzydzi się ich dotykać. Brakuje tchu, chociaż jest silną, wysportowaną kobietą o płaskim brzuchu i umięśnionych nogach. Nigdy nie pozwoliła odrosnąć buszmeńskim włosom, ogolonym po wypadku, by można było zszyc ranę na głowie. Krótkie na kilka centymetrów, nie były ani męskie, ani kobiece i zdarzało się, że gdzieś w drodze, na lotnisku albo w przydrożnym barze, Dominika widziała niepewność na twarzy przypadkowego rozmówcy. Wtedy dobierała słowa tak, by jak najdłużej ją podtrzymać; jej uśmiech był szelmowski, szczęśliwy. Dominika wspinała się, ale to było jak oporne schodzenie w głąb. Matka nie wyjdzie jej na spotkanie, musi do końca dojść sama. Wie, że przyszła pora i że da radę.

Jadzia od kilku lat niemal nie ruszała się już ze swojego bocianiego gniazda, oprócz wyjść do kościoła i supermarketu. Ostatnio supermarket, bliższy i oferujący więcej promocji, wygrywał w konkurencji. Jadzia potrafiła znaleźć wiele uzasadnień swojego wyboru – zdrowie (jego brak), tusza (w nadmiarze) i pogoda (wietrzna, dui, żabami rzuca) były po jej stronie. Taki wielki sklep! Zupełnie nie wierzyła na początku, że tylu ludziom naraz zachce się robić zakupy. Na cholere to komu potrzebne, patrzyła z balkonu na budowę i kaszla-

ła przesadnie, udając, że dusi się od pyłu wznoszonego przez maszyny. Szybko przekonała się jednak, jak przyjemnie można spędzić czas, spacerując wśród półek, bo niby wszystko jest, a ciągle czegoś człowiekowi brakuje, jak rozejrzy się po takim sklepie. Wtedy gdy niczego nie było, mniej jakoś brakowało, dziwiła się Jadzia całorocznej obecności owoców zwielokrotnionych w lustrach w lśniącą, obfitą nieskończoność. A wyskoczyłam sobie na degustację, mówiła spotkanej przed bramą Krysi Śledź, jeszcze zadyszana od tego kupowania, konsumowania, kolekcjonowania różnych serii romansów Harlequin, z których za najciekawsze i najbardziej życiowe uważała medikale, gdzie męscy lekarze z posiadłościami spotykali kobiece pielęgniarki nieposiadające nieruchomości, ale obdarzone ciałem, włosami i oczami. Ach, gdyby tak Dominika za takiego lekarza, marzyła, za doktora Michorowskiego jakiegoś, w welonie matki ręką haftowanym. Francja-elegancja, cmokała, kupując w specjalnej ofercie rzeczy, których nie nadążała zjadać i zużywać, prawdziwa Francja-elegancja, przyglądała się kolorowym puszkom i pudełkom. Wznosiła z nich piramidy zapasów, budowała chińskie mury z groszków i sardynek, mydeł i proszku, odkładała dla córki upominkowe zestawy kosmetyków i słodczy przecenione po świętach. Opowiadała Dominice, że rano jest najwięcej degustacji i baby leć na śniadanie. Lumpów i bezdomnych, którzy kiedyś byli górnikami, ochrona wyrzuca ze sklepu na zbity pysk, ale do codziennego najazdu staruszek przywykła. Co tam zje taka babcia, a i wyniesie niewiele, batonik Mars albo mydełko Palmolive; popsika się dezodorantem Bac albo odświeżaczem powietrza o za-

pachu morskiej bryzy. Mogą więc spokojnie przejść kilka razy wśród półek i pojeść żółtego serka pokrojonego w kostki jak dla myszy, płatków kukurydzianych z mlekiem, plasterków kielbasy przebitych drewnianą wykalczką, przydatną później do wydłubania z protezy tych opornych resztek, których mimo prób nie da się zassać i wymoktać. Niektóre cwaniary podchodzą do degustacji nawet po trzy razy, krzywiła się Jadzia na taką niegodziwość, a jej zaciśnięte usta przesunęły się w prawo na naciągniętym jak postronek mięśniu policzka. Cwaniary, robią małe kółeczko i znów są, żeby złapać, co się da, na łapu-capu, za darmość kaldun napchać. Miała więc Jadzia swoje małe przyjemności i nie poddała się nawet wtedy, gdy po raz pierwszy przewróciła się w drodze do supermarketu, tak że dwa tygodnie spędziła unieruchomiona i potłuczona, a do tego zgubiła nowy moherowy beret. Nie zmogła jej żadna z drobnych katastrof Babela, gdzie brakowało prądu, wybuchały kaloryfery i awantury domowe w reakcji łańcuchowej. Uległa, dopiero gdy styczniowej nocy kran strzelił jej w pierś strumieniem zgniłych jaj i powalił na podłogę ciemnej łazienki, bo po co na chwilę światło zapalać i wyrzucać pieniądze w błoto. Przeleżała tak kilka godzin, popłakując cichutko, aż nabrała sił na tyle, by doczołgać się do telefonu, ciągnąc za sobą złamaną nogę. Przyjździe! Proszę bardzo. Ale niech Dominika nie liczy, że się nauczy mówić w tym języku, na którym język można sobie połamać. Mogą tam mówić do Jadzi, ona na to nyšt fersztejen do swidania i kropka.

W mieszkaniu państwa Chmura do spakowania pozostała jeszcze tylko kolekcja kryształów. Jadzia zgodziła

się, by wynajęta firma zrobiła resztę, ale kryształów nie pozwoliła obcym dotknąć; popaprzę łapskami, upuszczając albo świsną i szukaj wiatru w polu. Takie kryształy to majątek. Wprawdzie teraz są niemodne, ale tylko patrzeć, jak wrócą, to sobie poustawiasz po swojemu, mówiła do Dominiki, owijając w gazety monstrualne wazony i bomboniere. Poświęciła na to kilka roczników „Przyjaciółki”, ziejących dziurami po wycinanych przez lata poradach i przepisach, które zbladły i rozpadły się, zanim zdążyły się zmaterializować w strucle, torty i sztufady. Kruche, wzdychała, delikatne. Dla pewności upychała w środku kryształów kulki skarpet i bielizny.

Dominika zauważyła, że chora dłoń matki ściemniała i skurczyła się. Wyglądała jak gałązka martwego drzewa. Jadzia była o tyle niższa od niej – drobna, kragła i pozbawiona kantów matka kieszonkowa. Mała jak młodsza siostra, której Dominika nigdy nie miała. Gdy wychodzili, Jadzia Chmura zamknęła puste mieszkanie na dwa zamki i dla pewności szarpnęła klamką, jak zawsze to robiła, mimo iż w środku nie było już nic. A wiesz, córeczko, że jednak jakoś żał człowiekowi tej Piaskowej Góry, powiedział, gdy odjeżdżały.

